BARBARA PIWNIK DLA „DO RZECZY":

Muszą być granice zaangażowania sędziów w życie publiczne

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 40/292 1–7 PAŹDZIERNIKA 2018
CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Wszyscy ludzie Patryka Jakiego

Warzecha: Dość terroru rowerzystów!

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 85 tys. egzemplarzy

„Kler" – anatomia nagonki na Kościół

W GRONIE GIGANTÓW

PKO Bank Polski to jedyna polska spółka w gronie największych firm świata według indeksu rynków rozwiniętych FTSE Russell. Wartość rynkowa banku wynosi 53 mld zł*.

Bank Polski
dzień dobry

*Na podstawie kursu akcji PKO Banku Polskiego na zamknięciu sesji GPW 26 września 2018 r.

eprasa.pl 358b74afb8

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Mechanizm prowokacji

Ci z państwa, którzy przeczytali mój zeszłotygodniowy felieton, nie zdziwili się zapewne, widząc zdjęcia z wtorkowej warszawskiej premiery filmu „Kler" w Warszawie, gdzie z triumfem w oczach pojawił się osławiony rzecznik stanu wojennego, Jerzy Urban. Tym, co musi budzić zdziwienie, nie jest duchowa łączność byłego komunistycznego pogromcy Kościoła z twórcami „Kleru", ale ostentacja, z jaką obie strony tę bliskość pokazują.

Jednak nie piszę teraz tego, żeby wylewać łzy i pokazywać żal. Raczej interesuje mnie mechanizm, który sprawił, że „Kler" może się okazać szybko tak popularny. Oczywiste jest, że najważniejszym powodem sukcesu jest sztuka wywołania skandalu. Z góry można było przewidzieć – wystarczy przypomnieć inne w taki sposób promowane „dzieła sztuki", choćby „Klątwę" – że obrażenie uczuć katolików jest świetnym narzędziem marketingowym.

Po pierwsze, jest ich wielu, a więc obraza musi przynieść protest i głośny opór. To zaś zapewnia dziełu tanią, darmową reklamę. Po drugie, są bezsilni, więc z góry wiadomo, że protesty będą jałowe i nie przyniosą twórcom realnych strat. Lewicowe prowokacje są skazane na powodzenie, bo o ile katolików można dotknąć – ot, wystarczy pokazać księży jako grupę zdeprawowanych łotrów lub poniżyć ważny symbol religijny – o tyle nie mają oni skutecznego sposobu obrony. Wiadomo, że nie wolno im użyć przemocy, więc protesty ograniczają się do słów i gestów, te zaś napędzają zainteresowanie. Nie mogą też odpłacić się pięknym za nadobne. Znowu wynika to z samej zasady. Żeby urazić katolików, uderza się w wartości i symbole ważne dla całej wspólnoty wierzącej. Jak jednak dotknąć i urazić drugą stronę, skoro programowo odrzuca ona obiektywizm obowiązujących powszechnie wartości? O ile cynik i nihilista może łatwo obrazić osobę wierzącą, o tyle osobie wierzącej trudno jest urazić cynika i nihilistę.

Poza tym, co jest elementem kluczowym, najważniejszym dystrybutorem szacunku i wizerunku są w większości niechętne Kościołowi i katolikom duże media. To one, przekazując sobie tę samą pozytywną ocenę, powielając ją, budują powszechne wrażenie. Wystarczy pod tym kątem przejrzeć pięć największych portali w Polsce. W ten sposób to, co jest szmirą i propagandą, staje się, z powodu ideologicznego uprzedzenia, dziełem znaczącym, wielkim, poruszającym. Itp., itd.

Po trzecie, im głośniej będą protestować katolicy, tym bardziej napędzają zainteresowanie zlaicyzowanej i niechętnej Kościołowi części społeczeństwa, która idąc na film, zyskuje poczucie moralnej wyższości. Protestują, znaczy się, że ich to dotknęło, a to znaczy, że jest prawdziwe. Zlaicyzowani i wykorzenieni Polacy zyskują w ten sposób, przez sam fakt obejrzenia filmu, poczucie przynależności do grupy oświeconych, wyzwolonych i postępowych. W ten sposób grupa niechętnych religii stopniowo rośnie. Czy można się przed tymi mechanizmami bronić?

Zgodnie z pierwszą strategią można próbować nie reagować. Ma to tę zaletę, że ogranicza działanie prowokacji. Wiadomo: nie ma awantury ani protestów, zainteresowanie jest mniejsze. Tylko co zrobić w sytuacji, kiedy milczenie i niezauważanie mogą oznaczać przyzwolenie na zło? Jak nie reagować na to, co się widzi i słyszy? Antykościelna produkcja nie ma na celu wzmocnienia grupy ateistów i niewierzących. Nie. Ma ona dotrzeć do wahających się, niepewnych, wątpiących i wszczepić w nich odpowiedni odruch, właściwe skojarzenie. Ksiądz, często pokazywany w szatach liturgicznych, ma się kojarzyć ze zboczeńcem i z łajdakiem. A skoro już się tak kojarzy, to w oczywisty sposób nie może być ani nauczycielem wiary, ani wzorem do naśladowania. Sacrum przestaje być tym, czym zawsze było. Nie pociąga, nie jest czymś tajemniczym. Zostało sprofanowane i zredukowane do tego, co tak bardzo ludzkie: chciwości, pożądania, głupoty. Natłok obrazów i skojarzeń uniemożliwia później pojawienie się wiary. Tak działa ten mechanizm i, niestety, do tej pory żadna wspólnota chrześcijańska nie potrafiła sobie z nim poradzić. Społeczeństwo liberalne pozornie tylko pozwala zachować własne tożsamości: prędzej czy później podmywa je i kwestionuje. I robi to często znacznie skuteczniej niż dawni komuniści, bo może wykorzystać przejawy niegodziwości, głupoty lub faktycznie grzechu popełnionego przez poszczególnych księży do budowy jednej, wielkiej, spójnej opowieści o całym Kościele. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 358b74afb8

TEMAT TYGODNIA

18 PIOTR SEMKA
FILM ZŁY
„Kler" nie przyniesie niczego dobrego

22 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
KOŚCIÓŁ PO „KLERZE"

26 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
KASA NA „KLER"

KRAJ

28 ROZMOWA Z BARBARĄ PIWNIK
OTWORZYĆ SN NA OBYWATELI
Są granice zaangażowania sędziów w życiu publicznym

32 KAMILA BARANOWSKA
WSZYSCY LUDZIE KANDYDATA

34 WOJCIECH WYBRANOWSKI
SŁABY START CZARNYCH KONI

36 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NIE-PO-MYŚLNOŚĆ

38 MARCIN MAKOWSKI
REQUIEM DLA SYMETRYSTÓW

40 ŁUKASZ WARZECHA
DOŚĆ TERRORU ROWERZYSTÓW!

KULTURA

44 KRZYSZTOF MASŁOŃ
JAK PŁATONOW NA DOBRE WYCHODZIŁ
Najbardziej oryginalny pisarz rosyjski

48 PIOTR GOCIEK
SEKS, KŁAMSTWA I SUPERHEROSI

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ANDRZEJ TALAGA
TYLKO AMERYKA
USA na odsiecz Polsce

58 TOMASZ KWAŚNICKI
CENA „BEZPIECZEŃSTWA"

60 STEFAN SĘKOWSKI
MENTALNA SAMODZIELNOŚĆ NIEPISOWSKIEJ PRAWICY

64 BARBARA STANISŁAWCZYK
KOŚCIÓŁ W PUŁAPCE NAMIĘTNOŚCI

HISTORIA

66 ADAM HLEBOWICZ
POWSTANIE NIE TYLKO WARSZAWSKIE
Jedno z najważniejszych wydarzeń dla Polaków

70 WOJCIECH WYBRANOWSKI
NADCHODZĄ STRAŻNICY PAMIĘCI 2018

ŚWIAT

72 ROZMOWA Z MAXEM FERRARIM, EKSPERTEM WŁOSKIEJ LIGI DS. MIĘDZYNARODOWYCH
WŁOCHY BLIŻEJ V4?
Polska jest dziś okrętem flagowym zmian

74 JACEK PRZYBYLSKI Z MALEDIWÓW
PRZEŁOM W RAJU

EKONOMIA

80 TOMASZ WRÓBLEWSKI
AFRYKAŃSKI DYLEMAT
Europa płaci za rabowanie Afryki

84 WOJCIECH NAGEL
PRACOWNICZE PLANY KAPITAŁOWE TO NIE OFE

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
ZABÓJCZY TANDEM
Epidemia chorób serca

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (12), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (62), ZYCHOWICZ, KOPER (69), KOWALCZUK (78), GABRYEL, RYBIŃSKI (88), KOMUDA (92), TYRMAND (96), JASTRZĘBOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 358b74afb8

Skóra pod parasolem

Co roku w Polsce u ok. 17 tys. osób są wykrywane nowotwory złośliwe skóry, w tym u 3,5 tys. osób czerniak. Można zmniejszyć ryzyko zachorowania, ograniczając ekspozycję na słońce. Konieczne jest też uważne przyglądanie się skórze, a jeśli pojawią się niepokojące zmiany – wizyta u dermatologa.

Dziś nikt już nie kwestionuje tego, że papierosy sprzyjają wielu typom nowotworów. Powoli przebija się świadomość, że słońce też może szkodzić. Na pojawienie się czerniaka, który jest najgroźniejszym spośród nowotworów skóry, najbardziej narażone są osoby o jasnej karnacji, które podczas wakacji intensywnie się opalają.

Czerniak może się pojawić wszędzie tam, gdzie znajdują się komórki barwnikowe. Nie tylko na skórze, ale też w gałce ocznej, w jamie ustnej, odbycie, na błonie śluzowej narządów płciowych.

SŁOŃCE DOBRE I ZŁE

W niewielkich ilościach promieniowanie UV jest korzystne dla zdrowia. Leczy m.in. zmiany alergiczne na skórze, łuszczycę, krzywicę, depresję. Dzięki niemu w skórze zachodzą procesy syntezy witaminy D. Jednak w naszej szerokości geograficznej po to, by w organizmie wytworzyła się odpowiednia ilość witaminy D, nie trzeba się opalać. Latem wystarczy ok. 15-minutowy spacer między godz. 10 a 15, przy odsłoniętej w mniej więcej 30 proc. powierzchni skóry. Jesienią i zimą promienie słońca padają pod takim kątem, że i tak niezbędna jest suplementacja witaminy D.

Nadmiar promieni UV szkodzi. Powoduje starzenie skóry, uszkadza DNA jej komórek, może spowodować zmianę komórki zdrowej w nowotworową. Na ten proces najbardziej narażone są osoby o jasnej karnacji, mające dużą liczbę piegów, a także dzieci i młodzież, których skóra jest cienka, niedojrzała – łatwiej więc o jej uszkodzenie przez słońce.

ZMNIEJSZ RYZYKO

Liczba zachorowań na nowotwory skóry, także na czerniaka, podwaja się co 10 lat. Każdy z nas może jednak zmniejszyć ryzyko zachorowania. Najlepszą ochroną jest unikane słońca latem pomiędzy godz. 10 a 15, gdy promieniowanie UV jest najsilniejsze. To szczególnie ważne w przypadku dzieci. W tych godzinach lepiej się nie opalać, być w cieniu lub półcieniu. Jeśli przebywamy na słońcu, to skórę trzeba posmarować kremem z filtrem przeciwsłonecznym (najlepiej chroniącym zarówno przed UVA, jak UVB), założyć koszulkę z rękawem, okulary przeciwsłoneczne, a na głowę – czapkę z daszkiem lub kapelusz z rondem. Niemowlęta powinny bezwzględnie przebywać w cieniu lub półcieniu.

Nie należy korzystać z solarium – sztuczne źródła promieni UV są jeszcze bardziej szkodliwe niż słońce. Od tego roku w Polsce obowiązuje zakaz opalania w solarium dzieci i młodzieży do 18. roku życia, jednak również dorośli nie powinni z niego korzystać.

SPRAWDZAJ SKÓRĘ

Wcześnie wykryty czerniak jest niemal w 100 proc. wyleczalny, dlatego trzeba regularnie przyglądać się skórze, zwracając uwagę na znamiona: zarówno te, które dopiero się pojawiły, jak i te, które były na niej od dawna. Powodem do niepokoju jest znamię, które jest duże, nieregularne, zmienia kolor, ma poszarpane brzegi, nierównomierne zgrubienia.

Rozpoznaj czerniaka

Kryteria rozpoznania czerniaka skóry można określić za pomocą pierwszych liter alfabetu. Są to:

A (asymmetry) – asymetria, np. znamię wylewające się na jedną stronę,

B (borders) – brzegi zmiany są nierównomierne i postrzępione,

C (color variability) – kolor: od jasnobrązowego do czarnego, niejednolity,

D (diameter) – duży rozmiar, wielkość zmiany powyżej 0,5 cm,

E (evolution) – zmiana wyglądu znamienia, np. uwypuklenie się zmiany ponad otaczający naskórek.

Uwaga: Jeśli zauważysz nawet jedną z wymienionych cech, zgłoś się na wizytę do dermatologa, który obejrzy znamię dermatoskopem i zdecyduje o dalszym postępowaniu.

Tekst: Katarzyna Pinkosz, konsultacja: prof. dr hab. n. med. Witold Owczarek, specjalista dermatolog, Wojskowy Instytut Medyczny

Ministerstwo Zdrowia

Kampania realizowana w ramach Narodowego Programu Zwalczania Chorób Nowotworowych, zadanie: Promocja zdrowia i profilaktyka nowotworów, finansowana ze środków Ministra Zdrowia

eprasa.pl 358b74afb8

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu list przenoszący na ogólnopolską skalę poruszany na łamach „DRz" temat. Zachęcamy do przesyłania swoich opinii i komentarzy na adres: listy@dorzeczy.pl

„Druga epoka Gierka" – Tomasz Cukiernik, „DRz" 39/2018

Dzięki za artykuł „Druga epoka Gierka", w którym autor zwraca uwagę na lekkomyślną rozrzutność samorządów. Gierek kupował popularność, sprowadzając z Paryża damską bieliznę. To nie było możliwe za czasów Gomułki, jego oszczędnego poprzednika, który krajowi narzucił surowy reżim finansowy i pozostawił państwo bez obciążeń dłużnych. Mając w pamięci grozę reżimu komunistów, dziś się o tym nie pamięta. Korzystając z dostępu do kredytów i dotacji, żyjemy sobie w swobodnej atmosferze wydawania pieniędzy na rzeczy efektowne. Społeczeństwo polskie ma przeszło 39 mld zł długu. I co? I nic, choć w tysiącach indywidualnych przypadków jest to prawdziwa tragedia. Miły i dzielny pan Jaki obiecuje Warszawie budowę nowej dzielnicy, chociaż miasto ma już 5 mld zł długu. No, ale wyborców bardziej porwą spontanicznie planowane trasy metra i tramwajów niż usprawnienie komunikacji przez przeniesienie autobusów na tory tramwajowe (prawie za darmo) lub tańsza budowa metra o peronach jednostronnych zamiast wyspowych. Przykład idzie z góry. Budowa centralnego portu lotniczego i przekop Mierzei Wiślanej zostały ogłoszone tak pośpiesznie, że trudno sobie wyobrazić wcześniejsze uzasadnienie ekonomiczne, a przecież naszej suwerenności bardziej niż baterie rakietowe pod Kaliningradem zagraża zadłużenie Skarbu Państwa na 946 mld zł, niech tylko ktoś, nie daj Boże, rzuci na rynek odpowiedni pakiet wierzytelności. Nic to, jakby powiedział pan Wołodyjowski, właśnie dowiadujemy się, że budżet państwa na rok 2019 będzie nadal obciążony długiem, tym razem jest to ZALEDWIE 28 mld zł! Cieszmy się, że agencja FTSE Russell przekwalifikowała nas do „developed markets", ale powtarzajmy sobie codziennie, że nadal jesteśmy biednym krajem, który musi się liczyć z każdym groszem.

Z poważaniem Marian Hanasz

„Siła jednego zdjęcia" – Łukasz Warzecha, „DRz" 39/2018

W moim poprzednim felietonie z cyklu „Notatnik malkontenta" napisałem, że Michael Dukakis został sfotografowany w czołgu we wrześniu 1988 r. w siedzibie firmy Boston Dynamics. W rzeczywistości była to firma General Dynamics, mieszcząca się w Sterling Heights pod Detroit. Za pomyłkę przepraszam.

Łukasz Warzecha

KONDOLENCJE

PANI MINISTER

ANNIE FOTYDZE

NAJSERDECZNIEJSZE WYRAZY ŻALU I WSPÓŁCZUCIA Z POWODU ŚMIERCI

ŚP.

MAMY

ŁĄCZĄC SIĘ Z NIĄ W MODLITWIE

SKŁADA

Ryszard Legutko, przewodniczący delegacji

Prawa i Sprawiedliwości w grupie EKR Parlamentu Europejskiego

wraz z posłami PiS do Parlamentu Europejskiego

i pracownikami grupy EKR

Soledad, Benjaminowi, Ignacemu i Kacprowi Krasickim

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

ŚP.

Ojca

przyjaciele z „Do Rzeczy"

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Brukselа)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**

Okładka: **Bartosz Mrozowski/„Kler"**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — POLSKI WYDAWCA
spółka notowana na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA: **Adam Borzęcki** (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 85 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 358b74afb8

Technologie jutra

Eco-Drive generuje energię z dowolnego źródła światła: naturalnego lub sztucznego, jasnego lub przyciemnionego i zasila nią mechanizm.

Radio Controlled automatycznie koryguje dokładność wskazania czasu zgodnie z wzorcem z nadajników radiowych.

Eco-Drive
Radio-Controlled Watch

citizen.pl

CITIZEN®
BETTER STARTS NOW

eprasa.pl 358b74afb8

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Felieton niełatwy

„O bazach w Polsce powinni zdecydować w bezpośrednich rozmowach Amerykanie i Rosjanie" – taką opinię w rozmowie na antenie RMF FM wyraził poseł Kornel Morawiecki. Ojciec obecnego premiera wyraźnie odciął się od idei tzw. Fortu Trump – stałej bazy wojsk amerykańskich na terenie Polski. Wskazywał, że traktaty zawarte w momencie, gdy w latach 90. jednoczyły się Niemcy, zakładały niewysyłanie wojsk NATO na tereny dawnych państw Układu Warszawskiego. – Każde łamanie międzynarodowych praw jest strasznie ryzykowne – podkreślał Morawiecki.

Na uwagę prowadzącego, że od tamtej pory Rosja wielokrotnie łamała międzynarodowe umowy, Kornel Morawiecki odparł, że zrobiła to raz – anektując Krym. I od razu usprawiedliwił zachowanie Kremla. – Wcześniej to myśmy, bombardując Belgrad, oderwali Kosowo od Serbii i zaczęli łamać międzynarodowe umowy – mówił poseł. Dodał, że to Kijów najpierw „puścił czołgi na Donbas".

Omówiony powyżej wywiad wpisuje się w trwającą już od dłuższego czasu metamorfozę poglądów Kornela Morawieckiego. Już w lipcu br. w wywiadzie dla naszego tygodnika wyrażał opinie, że: „Rosjanie od czterech lat bronią się rękami i nogami, żeby tylko nie zająć Doniecka, to cóż dopiero mówić o agresji na Polskę". W innym passusie wywiadu głosił: „Europa traci swoją moc. […] Tylko w połączeniu z Rosją i jej ogromnym potencjałem Europa może stać się światową potęgą – w sensie duchowym, gospodarczym, militarnym". Zwrot jest więc trwały i, jak można podejrzewać, w przyszłości może być tylko wyraziściej i mocniej. Morawiecki to przykład zaskakującej przemiany od radykalnego antykomunizmu środowiska „Solidarności walczącej" w latach 80. do obecnej proputinowskiej rusofilii.

Z całej sytuacji można wyciągnąć trzy wnioski. Pierwszy, dość smutny: marszałek senior najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, jak utrudnia to sytuację jego synowi, premierowi Polski. Wypowiedzi Morawieckiego seniora z lubością cytowane są przez krytyków PiS jako dowód na cichy plan polexitu. Drugi to niewiele weselsza konstatacja, że takie dziwne zmiany poglądów w późnych latach politycznej kariery nie są niczym rzadkim. W 1944 r. w Londynie Lucjan Żeligowski – symbol polityki Piłsudskiego wobec Litwy – u schyłku życia poparł władze komunistycznej PKWN i zachwycał się wizją „połączenia się słowiaństwa". Już w naszych czasach były antykomunista Leszek Moczulski został na starość doradcą prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.

I wreszcie wniosek trzeci. Z takimi poglądami można i trzeba polemizować. Zawsze powtarzałem, że żadne zasługi Lecha Wałęsy z przeszłości nie powinny zwalniać od polemiki z jego obecnymi opiniami na temat polityki krajowej. Tym bardziej nie widzę powodu, by przemilczać niepokojące poglądy byłej legendy wrocławskiego podziemia.

Nie mam wątpliwości, że Russia Today czy Sputnik będą je nagłaśniać. Tym bardziej należy porzucić zakłopotane milczenie i mówić o nich głośno. To świadomy wybór Kornela Morawieckiego. I jako taki wymaga świadomej odpowiedzi. ©℗

FOT. JAMES PAINGELIO/AP/EAST NEWS

DRAMATYCZNE LĄDOWANIE

Chwile grozy przeżyli pasażerowie oraz załoga należącego do papuaskich linii lotniczych boeinga 737, którego kapitan z nieznanych dotąd przyczyn nie trafił w pas lotniska na wyspie Chuuk w Mikronezji i uderzył w taflę wody na Oceanie Spokojnym.

Samolot szybko zaczął tonąć. Na pomoc 47 rozbitkom ruszyli okoliczni mieszkańcy. Dzięki ich pomocy w katastrofie nikt nie zginął. Cztery osoby zostały jednak ciężko ranne.

(jap) ©℗

eprasa.pl 358b74afb8

W roku obchodów setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, na ścianie Zespołu Szkół przy ul. Teatralnej w Pile pojawił się historyczny mural. Widnieją na nim wizerunki trzech mężów stanu i polityków, którzy zapisali się na kartach historii swoją działalnością niepodległościową. Mecenasem projektu jest Enea

Piła z nowym muralem patriotycznym

Enea włączyła się w ogólnopolski Program Wieloletni „Niepodległa", który wspiera inicjatywy upamiętniające setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. Angażując się w projekt murali patriotycznych, przypominamy wydarzenia i osoby związane z walką oraz odzyskaniem niepodległości. Pierwszy mural, nawiązujący do zwycięskiego powstania wielkopolskiego, został odsłonięty w czerwcu w Poznaniu.

Ignacy Jan Paderewski, Józef Piłsudski i Roman Dmowski – bo o nich mowa – mieli jeden cel: żyć w niepodległej ojczyźnie. Mimo odmiennych poglądów na kształt nowej Polski wolność i niepodległość cenili jako wartości bezwzględne i nadrzędne, oddając się całkowicie sprawie polskiej.

– Nasza historia dowodzi, że potrzeba było wielu bohaterów i woli walki, by po ponad wieku Polska powróciła na mapę Europy. Społeczeństwo potrzebowało liderów, mądrych mężów stanu, którzy potrafili przekonać innych do swoich wizji życia w wolnej Polsce – mówił Zbigniew Piętka, wiceprezes Enei ds. korporacyjnych. – Odsłonięty dziś mural w nowoczesny sposób pokazuje historię w przestrzeni publicznej, dostępną dla wszystkich. Jest efektem dumy z naszej historii i narodowych osiągnięć – dodał Zbigniew Piętka.

Mural na ścianie pilskiego Zespołu Szkół zaprojektował prof. Arkadiusz Marcinkowski. Patronat nad projektem murali patriotycznych objęli: Urząd Wojewódzki w Poznaniu, „Niepodległa" i Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych w Poznaniu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Partnerzy i patroni projektu

Młodzi artyści, którzy wystąpili podczas uroczystości odsłonięcia muralu

eprasa.pl 358b74afb8

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Kto tu wpuścił Ludmyłę?

Po Niemcach teraz Belgia dała nam demonstracyjnie prztyczek w nos, zapraszając Ludmyłę Kozłowską na specjalną wizę, motywowaną „ważnym interesem państwowym". Ważnym interesem zarówno parlamentu niemieckiego, jak i urzędującego w Brukseli europejskiego jest wysłuchanie opinii pani Kozłowskiej o panującym w Polsce autorytarnym reżimie, który prześladuje ją „tylko dlatego, że jest cudzoziemką". Polskie władze twierdzą, że odnośne służby obu państw, którym przekazano poufne z natury dowody agenturalnych powiązań owej pani z Rosją, uznały je za wystarczająco uzasadniające zakaz wjazdu do strefy Schengen, więc demonstracyjne zapraszanie takiej „ekspertki" od polskiej demokracji jest „niezrozumiałe" i „musi być motywowane politycznie".

Agent Putina chwaliłby przecież Putina i w ogóle miał napisane na koszulce, że jest agentem Putina

Zapewne. Ale warto przypomnieć, skąd się „ekspertka" wzięła i dlaczego można jej teraz tak łatwo używać przeciwko Polsce. Mądrzy ludzie – tu ukłon zwłaszcza wobec Balli Marzec – na cuchnące z dala putinowskimi służbami i przestępczymi powiązaniami sprawki sponsora pani Ludmyły, kazachskiego milionera Abliazowa, wskazywali dawno i dawno alarmowali. Groch o ścianę, bo te ostrzeżenia zderzyły się z obłędną ukrainofilią obecnej władzy. Pani Kozłowska z panem Kramkiem walczyli, w oczach PiS, o wolność Ukrainy, a w każdym razie głośno się po stronie walczących Ukraińców opowiadali, więc wiadomo, że ktokolwiek ich atakował, musiał być ruskim trollem. Myśl, że ktoś, kto deklaruje się jako przeciwnik Putina, może brać od niego właśnie pieniądze i realizować jego interesy, prostodusznym PiS-owcom zupełnie do głowy nie przyszła. Nawet gdy im dowody podstawiano na tacy pod nos. Agent Putina chwaliłby przecież Putina i w ogóle miał napisane na koszulce, że jest agentem Putina – to wie każdy z naszych speców od tajnych służb, agentów wpływu i sekretnych operacji.

Trzeba było dopiero, żeby finansowana via Abliazow fundacja zaczęła organizować „Majdan w Warszawie" i instruować, jak „wyłączyć" państwo polskie… No cóż, mleko się rozlało i nic się już nie da poradzić – ale może przynajmniej na przyszłość ktoś pomyśli zawczasu, zamiast udowadniać, że „Polak i przed szkodą, i po szkodzie głupi". Taką mam nadzieję. Nie ukrywam, że słabą. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Na złość mamie...

Można niekiedy odnieść wrażenie, że potężne pieniądze, jakie Kreml wydaje na utrzymanie i funkcjonowanie armii trolli, są wydawane niepotrzebnie. Zła wiadomość – robotę prokremlowskich idiotów zbyt często odwalają w Polsce ludzie, którzy odsunięci od koryta obrazili się na rzeczywistość.

Ot, gen. Mirosław Różański – żołnierz szanowany przez podwładnych. Kontestuje poczynania polskiego rządu, od kiedy odszedł z wojska, a odszedł, gdy dano mu do zrozumienia, że w strukturach dowódczych nie ma dla niego miejsca. Skrytykował właśnie projekt tworzenia stałej bazy NATO w Polsce, argumentując, że zwolni to Rosję z przestrzegania traktatów, a to zagrozi bezpieczeństwu Polski. Argumentacja infantylna; Rosja od dawna lekce sobie waży międzynarodowe umowy, poczynając od Memorandum budapeszteńskiego z 1994 r. Jednak skoro rząd chce stałej bazy NATO w Polsce, to generał na złość mamie...

Wypowiedź Różańskiego musiała sprawić sporą frajdę wojskowym na Kremlu i w Berlinie. Obu stronom zależy na tym, by Polska odgrywała w NATO marginalną rolę. Obie też wykorzystają wypowiedź znanego generała, by w amerykańskich sferach wojskowo-politycznych lobbować przeciw instalacji stałej bazy NATO w Polsce.

Co gorsza, dictum generała natychmiast bezmyślnie podchwyciło i poniosło dalej w mediach społecznościowych kilku posłów opozycji oraz związanych z nią portali. I tak narracja Dmitrija Pieskowa, rzecznika Kremla (w czerwcu straszył rosyjską kontrakcją, jeśli w Polsce stanie baza NATO), tym razem sformułowana ustami polskiego generała, powielana przez sympatyków opozycji rozeszła się po Polsce i świecie. Na złość PiS zrobili dobrze Putinowi... ©℗

eprasa.pl 358b74afb8

Energa Basket Liga

#EnergaBasketLiga

Znajdziesz nas na:

/plksa /PLKpl /plk_pl

Energa Basket Liga www.plk.pl

Oglądaj nas na POLSAT SPORT HD
w sobotę i niedzielę o godz. 12:30

SPONSOR TYTULARNY: Energa

PARTNER GŁÓWNY: LOTTO

SPONSOR OFICJALNY: SUZUKI

PARTNER MEDYCZNY: enel-med, enel-sport

PARTNERZY: POLSAT SPORT HD, VERONI active, SPALDING, AEROWATCH, PRZEGLĄD SPORTOWY, TRANSITION TECHNOLOGIES

eprasa.pl 358b74afb8

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Der deutsche Konsens ist kaputt

Wiedzą państwo, kim jest Hans-Georg Maassen? Dzisiaj jest pełnomocnikiem do spraw europejskich i międzynarodowych w federalnym ministerstwie spraw wewnętrznych Niemiec. Jednak jeszcze dwa tygodnie temu był szefem Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji (Bundesamt für Verfassungsschutz), niemieckiego odpowiednika Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Struktury, która odpowiada m.in. za rozpoznanie zagrożeń, które stwarzają imigranci.

Stanowisko stracił po gwałtownych sporach i przepychankach w rządzie. A te zaczęły się, ponieważ pan Maassen nadepnął na odcisk kanclerz Merkel. Stwierdził mianowicie, że podczas zamieszek w Chemnitz, spowodowanych zabójstwem dokonanym przez imigrantów, media informowały fałszywie o sprawie i wbrew ich narracji nie trwało żadne „polowanie skrajnej prawicy na imigrantów".

Słowa Maassena bardzo nie spodobały się Andrei Nahles, przewodniczącej lewicowej SPD, koalicyjnego partnera CDU, która domagała się dymisji Maassena. Bronić go próbował jego szef, minister spraw wewnętrznych i zarazem lider CSU, Horst Seehofer, ale poległ. Maassen dostał najpierw kopa w górę, na lepiej płatne stanowisko w MSW. Potem i to oprotestowano. Skończył jako wspomniany pełnomocnik.

Jak nietrudno się było spodziewać, akcja z dymisją Maassena stała się kolejną pożywką dla AfD, której działacze triumfalnie dowodzili, że Seehofer nie ma kręgosłupa, a szef Urzędu Ochrony Konstytucji wylatuje ze stołka za mówienie prawdy o imigracji w Niemczech.

Niemcy szczycą się tym, że są krajem konsensusu. Na nim opierała się przez dziesięciolecia niemiecka polityka: na dialogu, tłumaczeniu, wyjaśnianiu, omawianiu. Co omówione, przeanalizowane i wyjaśnione – to zamknięte, nie ma już o czym mówić. Takie jest niemieckie podejście choćby do kwestii II wojny światowej. I stąd nieporozumienia z Polską w tych sprawach – dla nas to wciąż żywe emocje.

Zdaje się jednak, że niemiecka kultura konsensusu się kończy – i to za sprawą decyzji Angeli Merkel, żeby otworzyć drzwi dla imigrantów. Ta decyzja wydawała się dużej części niemieckich elit należycie omówiona, przedyskutowana, przeanalizowana, a więc nie powinna budzić sprzeciwu – ale jest inaczej. Sprzeciw rośnie, mocna obecność AfD w życiu politycznym jest tego świadectwem, podobnie jak (toutes proportions gardées) wypowiedź Maassena. Można postawić tezę, że kończą się Niemcy, jakie znamy. I jakie znały niemieckie elity. Nawet jeśli ich część tego jeszcze nie widzi. Czy nam to czegoś nie przypomina? ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Brawo, generale Kufie

Po raz pierwszy zamiast o Twitterze napiszę o Facebooku. Oddaję głos niegdyś znanej pisarce Marii Nurowskiej.

Niestety, zamiast pisaniem ostatnio pani Maria zajmuje się publikowaniem antypisowskich memów. Oto jeden z nich: „Dowódca amerykańskiej jednostki wojskowej gen. Kuf Drahrepus podczas dzisiejszego spotkania z Donaldem Trumpem powiedział: »Jarosław Kaczyński to człowiek opętany żądzą władzy. Takich ludzi powinno się zamykać w specjalnych ośrodkach, a nie dopuszczać do decydowania o losach 40-milionowego narodu«. Nic dodać, nic ująć. Dziękujemy! Sok z Buraka".

Chociaż każdemu, kto umie czytać imiona i nazwiska od tyłu, zapaliłaby się czerwona lampka, dla pewności udostępniony przez panią Marię post miał następujący przypis innego internauty: „Wielki szacunek za te słowa, panie generale. Nawet jeśli to fejk i kimkolwiek jest ten facet, szanuję go za to, co powiedział". Niezrażona tym pisarka w uniesieniu dodała jednak i swój komentarz: „Generale! Wyjął mi to pan z ust!".

Ponieważ sytuację dodatkowo skomplikowało rozpoznanie na zdjęciu z prezydentem USA fotomontażu, a w nim twarzy znanego, hm, aktora, na pomoc ruszyła opozycyjna brygada antyfejkowa. „Pani Mario, trzeba uważać, co się udostępnia" – apelowała Beata Czuma. „Pisowcy specjalnie tworzą takie fake newsy, żeby potem wyszydzać i kompromitować opozycję. Warto sprawdzić, czy ktoś taki istnieje i coś takiego powiedział. I nie udostępniać Soku z Buraka, bo to wylęgarnia fałszywych informacji" – przestrzegała koleżanka.

I kiedy już wydawało się, że sprawy idą ku lepszemu, pani Maria znowu się odezwała. „A nie jest prawdą, co generał powiedział Trumpowi? Święta prawda. Kaczyński to jest p...b i tyle. A Sok z Buraka jest OK". Ponieważ krytyka wpisu nie była jednostkowa, w końcu przyszła spóźniona i niepełna refleksja. „Niestety z żalem musiałam usunąć żart Soku z Buraka o gen. Kufie, bo rzuciły się na mnie trolle z tak chamskimi komentarzami, jak to zwykle. Ta Polska chamsko-kaczyńska niedługo przejdzie do historii, mam nadzieję!" – odparła z goryczą Nurowska. Na koniec zacytuję jednego z trolli i uprzejmie zamilknę: „Wam nie trzeba pomagać. Wam tylko dać czas i sami się wszyscy wyeliminujecie". ©℗

eprasa.pl 358b74afb8

Rzym 2217

Nad Kaplicą Sykstyńską biały dym. Konklawe wybrało nowego papieża. Na tronie Stolicy Piotrowej zasiadł Judasz.

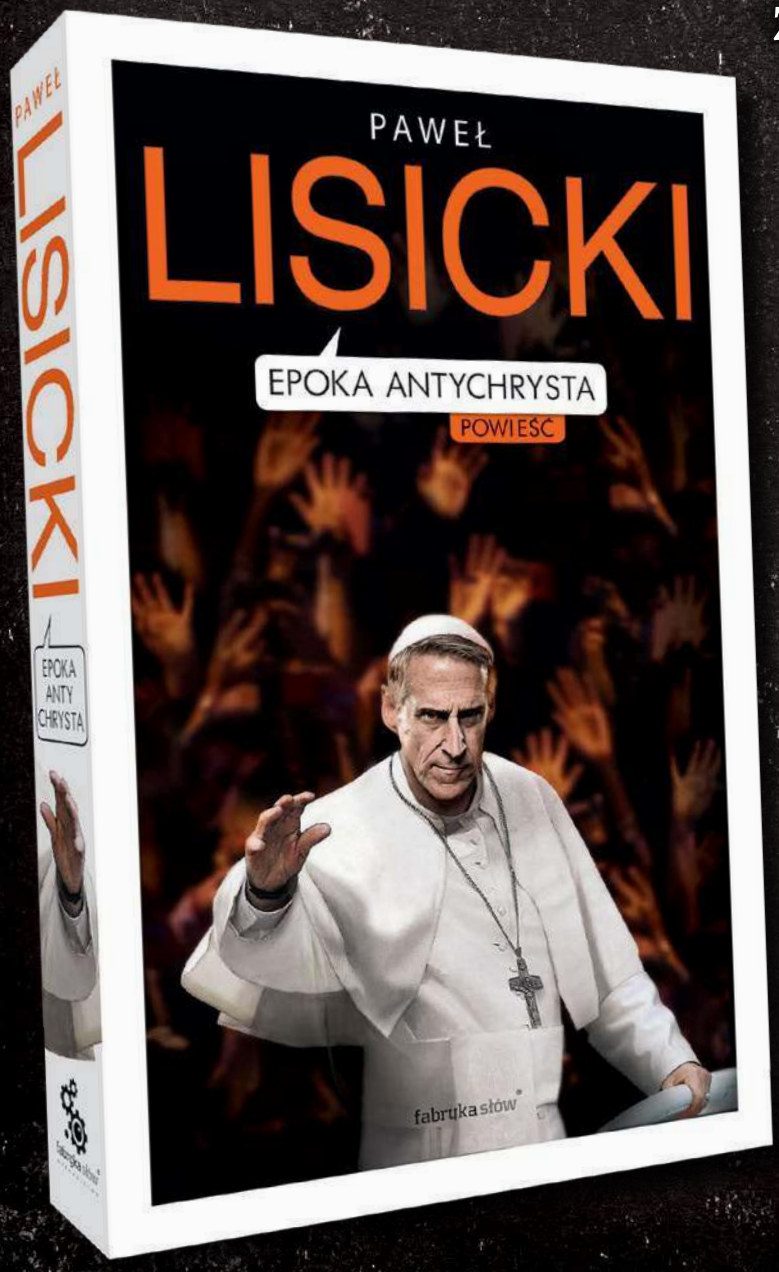

„Opowieść o upadku duchowieństwa podążającego nie za głosem Boga, a za głosem wpływowych celebrytów i mediów”

JACEK PIEKARA

Jaka stanie się ludzkość pod wpływem papieża Judasza i jego reform?

RAFAŁ DĘBSKI

fabryka słów
WYDAWNICTWO

PATRONAT MEDIALNY

Trójka POLSKIE RADIO

DO RZECZY

wSensie.pl

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. PAWEŁ GROMADA

DUBLER EROTYCZNY

Aktor Adam Woronowicz oznajmił twórcom serialu „Diagnoza", w którym gra jedną z głównych ról, że nie chce więcej grać scen erotycznych. Co więcej, zażądał dublera, gdyby scenarzyści upierali się przy tego typu scenach. A wszystko przez jeden z odcinków serialu, w którym Woronowicz musiał zagrać mocno erotyczną scenę z Danutą Stenką. – Adam był zawstydzony po nagraniu tej sceny – doniosła tabloidowi „Fakt" osoba z produkcji serialu. – Powiedział producentom, że już nigdy więcej nie zgodzi się na tak odważne sceny. Gdyby miało do nich dojść, poprosi o dublera – czytamy. W ramach zemsty Stenka też powinna poprzeć prośbę o dublera dla Woronowicza. We wszystkich pozostałych scenach.

KOŃ JAKI JEST, KAŻDY WIDZI

Znany koszykarz Marcin Gortat postanowił podarować swojej ukochanej Alicji Bachledzie-Curuś nietypowy prezent. Otóż kupił jej dwa konie ze stadniny w Janowie Podlaskim. – Zależało mu na tym, by otrzymała od niego coś, czego nie dał jej nikt inny – ujawnia znajomy koszykarza w rozmowie z „Na żywo". – Jego wybór padł na klacz Primę, którą zadedykował gwieździe, i ogiera Cedrika. Alicja była zachwycona. Nie spodziewała się tak niezwykłego prezentu – dodaje. Konie miały być prezentem ślubnym. Sęk w tym, że do ślubu nie doszło. Para się rozstała i teraz jest problem, co zrobić z końmi. – Wszystko było już załatwione, ale sportowiec wstrzymuje się z decyzją o wywiezieniu ich z Janowa. Alicja nie ma dla nich warunków, mieszka w willi, a nie na ranczu. Marcin jest facetem honorowym i choć się rozstali, to Prima należy do Alicji i ona teraz powinna zdecydować o jej losie – mówi informator gazety. Naszym zdaniem Alicja, której coś nie bardzo idzie kariera w Hollywood, powinna wziąć Primę do siebie. Czasem dla odmiany fajnie będzie spaść z dobrego konia. Choćby i dosłownie.

BULDOŻKI W NIEBEZPIECZEŃSTWIE!

Opisywaliśmy niedawno, jak Kinga Rusin publicznie zarzuciła Małgorzacie Rozenek, że ta promuje kosmetyki, które są testowane na zwierzętach. Nazwała ją nawet wypindrzoną lalą. Rozenek niby odpowiadać nie chciała, ale coś tam napisała. W efekcie obie panie dostały zakaz wstępu na bal TVN. Kara bolesna, bo miały już przygotowane kiecki. Nie to jest jednak najgorsze! Okazało się, że po całej aferze do domu Lady Rozenek zaczęły napływać pogróżki. I to pod adresem jej Bogu ducha winnych buldożek!
– Pisali jej, że jeśli nie przestanie reklamować kosmetyków testowanych na zwierzętach, to ukradną jej ukochane buldożki francuskie – ujawnia w „Fakcie" znajomy celebrytki.
– Małgosia nie wyobraża sobie, by coś się stało Lili, Sisi lub Mariance, które traktuje jak córki. Nie zostawia zwierzaków samych w ogródku i nie pozwala synom samodzielnie wyprowadzać buldożków na spacer – czytamy w tabloidzie. Niedługo pewnie będzie musiała zatrudnić im profesjonalną ochronę. Nie wiadomo, do czego ta Rusin jest zdolna!

RADA NA WAGĘ ZŁOTA

FOT. FORUMGWIAZD.COM.PL

Sara Boruc, żona byłego bramkarza Artura Boruca, w ostatnim programie Kuby Wojewódzkiego mówiła sporo o relacjach damsko-męskich. Przyznała, że wszystkie żony znanych piłkarzy wbrew swoim zapewnieniom o samodzielności i ciężkiej pracy zawdzięczają wszystko swoim mężom. Koleżanki z branży pewnie nie polubią jej za te wyznania.
– Uważam, że żadna z nas nie może o sobie powiedzieć, że byłaby tam, gdzie jest, gdyby nie mąż – stwierdziła w programie Kuby Wojewódzkiego w TVN. – Ale to jest w porządku, bo po to jesteśmy razem, żeby się wspierać – dodała. W ramach wspierania swojego męża Sara opowiedziała o tym, jak kobiety powinny postępować z facetami. – Jest bardzo dużo rzeczy, które możemy sobie załatwić jako kobiety. Kobiety powinny mieć takie podejście do faceta, żeby on nie poczuł, że jest wykorzystywany – radziła Sara. Była w tym bardzo przekonywająca. Ciekawe dlaczego. ©℗

eprasa.pl 358b74afb8

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, wspaniałe wieści dochodzą z tęczowego obozu Roberta Biedronia. Otósh jeden z jego doradców sformułował pomysł, iżby państwo wprowadziło mechanizm redystrybucyjny podróży lotniczych.

Wreszcie ktoś się zajął tym tematem na poważnie. Samolot jest bowiem jednym z największych narzędzi służących do pogłębiania nierówności. Nie dość, iż jednych stać na latanie, a drugich nie, to jeszcze ci, którzy latają, patrzą z góry na tych, którzy latać nie mogą.

Of kors łatwiej byłoby zrobić tak, iżby wszyscy byli równi i nie było ich stać na podróże samolotem, ale to będziemy wprowadzać na kolejnych etapach redystrybucji. Na razie musimy skupić się na wykluczeniu lotniczym i zapewnić większą liczbę lotnisk w mniejszych miejscowościach oraz otworzyć zawód pilota, z którego obecnie mnóstwo osób jest wykluczonych.

Oglądaliście już może nowy film pod tytułem „Kler"? My co prawda go jeszcze nie widzieliśmy, ale musimy przyznać, iż nam się podoba. Nowy z Tarnowa też nie widział, ale on z kolei jest oburzony, film mu się nie podobał i Nowy nawołuje, iżby go nie oglądać. Sami więc doskonale widzicie, jak Kościół strasznie polaryzuje społeczeństwo w tym kraju i wprowadza kolejne podziały!!!

Jeden z banków, które działają w tym kraju, zwrócił uwagę na ważny społecznie problem, czyli na to, iż na banknotach używanych w tym kraju nie ma wizerunków waginoosób.

Jak dobrze wiecie (albo i nie, iż jesteście nowocześni i płacicie zbliżeniowo), na banknotach są za to sami patriarchalni, brodaci i wąsaci królowie. To oczywiście jest jedna z dalszych konsekwencji, iż kraj ten wciąż pozostaje poza strefą Euro.

Inną konsekwencją jest wstyd, jaki zaczynamy właśnie przeżywać wobec turystów z Zachodu, którzy dokładnie oglądając polskie banknoty, dziwią się, iż w XXI w. nadal możliwa jest taka dyskryminacja waginoosób w przestrzeni publicznej.

Musimy więc zaproponować, iżby wydrukować nowe pieniądze, na których zachowamy parytety w wizerunkach. Of kors nie poprzestaniemy na równości płci, czyli 65 proc. waginoosób vs 35 proc. mężczyzn. Fallusoosobnicy powinni być również różni pod względem przynależności LGBTQWERTY, uposażenia pigmentalnego czy też wyznania. Czas wyeliminować białych, starszych, heteronormatywnych mężczyzn z obiegu waluty!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

Wydawnictwo eSPe poleca:

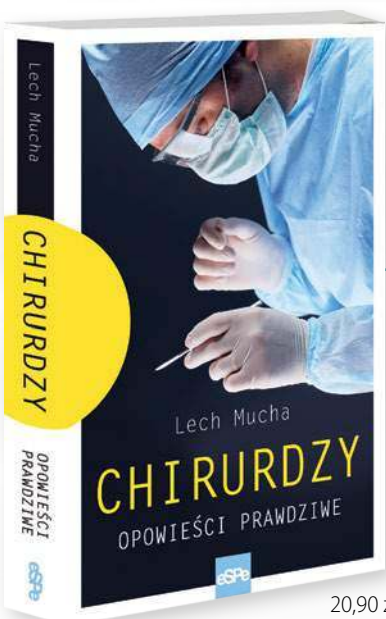

Przeczytaj autentyczne historie z sal operacyjnych, izb przyjęć i sal zabiegowych, w których pracują chirurdzy! Tego nie zobaczysz w żadnym serialu!

20,90 zł

Odkryj zapomnianych bohaterów Rzeczypospolitej! Poznaj pasjonującą historię ich tułaczki, walk i gorącej miłości do Tej, co nie zginęła!

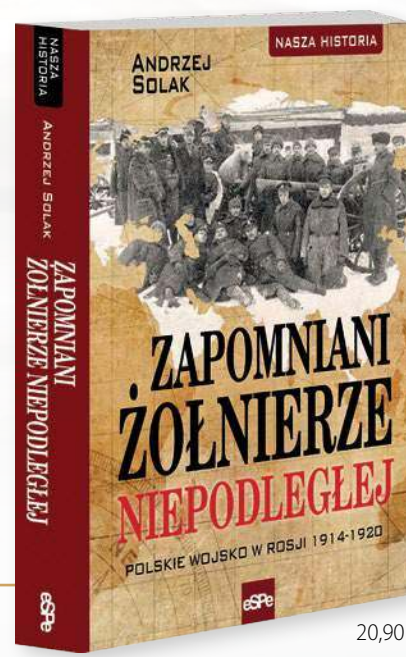

20,90 zł

eSPe Przesyłka GRATIS dla zamówień pow. 100 zł!

Zamawiaj telefonicznie: **12 413 19 21 w. 101**, mailowo: **ksiegarnia@boskieksiazki.pl** lub na: nr konta: 51 1240 2294 1111 0000 3723 3754

boskieksiążki.pl

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Skarga niech się skargą odciska. Piszemy tak nie bez powodu. W kręgach rządowych rozważany jest bowiem pomysł zaskarżenia rozmaitych kwestii do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Włącznie z tym, że Komisja Europejska nie miała prawa skarżyć przed tym samym trybunałem spraw regulowanych na poziomie krajowym, a nie unijnym. Czytaj – sprawy reformy sądów. Czekamy, czekamy.

Ciekawe rozważania snuto też w podziemiu, to znaczy u Eine Totaloppo-sition. Frakcja radykałów domagała się brutalnej odpowiedzi na wypowiedzi premiera Mateusza podające w wątpliwość osiągnięcia PeŁo na niwie budowy dróg i mostów. Planowano odpowiedź w stylu Palikota, czyli nieuchwytne na drodze sądowej obraźliwe pytania retoryczne pod adresem PiS i premiera. Niestety, sąd po dwukrotnym odwaleniu skargi PeŁo za trzecim razem kazał Mateuszowi prostować, więc radykałów powstrzymano. Coś nam mówi, że nie na długo.

Tymczasem w Sądzie Najwyższym. Ktoś wpuszcza na teren tej szlachetnej instytucji rozmaitych KOD-uchów oraz innych UB-wateli RP. Rozleźli się po całym gmachu. Co gorsza, ktoś im podpowiada, którzy sędziowie są nowi, to znaczy wyznaczeni przez reżim kaczystowsko-dudowski. No i stalkerzy demokracji siedzą pod wrogimi gabinetami całymi dniami oraz agitują i protestują. Nowi mają więc przechlapane: ani się kawy w bufecie spokojnie napić, ani do wychodka pójść.

W związku z powyższym dwie ciekawe sprawy. Po pierwsze nowi poważnie zastanawiają się nad wprowadzeniem do gmachu Sądu Najwyższego własnych kontrbojówek. Po drugie prowadzą prywatne śledztwo w sprawie „Kto nas zakapował", bo niby skąd zwykły KOD-uch czy UB-watel miałby wiedzieć, jak odróżnić nowego sędziego od starego. Cień podejrzenia padł na straż sądową, której funkcjonariusze zostali wyposażeni w zdjęcia nowych sędziów, żeby było wiadomo, kogo wpuszczać. Ciąg dalszy z pewnością nastąpi.

Apropos Sądu Najwyższego. PiS-owski taliban jest zły, że premier Mateusz spotkał się potajemnie z osobą prywatną, znaczy emerytką Małgorzatą Gersdorf, co dało jej powód, by stawiać warunki i ogłaszać się nieemerytką. PiS-owski taliban wyraża głośno swe niezadowolenie z działań premiera. PiS-owski taliban nazywa się Marek Suski i jest szefem gabinetu politycznego premiera. Ciekawi nas, co będzie dalej. Jeśli bowiem idzie o pamiętliwość, to Mateusz nie różni się od Jarosława.

Uwaga, podajemy najnowszy stan sejmików wedle wewnętrznych sekretnych sondaży PiS. Zjednoczona Prawica wygrywa w 12 sejmikach, rządzi samodzielnie w 6. Dwa tygodnie temu sondaże mówiły, że rządzi w 5. Zatem używając nomenklatury z komunikatów o stanie wód w Polsce: „Przybyło jeden".

Uwaga, podajemy instrukcję, jak rozpoznać dawnego wójta z PSL, który obecnie zamierza być wójtem z PiS. Szukamy kandydatów, którzy o kolejną kadencję nie ubiegają się już jako kandydaci ludowców, ale np. „Samorządny Gręplin Dolny" albo „Niezależni z Gręplina Górnego". Uważnie czytamy to, co małym druczkiem. Mały druczek mówi: „z poparciem PiS". Powody tych maskarad są dwa. Zwykle lokalny PiS burzy się przeciw przyjmowaniu do partii przedstawicieli władzy słusznie minionej. A i sami kandydaci tak wolą.

Wyjaśniamy, o co chodzi z poprzednią notką – tak jak Polska długa i szeroka, wójtowie z Peezelu skłaniają się ku współpracy z dyktaturą kaczystowsko-dudowską. I my ich dobrze rozumiemy.

Skoro już wyjaśniamy, to będziemy też uczyć i pomagać zrozumieć. Lekcja na dziś: o co chodzi z podpisami nieżyjących osób na listach poparcia kandydatów niektórych komitetów. Odpowiadamy: chodzi o przekazywaną z pokolenia na pokolenie tradycję.

Już tłumaczymy. Zbieranie podpisów pod listami to robota żmudna i niewdzięczna, dlatego wszystkie partie (wiemy, co mówimy, znamy te numery) recyklingują podpisy i raz zebranych używają w kolejnych wyborach, czasem trochę

eprasa.pl 358b74afb8

odświeżając. Często politycy, odchodząc z dawnej dużej partii do nowej małej, zabierają ze sobą trochę podpisów. Na zapas. A że małym partiom szczególnie trudno zebrać podpisy, to siłą rzeczy procent tych recyklingowanych jest większy. Teraz najśmieszniejsze: kiedyś te podpisy były nawet aktualne, tylko że w ciągu długich lat recyklingu oryginalni autorzy niektórych zdążyli pożegnać się ze światem.

Tymczasem w Warszawie. Czarne chmury nad Rafciem Trzaskowskim, a wszystko przez podłych ekspertów komisji Jakiego. Otóż odkryli oni, że dawno, dawno temu, kiedy istniało jeszcze Ministerstwo Cyfryzacji i Administracji, znane jako MAC, była to ostatnia instancja, która mogła powstrzymywać mafie reprywatyzacyjne. Żeby bowiem otrzymać nieruchomość, delikwenci musieli zdobyć jeszcze jedną ważną pieczątkę: właśnie MAC. I wiecie, co się okazało? Kiedy Rafcio Trzaskowski stał na czele tego resortu, klepano decyzje, znaczy przybijano pieczątki, jak leci.

Jak Polska długa i szeroka wójtowie z Peezelu skłaniają się ku współpracy z dyktaturą kaczystowsko-dudowską. I my ich dobrze rozumiemy

A teraz najlepsze: są przesłanki, że przybijano pieczątki także na sprawach budzących wątpliwości. W przynajmniej jednym przypadku urzędnicy w przynajmniej jednej sprawie (pewnej kamienicy) alarmowali, że coś tu mocno cuchnie. I co? I nic. Pieczątka opadła, kamienicę wydano. No i wychodzi na to, że trzeba by teraz wezwać Rafcia przed oblicze komisji Jakiego. Czekamy, czekamy.

Pozostając przy walce o stolicę. Jest taki poseł w Sejmie. Podobno najbogatszy. I tak jak Rafcio oraz Patryk chce zostać prezydentem Warszawy, tyle że w imieniu kukistów. Wydawałoby się, że w tej sytuacji zgromadzenie kasy na kampanię będzie igraszką. Cóż, tylko wydawałoby się. Kukistowskie wiewiórki skarżą się, że poseł do tej pory nie

Kukistowskie wiewiórki skarżą się, że ich kandydat na prezydenta Warszawy nie wpłacił na własną kampanię ani grosza

wpłacił na własną kampanię ani grosza. I są tym zdziwione oraz sfrustrowane. Nie podzielamy tej frustracji. W końcu zasada numer jeden, kiedy chce się zostać bogatym, brzmi: nie wydawać pieniędzy na głupoty.

Apropos narodowców, choć nie zawsze kukistów. Z dala od hałaśliwego tłumu trwają ciche negocjacje. Przedstawiciele Nowogrodzkiej negocjują z organizatorami Marszu Niepodległości, jak zamienić w rzeczywistość marzenie o wspólnym maszerowaniu z okazji 100-lecia niepodległości. To znaczy próbują negocjować, bo na razie z drugiej strony ochoty do negocjacji brak.

Wracając do rozmaitych sejmowych komisji. Już za chwileczkę, już za momencik faszystowska komisja ds. zbrodni VAT-owskich przesłucha Jacka vel Jana vel Vincenta Rostowskiego. Dokładnie 9 października. To wszyscy wiedzą. To, czego nie wiedzą, to fakt, że na tym jednym spotkaniu z panem Jackiem Janem Vincentem się nie skończy. Jak tortury, to tortury.

My w sprawie kolejnych oskarżeń o to, że PiS jest prorosyjski. Ponieważ na każdą okazję mamy anegdotkę, i teraz się jakaś znalazła. Nie dość, że prawdziwa i smakowita, to jeszcze z czasów rządów PeŁo. Otóż dawno, dawno temu, kiedy Radek Sknerus Sikorski był ministrem spraw zagranicznych, zaprosił swego rosyjskiego odpowiednika Siergieja Ławrowa na doroczną odprawę dyplomatów. Przedstawiał mu po kolei dyrektorów swoich departamentów, przy kolejnych nazwiskach z dumą dodając: „absolwent MGIMO" (moskiewska kuźnia kadr sowieckiej dyplomacji). Dopiero przy ostatnim dodał: „A ten, wyjątkowo, nie z MGIMO. Co z nim zrobimy?". „Zostawimy, żeby zachować jakiś parytet" – odparł łaskawie szef rosyjskiej dyplomacji. ©℗

REKLAMA

Rewolucyjny poradnik pomagający przeciwdziałać utracie pamięci!

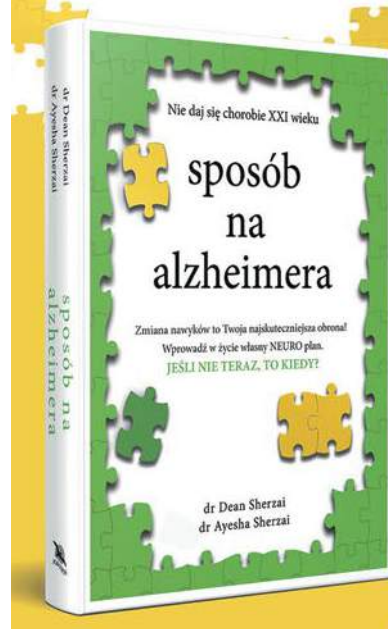

Znajdziesz w nim:

- analizę i omówienie wyników badań przeprowadzonych przez autorów,
- spersonalizowany kwestionariusz
- oceny poziomu ryzyka zachorowania,
- praktyczny pięcioczęściowy plan zapobiegania i ograniczania skutków choroby Alzheimera, obejmujący jedzenie, ćwiczenia, sen, techniki relaksu i codzienne wskazówki dla optymalizacji działań,
- wyśmienite i proste przepisy kulinarne dla całej rodziny.

NIE DAJ SIĘ CHOROBIE XXI WIEKU!

TO KSIĄŻKA DLA CIEBIE, TWOICH RODZICÓW I DZIADKÓW

Wydawnictwo Albatros

Zapraszamy do salonów empik i na empik.com

eprasa.pl 358b74afb8

Piotr Semka

Smarzowski stawia tezę: Kościół to samonakręcająca się maszyna zła. I aby ją „udowodnić", stworzył film przejaskrawiony i tendencyjny

Wojciech Smarzowski przebrany za księdza w zwiastunie do filmu „Ksiądz"
FOT. SHOWMAX

Film zły

Przy promocji tego obrazu wszystko miało być wyzywające. I tytuł „Kler", kojarzący się z językiem bezpieki PRL, i jego twórca Wojciech Smarzowski lubiący przebierać się w księżowską komżę, i wreszcie agresywny zwiastun filmu. A na premierę wybrano festiwal w Gdyni, buzujący w tym roku od antykaczystowskich nastrojów.

W kuluarach gdyńskiej imprezy część krytyków i aktorów demonstracyjnie odwracała się plecami do ekip TVP, inni scenicznym szeptem zastanawiali się nad tym, „czy za rok Gliński i Sellin nie zlikwidują festiwalu". Wszyscy wiedzą, że tak nie będzie, ale mimo to kiwano głowami w szczerej lub udawanej trosce.

Film „Kler", oprócz seansów konkursowych, puszczany był także w projekcjach dla zwykłej publiczności. Stanąłem w długiej kolejce na taki właśnie seans, ciekaw, kogo przyciągnął. Zaskoczeń nie było. Projekcja w naturalny sposób przyciągała głównie tych, których ekscytuje „tramwajowy antyklerykalizm".

Jedni zaśmiewali się z przebieranki reżysera w strój księdza, inni zastanawiali się głośno, „czy jurorom, starczy odwagi, by nagrodzić film".

Stojąc w długiej kolejce, przypomniałem sobie, jak 37 lat temu, w 1981 r., stałem w podobnym ogonku, próbując się dostać na „Człowieka z żelaza", gdy jeszcze festiwal odbywał się w Gdańsku. Wtedy też ludzie czekali godzinami, aby zobaczyć film symbol ówczesnych solidarnościowych emocji. Teraz w kolejce do sali nr 7 gdyńskiego Multikina dominowali „młodzi, wykształceni z wielkich miast". Wielu jakby żywcem wyjętych z demonstracji KOD. Za chwilę, już na filmie, nagrodzą salwami śmiechu każdą, nawet najbardziej tandetną kpinę z „pingwinów". Wchodzimy do sali. Gaśnie światło, zaczyna się film.

W MROCZNYM KRĘGU

Fabuła opiera się na losach trzech księży, którzy parę lat wcześniej ura-

eprasa.pl 358b74afb8

towali się z pożaru jednego kościoła. Teraz, w rocznicę szczęśliwego ocalenia, spotykają się na niezłą popijawę.

Ksiądz Kukuła (gra go Arkadiusz Jakubik) to proboszcz małomiasteczkowy, uczący także religii w szkole. Wiejskim księdzem jest ks. Trybus (Robert Więckiewicz), a trzeci z przyjaciół, ks. Lisowski (w tej roli Jacek Braciak), to typowy kościelny karierowicz. Nienagannie skrojona marynarka, drogi zegarek, kontakty z biznesmenami (także tymi szemranymi) i ambicje wyjazdu do Rzymu w celu dalszej, już watykańskiej, kariery.

Pierwsze 40 minut filmu to przegląd wszystkich antyklerykalnych klisz o klechach w stylu „Drogówki". Jeżdżą po pijaku, a policja oddaje im prawko po jednym telefonie do komendanta, spowiadają na głębokim kacu bez wsłuchiwania się w wyznania penitentów. Cynizm oblany ciągle pitą wódką. W wizji Smarzowskiego księża nie wierzą w nic prócz „korka, worka i rozporka" – spici śpiewają: „Oto tajemnica wiary – złoto i dolary!".

Przez krótki czas wydaje się, że reżyser zdecyduje się na jakieś światłocienie. Oto ks. Kukuła na lekcji religii musi znosić złośliwe i wyzywające pytania uczniów o grzechy i grzeszki Kościoła, na co reaguje agresją. Jakaś ludzka reakcja? Współczucie dla kapłana? Jednak nie. Za chwilę znów wracamy do świata forsy, seksu i władzy.

Demonem demonów okazuje się zwierzchnik ks. Lisowskiego – abp Mordowicz, grany przez Janusza Gajosa – bez żadnych umowności stylizowany na metropolitę krakowskiego – to chyba dość nieprzypadkowy kopniak. Gajos odtwarza na potrzeby filmu swoją rolę ordynarnego szefa Radiokomitetu z „Człowieka z żelaza". Arcybiskup Mordowicz co drugie słowo mówi „ku…a", pije wódkę szklankami, ma na gwizdnięcie wielu polityków i samego prezydenta RP i każe klerykom przygrywać do swoich popijaw na akordeonie. W krytycznych sytuacjach przynosi ze swojej szafy siatki pełne forsy zebranej na tacy. Nic dziwnego, że hierarcha wozi się luksusowym bentleyem.

Sam ks. Lisowicz dba, żeby uszczknąć nieco ze strumieni forsy, które płyną przed jego nosem. Wchodzi w ustawiane przetargi dla szkół katolickich, ale musi znosić niezadowolenie mafiosów.

I wreszcie trzeci wątek – ks. Trybus, który romansuje z gosposią, a gdy ta zachodzi w ciążę, usiłuje skłonić ją do aborcji w Czechach.

Na tym etapie film składa się z sekwencji skeczów w stylu „Nie" Jerzego Urbana. Niekiedy widać, że Smarzowski nie zna świata Kościoła. Oto wyciąga jako nowość znany od wieków dowcipas, że wezwanie św. Pawła: „Nie pijcie wina" można uznać za zachętę do picia wódki. W innej scenie abp Mordowicz, oglądając nowy pastorał, mówi: „Złote, a skromne" – a sala ryczy ze śmiechu.

Zwrot w akcji i jej dynamizacja zaczynają się, gdy w zakrystii ks. Kukuli zostaje znaleziony omdlały ministrant. Na pogotowiu wychodzi na jaw, że był gwałcony homoseksualnie. W parafii wierni zaczynają podejrzewać ks. Kukułę o gwałt na dziecku. Napięcie rośnie, aż po jednym z pogrzebów wrogi tłum skandujący: „Pedofil" goni kapłana, a ten musi ukryć się w chaszczach nad rzeką.

Ksiądz Kukuła zaczyna własne śledztwo, kto skrzywdził dziecko, i natrafia na opór kurii. Aby uciszyć niewygodnego kapłana, zostaje on wysłany do domu księży emerytów. I wtedy Smarzowski ujawnia widzowi, że ks. Kukuła sam był ministrantem gwałconym w latach 80. przez swego proboszcza, ks. Stanisława. Reżyser nie szczędzi odpowiednich reminiscencji. Aby dosypać pieprzu i przełamać kolejne tabu, filmowy ks. Stanisław zostaje ukazany jako kapelan solidarnościowych robotników. Na mszach, które prowadzi i na których wzywa do oporu, widać liczne transparenty podziemnej Solidarności.

Jednocześnie Smarzowski odpala inną sensację – ks. Lisiewicz jako dziecko był w sierocińcu prowadzonym przez zakonnice. Przytułek przedstawiono w filmie jako obóz koncentracyjny. Sadystyczna siostra oddaje na noc władzę nad salami wyznaczonym wyrostkom pełniącym role kapo, którzy gwałcą niepokorne ofiary. A jak wyjdzie potem na jaw – to ks. Lisowski gwałcił ministranta z parafii ks. Kukuli.

Opowiadając o dzieciństwie księży Kukuli i Lisowskiego, reżyser stawia tezę: Kościół to samonakręcająca się maszyna zła – skrzywdzeni seksualnie za dziecka gwałcą kolejne dziecięce ofiary, gdy są dorosłymi kapłanami.

Kolejny wątek mający ukazać przeżarcie Kościoła złem, to starania ks. Lisowskiego, aby zdobyć zgodę abp. Mordowicza na wyjazd do Rzymu. W ramach cynicznej wymiany dóbr ze starym kanclerzem (gra go Stanisław Brejdygant) zdobywa film z wizyt arcybiskupa pod batem dominy w salonie sado-maso. Szachuje tym Mordowicza i wyjeżdża w końcu do Rzymu.

Niekiedy film przypomina reportaż – na zasadzie wtrętu w fabułę wbite są wypowiedzi aktorów grających ofiary wykorzystywania seksualnego księży. Bez związku z akcją jest też scena, gdy dorosły człowiek chce ujawnić molestowanie z dzieciństwa wobec kolegium biskupiego, które odrzuca lub wyśmiewa jego zeznania.

Finałowa scena to uroczyste otwarcie sanktuarium – oczka w głowie abp. Mordowicza, na które przybywa para prezydencka (stylizowana niedwuznacznie na Andrzeja i Agatę Dudów). Ksiądz Kukuła – zrozpaczony niechęcią Kościoła do wyjaśnienia gwałtu na ministrancie i samobójstwem chłopca – podpala się. Otaczający go katolicy odsuwają się jak od zarazy od kapłana, który w całopalnej ofierze za zło innych tworzy na ziemi płonący krzyż.

130 MINUT GROZY

Czy film jest przekonujący? Właśnie dlatego zdecydowałem się opisać jego fabułę, aby pokazać, jak wielkie nagromadzenie patologii i zbrodni zaprojektował Smarzowski. Nikt nie przyjmie serio takiego nagromadzenia grozy – powie ktoś. No dobrze, ale ja widziałem ten film i słyszałem oklaski widowni.

Na jego siłę składa się to, że jest sprawnie zrobiony, operuje dobrymi i znanymi aktorami oraz wciąga w akcję.

I nikt nie zauważa licznych przerysowań? – znów ktoś spyta. Recepcja filmu zależna jest od tego, czy ktoś styka się z Kościołem z bliska, czy z daleka. Ktoś, kto nigdy nie chodził płacić za ślub czy pogrzeb, uzna za wiarygodną scenę, w której filmowy wiejski ksiądz żąda od ubogiej rodziny 2 tys. zł za pochówek.

Ktoś, kto nie zna życia parafii, a ma antyfaszystowską obsesję – uzna za normalną, ba, wręcz za demaskatorską, scenę, gdy na plebanii wódz nazioli, wymachując kijem baseballowym, trenuje bojówkę łysych osiłków.

Ktoś, kto posądza zakonnice o wszystko, co najgorsze, uzna, że pokazana w filmie sprzedaż za grubą forsę dzieci dla par adopcyjnych w RFN jest udowodnionym procederem.

A skoro takie wątki widz szybko zaczyna „łykać" – to już sceny walki o władzę w kurii, używanie haków i kompromatów przypomni widzowi

eprasa.pl 358b74afb8

filmy mafijne i jawi się już jako święta prawda. „Bo przecież gdzieś tak może być, nieprawdaż?" – zdaje się mówić do widza reżyser.

I na tym może polegać sukces filmu. Oglądać będą go ludzie, którzy albo utwierdzą się w swym antyklerykalizmie, albo – szczególnie młodzi – na zasadzie szoku uznają, że Smarzowski odkrył skrywany przed nimi świat. Coś jak nastolatek porażony wizytą w domu publicznym.

Drastyczne, wyraziste sceny utkwią w pamięci wielu widzów. Nie da się ich „odzobaczyć". Te sceny odezwą się w podświadomości, w chwili decyzji, czy oddać dziecko do katolickiej szkoły, czy głosować w radzie miasta za przekazaniem lub nie gruntu pod budowę kościoła, czy w czasie debat nad usunięciem lekcji religii ze szkół.

Ten film winien przypominać osobom wierzącym, że nic nie jest dane raz na zawsze. Że zawsze przychodzi nowe pokolenie, które nie ma doświadczenia Kościoła będącego nadzieją w szarzyźnie PRL i schronieniem w epoce Jaruzelskiego. Że to, co było oczywiste dla pokolenia pamiętającego najlepsze lata Jana Pawła II, nie musi być równie jasne dla tych, którzy pamiętają polskiego papieża jako słabnącego starca. A z kolei tamto doświadczenie jest jeszcze bledsze u kogoś, kto wchodzi w dorosłość w chwili, gdy polscy biskupi są skonfundowani oskarżeniami kard. Viganò wobec papieża Franciszka, a feministki bezkarnie wymalowują obraźliwe hasła na warszawskiej kurii. To ich chce przyciągnąć na swój film Smarzowski. I wdrukować im w pamięć drastyczne sceny. Tym bardziej że Kościół idealnie pasuje do snucia demonicznych wizji. Każdy się z nim styka, ale jego wewnętrzny świat pozostaje dużej części Polaków nieznany.

Czy inaczej było w latach 30. z niemieckimi Żydami? Każdy widział ich sklepy, banki i synagogi, ale nikt nie wiedział dokładnie, co się dzieje w ich świecie. Tym łatwiej było wmawiać nazistom, że pod znakiem gwiazdy Syjonu narastają kłamstwo, chciwość i rozwiązłość. Przecież prasa NSDAP też tworzyła stereotyp Żyda, który czyha pedofilsko na niemieckie dzieci.

Coś, co jeszcze dziwi, to zgoda znanych aktorów, takich jak Janusz Gajos czy Robert Więckiewicz, na udział w tak tendencyjnym i przejaskrawionym filmie.

A przecież całkiem niedawno plejada aktorów ogłaszała gromko, że nie przyjmie propozycji z filmu „Smoleńsk", odrzucając „łopatologię" i „upolitycznienie".

Teraz bez większych problemów grają w filmie przedstawiającym ludzi Kościoła bez wyjątku jako postacie wredne i zepsute. Jedyne dwa przykłady pozytywne, które wyrywają się z kręgu zła – opuszczają Kościół. To filmowy ks. Trybus, który porzuca kapłaństwo i wiąże się jawnie z uwiedzioną gospodynią, oraz filmowy ks. Kukuła, który wybrał los żywej pochodni w imię protestu przeciw zakłamaniu hierarchii.

I jeszcze jedno. Smarzowski omija temat homoseksualizmu w Kościele z jednym, drobnym wyjątkiem – lepkich rozmów dwóch księży w kurii jako ilustracji do sytemu karierowiczostwa w świecie demonicznego abp. Mordowicza.

Rośnie przyzwolenie elit na agresywny antyklerykalizm. To jest najbardziej ponury wniosek z filmu „Kler"

ZLECENIE NA NAGRODĘ

Jury nie przyznało „Klerowi" ani Złotych, ani Srebrnych Lwów gdańskich. Film otrzymał jedynie dość enigmatyczną nagrodę specjalną i nagrodę publiczności.

Te gesty nie uśmierzyły jednak irytacji części krytyków filmowych. Tomasz Raczek pisał na Twitterze: „Unikowy werdykt jury festiwalu w Gdyni, pomijający »Kler«, który był z całą pewnością wydarzeniem festiwalu, sprawił mi przykrość".

Na łamach „Gazety Wyborczej" inny filmoznawca, Tadeusz Sobolewski, insynuował, że jurorzy przestraszyli się ministra Piotra Glińskiego. „Jury pod kierownictwem Waldemara Krzystka musiało czuć na sobie niewidzialny nacisk władzy, od której zależy los festiwalu i polskiego kina w ogóle. Na nieszczęście dla nich »Kler« okazał się filmem, obiektywnie biorąc, bardzo dobrze zrealizowanym. Robili, co mogli. Stworzyli osobną nagrodę dla »Kleru«".

Nie chcę wchodzić w debaty, czy prezes Radia Gdańsk miał podstawy, by uznać, że nie sposób było zmierzyć długości oklasków po premierach, bo po jednych na scenę wychodziła ekipa twórców, a na innych nie. Wiem, że o wiele lepiej było postawić sprawę jasno – warto potraktować ten film specjalnie, bo rzadko się zdarza taka skala niechęci i insynuacji wobec jednej z grup społecznych.

Wszelkie opowieści obrońców filmu, że ma on wywołać katharsis, można włożyć między bajki. Takie filmy kreują złe stereotypy, które powodują potem konflikty i tragedie. Gdyby reżyser zrobił cały film na temat istotnie dającej się wyobrazić gorzkiej konfrontacji ofiary molestowań z niechętną mu komisja biskupią – wyszedłby zapewne nieporównanie bardziej poruszający obraz. Do tego trzeba jednak kogoś bez skłonności do draki i ubierania się w ornat. Kogoś, kto po stonowanym w przekazie racji „Wołyniu" nie musi udowadniać filmowemu salonowi, że nie stał się prawicowcem.

Trafne jest pytanie, dlaczego reżyser demaskator nie ma w planach podobnego filmu o muzułmanach czy Żydach.

Smarzowski wybiera za cel Kościół, bo wie, że niczym mu to nie grozi. A odmówienie mu nagrody Radia Gdańsk czy akcje bojkotu filmu w tym czy innym mieście tylko przyniosą mu fałszywy laur męczeństwa.

I na dodatek wie, że na agresywny antyklerykalizm rośnie przyzwolenie elit. To jest najbardziej ponury wniosek z filmu „Kler". Co paradoksalne – sam Smarzowski, filmując scenę pogoni tłumu ludzi za księdzem posądzonym o pedofilię – sam stworzył w tej kwestii ponure memento.

Nie mam złudzeń – znajdą się publicyści katolicyzmu otwartego, ale i ci publicyści konserwatywni, których boli taktyka „zamiatania brudów pod dywan", którzy doszukiwać się będą w tym filmie pozytywów. Pisać o oczyszczającej mocy i efekcie wstrząsu. Mówię wprost – nie przekonuje mnie taka argumentacja. Nikt z kapłanów i biskupów odmalowywany w filmie, w tak złych barwach, raczej nie zdobędzie się na wewnętrzną dyskusję po obejrzeniu dwóch godzin obraźliwych stereotypów pod swoi adresem.

Smarzowski nakręcił kiedyś „Dom zły". Teraz stworzył „Film zły" mogący przynieść wiele nienawiści.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 358b74afb8

STRAŻNIK PAMIĘCI 2018

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

6 LISTOPADA 2018

GALA WRĘCZENIA NAGRÓD

VI EDYCJA

NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł **STRAŻNIK PAMIĘCI** przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PATRONAT HONOROWY

SEJM

niepodległa – Polska Stulecia Odzyskania Niepodległości

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

SPONSOR

PGNiG

PARTNERZY

PZL-ŚWIDNIK a LEONARDO HELICOPTERS company

IC PKP INTERCITY

Poczta Polska

TOTALIZATOR SPORTOWY

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

WSPÓŁORGANIZATOR

eprasa.pl 358b74afb8

Kościół po „Klerze”

Tomasz P. Terlikowski

Można się zżymać na Smarzowskiego, że zrobił film antyklerykalny metodami „Der Stürmera”, można narzekać na bejsbolowy antykatolicyzm części komentatorów. Można, ale nic to nie daje. Lepsza jest zupełnie inna postawa

Awanturę dotyczącą „Kleru” śledzę z daleka. Rzutem na taśmę obejrzałem film i poleciałem do Japonii, którą przemierzam szlakiem św. Maksymiliana i japońskich męczenników (też „kleru”, ale jakże innego od tego, który „przedstawił” Smarzowski). I być może to pozwala zachować mi dystans do rytualnej wojny, która trwa obecnie w naszym kraju. Z jednej strony mamy zachwyty nad katharsis, którym rzekomo ma być film, nad odwagą przedstawienia Polski i polskiego Kościoła w prawdziwym, a tak unikanym świetle, z drugiej zaś – zalew memów, których autorzy przekonują w odniesieniu do autorów filmu, że „nic, co ruskie, nie jest im obce”, wstawiają w plakat filmowy zdjęcia nielubianych przez siebie duchownych (w danym przypadku byli to księża Lemański, Sowa, Boniecki i biskup Pieronek) albo (co akurat śmieszne) zdjęcie przedstawiające ciastko z dodanym napisem „Ekler. Nic, co słodkie, nie jest nam obce”. Swoją drogą, nie bardzo wiadomo, dlaczego akurat ruskość ma być przyczyną rzeczywiście dość bejsbolowego antyklerykalizmu autorów filmu?

Rytualnie wygląda też podział na tych, którzy przekonują, że kler w całości jest taki, jak przedstawia go film Smarzowskiego (to zazwyczaj ci, którzy w kościele nie bywają albo byli tam ostatnio ze święconką), i tych, którzy zapewniają, że księża są wszyscy (albo niemal wszyscy poza tymi z obozu, za którym nie przepadamy) jak Jan Paweł II, ks. Jerzy Popiełuszko, św. Maksymilian M. Kolbe czy kard. Stefan Wyszyński. Jest zatem tak, jak miało być, mechanizm marketingowy oparty na mechanizmie ataku lub obrony działa doskonale.

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. BARTOSZ MROZOWSKI/KLER

Niedobrze jednak byłoby zatrzymać się tylko na tym poziomie. „Kler" wymaga bowiem głębszej analizy, zadania kilku istotniejszych pytań i poważnego przemyślenia diagnoz, które on stawia. Nie, nie chodzi o to, że może być on katharsis czy psychoanalizą polskiego katolicyzmu. Do tego się nie nadaje, ponieważ nie da się oczyszczać atmosfery za pomocą wrzucania granatu do szamba ani subtelnie leczyć problemów (niekiedy realnych) przy użyciu kija bejsbolowego czy łomu. Antyklerykalizm, i to skrajny, rodem z „Podręcznika młodego bezbożnika", nie nadaje się także do diagnozowania realnej sytuacji Kościoła czy duchowieństwa. W niczym nie zmienia to jednak tego, że ten skrajnie niesprawiedliwy (choć piekielnie – i używam tego słowa w dosłownym znaczeniu – sprawny technicznie) film powinien stać się punktem wyjścia do refleksji dla ludzi wierzących. Nie dlatego, że jest prawdziwy, ale dlatego, że doskonale pokazuje, jak postrzega katolicyzm i ludzi Kościoła pewna (wcale nie tak mała) część Polaków. Obraz ten, i o tym też nie sposób zapominać, nawet jeśli przerysowany i absurdalny, ma jakieś korzenie, nie tylko propagandowe.

UCIEKAJĄCY RZEKOMI KATOLICY

Zacznijmy od prostego stwierdzenia, że ten film nie jest zagrożeniem dla ludzi wierzących. Oni bowiem doskonale wiedzą, że choć można spotkać o wiele gorszych przedstawicieli kleru niż ci pokazani w filmie (ja sam mógłbym scenarzyście podrzucić historie o wiele „grubsze" od tych przedstawionych), to jednocześnie nie jest tak, że większość księży jest właśnie taka. Nie, nie jest również tak, że większość to święci, ale między kompletną degrengoladą i niewiarą a osobistą wybitną świętością jest jeszcze cała przestrzeń innych postaw. I większość duchownych jest gdzieś między nimi dwoma, a nie przynależy do jednej z nich. Jakby tego było mało, nawet duchowni zdegenerowani (a jest ich przecież, jak w każdym innym środowisku, trochę) zazwyczaj mają o wiele bardziej subtelne wytłumaczenia dla swojego skąpstwa, uzależnienia czy podwójnego życia. Człowiek, każdy, potrafi być świnią, ale rzadko przyznaje to wprost, czyniąc z takiej postawy model swojego życia. Obraz Kościoła ludzi wierzących będzie więc o wiele bardziej skomplikowany niż ten proponowany przez Smarzowskiego, nieliczni dadzą się więc kupić propagandzie.

Inaczej będzie z tymi, którzy do kościoła od dawna nie chodzą. Im Smarzowski niewątpliwie dostarczy argumentów na potwierdzenie własnej, wcześniej postawionej tezy. Obrazy księży sypiających z gospodyniami, biskupa żenująco uległego politykom i wierzącego jedynie w kasę, kurialisty, którego interesuje wyłącznie władza i pieniądze, zostają i mogą się stać wygodnym uzasadnieniem własnej postawy życiowej. Młodzież będzie zaś szczególnie podatna na takie działanie tego filmu. Trudno jednak nie powiedzieć sobie zupełnie wprost, że to nie Smarzowski sprawił, że ta młodzież będzie podatna na jego film, ale my sami zaniedbaliśmy przekaz wiary, w efekcie czego spora (by nie powiedzieć większa) część młodych nie ma żadnego doświadczenia wiary i Kościoła, więc jest bardziej podatna na oddziaływanie antyklerykalnej propagandy.

Ludzie Kościoła powinni więc sobie odpowiedzieć, dlaczego w większych miastach w liceach ogromna większość młodych ludzi nie chodzi już na katechezę? Dlaczego z roku na rok spada liczba bierzmowanych? Dlaczego zerwany

eprasa.pl 358b74afb8

został naturalny proces przekazu wiary w rodzinach? A z perspektywy religijnej: co takiego się stało, że ci młodzi ludzie nie spotkali ani w czasie przygotowania do I komunii, ani do bierzmowania żywego Boga? Dlaczego nie byliśmy w stanie doprowadzić do wypełnienia ich Duchem Świętym? Z jakiego powodu nie ukazaliśmy im Jezusa jako atrakcyjnego wzoru dla człowieka? Bez tego spotkania Kościół jest pusty i w zasadzie niepotrzebny, bez tego spotkania jest on jedną z wielu instytucji, tyle że taką, która głosi normy i zasady, o których chcielibyśmy zapomnieć i które uważamy za ograniczenie wolności. Jeśli więc ten film zniszczy wiarę czy będzie istotnym elementem fali laicyzacji, to dlatego że wcześniej Kościół w Polsce zawalił pracę nad ewangelizacją, zadowolił się zarządzaniem i duszpasterstwem, a nie walką o każdą duszę.

ZERWIJMY Z HEREZJĄ KLERYKALIZMU

Siłą filmu Smarzowskiego jest także to, że bardzo wielu Polaków – i to zarówno wierzących, jak i niewierzących – ulega herezji klerykalizmu. Doskonałym jej przykładem pozostaje wypowiedź Natalii Siwiec, która wyjaśniła, że nie lubi Kościoła, bo… „przedstawia On księży jako nadludzi, podczas gdy wszyscy jesteśmy tacy sami". I trudno nie dostrzec, że Siwiec polemizuje z tezą, która – nawet jeśli wyraża opinię wielu świeckich, a może nawet samoświadomość jakiejś części kapłanów – to niewiele ma wspólnego z rzeczywistym postrzeganiem kapłaństwa w Kościele. Kapłaństwo, czego od zawsze nauczał Kościół, jest skarbem przechowywanym w naczyniach glinianych, jest darem nigdy niezasłużonym i wobec którego każdy jest niegodny, i że jest ono raczej wyzwaniem niż powodem do chwały. Poza tym zaś kapłan jest takim samym biednym grzesznikiem jak świeccy. Słabym, upadającym, potrzebującym wsparcia, modlitwy, towarzyszenia, spotkania. Jeśli sam o sobie myśli co innego, jeśli wierzy w klerykalne mity, to można mu tylko współczuć, ale nie należy tego przyjmować jako wyrazu nauczania Kościoła.

Problemem jest jednak to, że wielu katolików utrwala nieprawdziwy obraz kapłanów jako herosów, bohaterów i skrajny klerykalizm uznaje za wzorową postawę katolicką. W ten sposób nie tylko ułatwiają oni działanie osobistym wrogom Pana Boga, którzy każdy błąd czy grzech księży uznają za dowód, że Kościół jest organizacją zbrodniczą, a Bóg nie istnieje (bo gdyby istniał, to pewnie poraziłby grzesznego księdza gromem z jasnego nieba), lecz także zaprzeczają katolickiemu nauczaniu o roli kapłana. To jest zaś tak, że grzeszni, czasem nawet bardzo grzeszni i jednocześnie bardzo zwyczajni ludzie zostali wybrani przez Boga, by przez nich – ale zawsze w osobie Jezusa Chrystusa – dokonywać przeistoczenia i odpuszczać grzechy. To zaś się dzieje poza ich moralnością (choć oczywiście dla ich zbawienia, a także dla skuteczności ich ewangelizacji lepiej, gdy do świętości zmierzają), to znaczy, że nawet najbardziej grzeszny ksiądz dokonuje mocą Ducha Świętego przeistoczenia i odpuszcza grzechy. To jest wielka prawda o katolickim kapłaństwie i to jest wielka nadzieja dla każdego z nas. My także, jeśli zmierzamy do Boga, to nie swoją siłą, nie swoją mocą, nie swoim zaangażowaniem, a mocą Bożą. Nie, nie oznacza to, że nie poznałem świętych kapłanów – poznałem; tak jak poznałem kapłanów zdecydowanie nieświętych, bucowatych czy wręcz paskudnych. To zresztą dokładnie tak samo jak z katolikami świeckimi, a także z ewangelikami, prawosławnymi, buddystami i ateistami.

Smarzowski zebrał do kupy i ostro przyprawił wszystkie możliwe stereotypy na temat księży

KASA, MISIU, KASA

Smarzowski, i to jest kolejny powód, dla którego warto rozkładać jego film na części pierwsze, zebrał do kupy i ostro przyprawił wszystkie możliwe stereotypy na temat księży. Stereotypy te nie zawsze są sprawiedliwe, a jeszcze rzadziej prawdziwe, ale pokazują, co stanowi problem dla ogromnej większości Polaków. Także tych wierzących. I tak pierwszym, a „Kler" pokazał to z całą mocą, i być może najważniejszym problemem jest skąpstwo czy zdzierstwo pewnej części księży. Tak, wiem, że można znaleźć rozmaite usprawiedliwienia czy wyjaśnienia dla tego zjawiska, ale… w niczym nie zmienia to tego, że doprowadza ono do szewskiej pasji niemałą część katolików, o niewierzących nie wspominając. „Ludzie są w stanie wybaczyć księdzu kobietę na boku, ale nie to, że zdziera z nich kasę i wykorzystuje niemiłosiernie okazję" – powtarzał mi wielokrotnie pewien mój przyjaciel ksiądz.

I warto, by Kościół hierarchiczny zdał sobie z tego sprawę. Można narzekać, że Polacy czepiają się samochodów biskupów czy zwykłych księży, a można uznać, że może warto zrezygnować z tych za drogich. W wielu diecezjach amerykańskich ksiądz, a nawet biskup nie może jeździć samochodem lepszym niż ten, jakim jeździ ktoś średniozamożny w jego diecezji. I dobrze byłoby wprowadzić podobne zasady w Polsce. Można się uskarżać, że tylko antyklerykałowie wyliczają księżom pieniądze, a można wprowadzić pełną transparentność finansową i ujawnić realne zarobki księży, a jeśli trzeba (a czasem wydaje się, że trzeba) ograniczyć je do poziomu niezbędnego dla kawalera, który nota bene jest utrzymywany przez parafię. Oczywiście nie wyleczy to antyklerykalizmu wśród niewierzących, ale… uspokoi wielu wierzących.

Drugim, nie mniej irytującym problemem jest tolerowanie podwójnego życia i podwójnych standardów wobec księży. Smarzowski pokazuje to na przykładzie związków heteroseksualnych, ale dla uważnego obserwatora oczywiste jest, że największym problemem są relacje homoseksualne wśród księży. Z tym naprawdę trzeba skończyć, bo wyjątkowo osłabia to siłę Kościoła. Kapłan homoseksualista czy nawet kapłan żyjący w trwałym związku z kobietą nie powinien nadal wypełniać swojej funkcji, ponieważ jest to źródło realnego zgorszenia. A to właśnie gorszycielom chciał Jezus przywiązać kamień młyński do szyi.

Oczywiście podjęcie tych kroków wcale nie uleczy chorobliwego antyklerykalizmu czy antykatolicyzmu. On będzie trwał i kwitł w środowiskach lewicowych czy liberalnych. To nie on i nie tam jest jednak problemem, a to, że antyklerykalizm – czasem wręcz uzasadniony – dotyka także środowiska wewnątrz Kościoła. I to z nim trzeba walczyć. A zamiast narzekać na paskudnych antyklerykałów, warto oczyszczać własne gniazdo i konfrontować się nawet ze stawianymi łomem diagnozami. Tak jest bezpieczniej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 358b74afb8

RMF FM

Numer 1 wśród mediów opiniotwórczych

wg Instytutu Monitorowania Mediów

Rano...

Robert Mazurek
zapraszam o 8:02

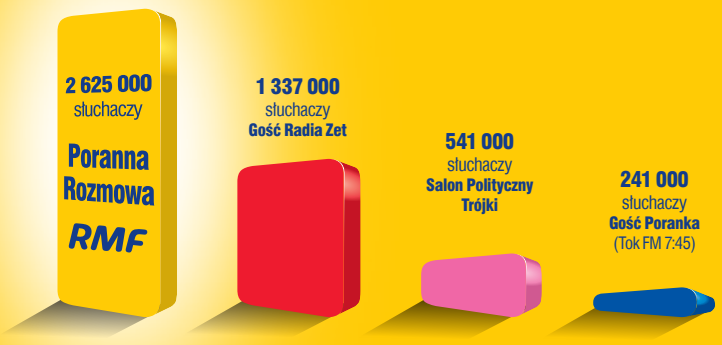

... i po południu

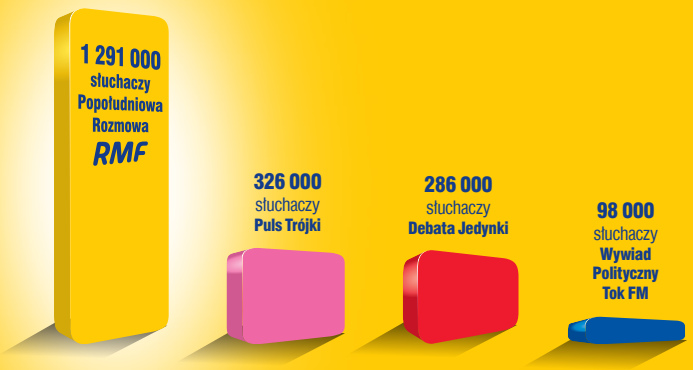

Marcin Zaborski
zapraszam o 18:02

Źródła:
– Raport IMM – najbardziej opiniotwórcze media pierwszej połowy 2018 roku
– Radio Track, Kantar MillwardBrown, 04-06.2018, audytorium średniego kwadransa (kwadrans z audycją), dni powszednie

eprasa.pl 358b74afb8

Z 3,5 mln zł dotacji na „Kler" z PISF aż 2,1 mln zł przyznała z własnej, dyrektorskiej puli poprzednia szefowa Instytutu Magdalena Sroka

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

Agnieszka Niewińska

Film Smarzowskiego wywołał dyskusję nie tylko ze względu na treść. Są też pytania o jego finansowanie. Kto przyznał na jego produkcję publiczne środki?

Kasa na „Kler"

eprasa.pl 358b74afb8

Z oskarżeniami o zasilenie filmu „Kler" państwowymi środkami musiał się już zmierzyć minister kultury Piotr Gliński. Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zalewski na Facebooku pytał szefa resortu kultury: „W imię jakich wartości podległa Panu instytucja z kieszeni polskich podatników (w tym też katolików) opłaciła film »Kler«? Zwłaszcza że tylu innym projektom odmówiono". W ubiegłym tygodniu w Internecie krążyły też zdjęcia ulotek rozdawanych przed jednym z warszawskich kościołów: „Skandal w Ministerstwie Kultury, a nie w Kościele. Minister Piotr Gliński dofinansował najnowszy ohydny film Wojciech Smarzowskiego, który jednostronnie i tendencyjnie pokazuje polski Kościół".

Minister Gliński dementował na Twitterze: „Informuję, że NIE DAŁEM ANI GROSZA na ten cel. Był on natomiast finansowany decyzjami p. Odorowicz i Sroki – b. dyrektorek PISF, mianowanych przez poprzedników, na których działania – zgodnie z prawem, nie mieliśmy wpływu".

PRZYCHYLNOŚĆ PISF

PISF, czyli Polski Instytut Sztuki Filmowej, zasilił konto producentów „Kleru" kwotą 3,5 mln zł z wnioskowanych przez nich 4 mln zł. Całkowity koszt produkcji wnioskodawcy określili na blisko 10,5 mln zł. Finansowanie dla „Kleru", który w dokumentach PISF występuje pod roboczym tytułem „3", przyznano w dwóch sesjach. W pierwszej planowany obraz otrzymał dofinansowanie w wysokości 2 mln zł – z czego 600 tys. zł to fundusze z puli dyrektor PISF. W drugiej sesji kwotę dofinansowania na „Kler" jeszcze podniesiono. Kolejne 1,5 mln zł ze swojej puli przyznała dyrektor PISF. Wówczas była nią Magdalena Sroka, która stanowisko objęła w październiku 2015 r. Mianowała ją Małgorzata Omilanowska, minister kultury w rządzie PO-PSL. Zanim kojarzona z lewicą Sroka trafiła do PISF, była wiceprezydentem Krakowa, a wcześniej kierowała Krakowskim Biurem Festiwalowym.

– W PISF to, jakie finansowanie dostanie dany film, zależy w dużej mierze od dyrektora. To on może przyznać zwyżkę albo zmniejszyć środki, tłumacząc się ich brakiem w budżecie. Wiadomo było natomiast, że dyrektor Sroce projekt Smarzowskiego przypadł do gustu i zależało jej, by został przez PISF dofinansowany niemałą kwotą – mówi nam jeden z byłych ekspertów PISF. Z 3,5 mln zł aż 2,1 mln zł „Kler" zawdzięcza właśnie decyzji Sroki. Kierownictwo PISF zmieniło się dopiero w grudniu 2017 r., kiedy sprawa dotacji dla „Kleru" była już rozstrzygnięta.

Jednak jeszcze w komisji eksperckiej, która zastanawiała się nad przyznaniem dotacji, sprawa nie była do końca przesądzona, a eksperci ostro spierali się o to, czy dać na to pieniądze. Reżyserzy Mirosław Krzyszkowski i Rafał Wieczyński głosowali przeciw wsparciu filmu. Przeważył głos Krzysztofa Zanussiego. W rozmowie z „Gościem Niedzielnym" z marca tego roku Zanussi stwierdził, że głosował na film Smarzowskiego, bo „wybitni twórcy mają większe prawo głosu niż niewybitni". – Głosowałem na ten film nie ze względu na to, że jestem liberałem i że w sztuce wszystko wolno. Zrobiłem to, bo wierzę, że spowodowany nim wstrząs może Kościołowi wyjść na zdrowie – powiedział reżyser. – Autor tego wściekle antykościelnego scenariusza rozumie Kościół tylko w ziemskim wymiarze, ale wytyka mu potwierdzone grzechy. Tam nie ma żadnych wymysłów, sam rozpoznaję pokazanych w nim duchownych.

Scenariusz „Kleru" Smarzowski napisał wraz z Wojciechem Rzehakiem, wicedyrektorem zespołu szkół im. Mikołaja Reja w Krakowie, której założycielem jest krakowskie środowisko ewangelickie. Dyrekcja szkół wydała oświadczenie, w którym pisze, że scenariusz filmu „nie wyraża postaw oraz przekonań środowiska związanego z Fundacją ani szkołami przez nią prowadzonymi", a scenariuszowa działalność Rzehaka nie może być łączona z jego pracą w placówce.

Dotacja PISF to jednak niejedyne wsparcie „Kleru" ze środków publicznych. Produkcję filmu „Kler" zasiliły także pieniądze z Narodowego Instytutu Audiowizualnego (NInA). Instytucja przekazała na ten cel 300 tys. zł. Funkcję dyrektora pełnił wówczas Michał Merczyński, menedżer, animator kultury i dyrektor poznańskiego festiwalu Malta. Pod jego kierownictwem w programie Malty znalazło się przedstawienie „Golgota Picnic", które po protestach odwołano. W ubiegłym roku Merczyński na Maltę w roli kuratora zaprosił kontrowersyjnego reżysera m.in. „Klątwy" – Olivera Frljicia. Stanowisko szefa NIn-y Merczyński stracił dopiero z czerwcem 2017 r., kiedy Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zdecydowało o połączeniu Filmoteki Narodowej i Narodowego Instytutu Audiowizualnego w jedną instytucję – Filmotekę Narodową – Instytut Audiowizualny (FINA). Dyrektorem nowej instytucji w lipcu 2017 r. został Dariusz Wieromiejczyk. – Kiedy objąłem stanowisko dyrektora, umowa dotycząca wsparcia filmu „Kler" była już podpisana i ważna, a pieniądze przelane. Nie było możliwości wycofania się z niej. Na produkcję „Kleru" dyrektor Merczyński przeznaczył środki własne instytutu – mówi Wieromiejczyk.

Anna Bocian, rzeczniczka MKiDN, informuje nas, że minister kultury o dotacji przyznanej „Klerowi" przez byłego dyrektora Michała Merczyńskiego nie był informowany, ale jest to zgodne z ustawą, a minister nie ma wpływu na bieżące decyzje dyrektora.

450 TYS. ZŁ Z KRAKOWA

Na plakatach promujących „Kler" znaleźć można także logo miasta Krakowa, Małopolski, Krakowskiego Biura Festiwalowego czy Regionalnego Funduszu Filmowego w Krakowie. Z tego ostatniego popłynęły fundusze na produkcję „Kleru". – Produkcja została wsparta kwotą 450 tys. zł – informuje Dariusz Nowak, kierownik biura prasowego Urzędu Miasta Krakowa. I dodaje, że wyboru filmów w ramach RFF w Krakowie, finansowanego ze środków Urzędu Marszałkowskiego Województwa Małopolskiego oraz Gminy Miejskiej Kraków, dokonuje jury złożone z profesjonalistów z branży audiowizualnej, w skład Rady Programowej RFF weszli zaś: prof. Tadeusz Lubelski, Tomasz Dettloff, Irena Strzałkowska, Krzysztof Markiel, Dariusz Nosal i Natalia Woda. – Członkowie jury biorą pod uwagę zarówno walory artystyczne filmu, jak i jego atrakcyjność, w szczególności pod kątem możliwego zainteresowania widowni kinowej i telewizyjnej, oraz spodziewany efekt ekonomiczny. Kluczowym elementem wyboru jest także dotychczasowy dorobek wnioskodawcy i reżysera, w tym rezultaty artystyczne i ekonomiczne poprzednich produkcji filmowych. Zgodnie z opinią jury sukces filmu „Wołyń" Wojciecha Smarzowskiego, a także jego wcześniejszych produkcji jednoznacznie wskazywał na wysoki potencjał filmu „Kler" w zakresie szerokiej dystrybucji kinowej oraz zainteresowania ze strony widzów – tłumaczy Nowak.

Tymczasem na stronie RFF w Krakowie cele funduszu opisano nieco inaczej: „Wspieranie produkcji filmowych związanych z Krakowem i Małopolską, które mogą przyczynić się do turystycznej i gospodarczej promocji regionu, a także przyczynić się do budowania jego pozytywnego wizerunku".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 358b74afb8

Otworzyć SN na obywateli

Z sędzią Barbarą Piwnik, byłą minister sprawiedliwości
rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: Czego brakuje pani we wprowadzanej przez PiS reformie sądownictwa?

BARBARA PIWNIK: Przestraszę pana swoim radykalizmem.

Bardzo proszę.

Gdyby to ode mnie zależało, zabrałabym z sali rozpraw monitory, a sędziom asystentów. Reszta poprawiłaby się sama. Gdyby sędzia podczas rozprawy nie śledził protokołu na monitorze i nie poprawiał błędów ortograficznych, mógłby skupić swoją uwagę na podsądnym świadku. Wtedy nie musiałby dowiadywać się ze szkoleń, jak rozpoznać kłamstwo, bo wystarczyłoby zacząć obserwować ludzi, żeby się tego nauczyć. Wiem, że jeśli sędzia przypilnuje protokołu w trakcie rozprawy, to potem ma więcej wolnego czasu, mniej pracy zabiera do domu. Jednak tym samym traci bezpowrotnie coś, co mógłby tylko na sali rozpraw zauważyć. Uzasadnienia orzeczeń piszą asystenci sędziów, którzy nie mogą uczestniczyć w sędziowskich naradach, podczas których zapada decyzja o wyroku. Asystent musi więc sporządzić uzasadnienie na podstawie tego, co w paru słowach usłyszy od sędziego, oraz tego, co wyczyta w literaturze przedmiotu. Często więc uzasadnienia są sporządzane na zasadzie „kopiuj, wklej" i odzwierciedlają raczej wiedzę teoretyczną autora niż praktyczne przesłanki takiej, a nie innej decyzji. W tym wszystkim zapomina się o człowieku. Znam przypadek sędzi, która w sprawie dyscyplinarnej tłumaczyła się z wadliwego orzeczenia tym, że nie miała czasu przeczytać akt, a oparła swoją decyzję na tym, co zreferował asystent. To powinno dyskwalifikować sędziego, tymczasem ona została uniewinniona! Sędzia musi brać pełną odpowiedzialność za prowadzoną przez siebie sprawę.

Zapytana w przez RMF FM o to, co zmieniło się w pani pracy sędziego po wprowadzonych przez PiS reformach, wspomniała pani o wadach systemu losowania spraw. Jednym sędziom system przydziela bardzo dużo spraw, innym prawie wcale. A to nie pomaga w rozwiązaniu problemu, którym jest przewlekłość postępowań. Pani podobno raz z możliwych ośmiu spraw wylosowała pięć. Czy ten system jest z gruntu zły czy może trzeba go dopracować?

Liczba spraw przypadających na jednego sędziego ma się wyrównywać, tylko nie wiadomo, w jakiej perspektywie. Może być tak, że konkretny sędzia nie zdąży doczekać wyrównania obciążenia sprawami przed odejściem w stan spoczynku. A strony będą czekać na rozpoznanie sprawy. Ten system nie może sprawnie funkcjonować. Nie w naszym ustroju prawnym. Zawsze przestrzegałam przed prostym przenoszeniem na nasz grunt wzorców z innych państw, z inną kulturą prawną, inną dyscypliną społeczną. Bardziej efektywna była alfabetyczna lista sędziów i przydzielanie spraw według kolejności wpływu. Losowanie może się sprawdzać jedynie w małych sądach, gdzie w wydziale jest np. dwóch sędziów. Jednak w tych liczniejszych to problematyczne. Zawsze będzie bowiem ryzyko tego, że jeden sędzia będzie „zawalony" sprawami, a drugi – wprost przeciwnie.

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ / TYGODNIK POWSZECHNY / FORUM

Jakie jeszcze praktyczne zmiany zauważyła pani w swojej pracy po reformie sądownictwa?

Zawsze denerwowało mnie to, kiedy w dyskusjach najważniejsze stają się stanowiska, które ktoś właśnie objął lub stracił, awanse, dymisje…

Czyli zgadza się pani z zarzutem, że reforma sądownictwa polega głównie na zmianach personalnych? PiS twierdzi, że bez zmian personalnych nie jest możliwa prawdziwa reforma.

Niestety, tak. Sędziów pochłonęły dyskusje o tym, kto kogo odwołał, gdzie kogo przenieśli. Zamiast skupić się na orzekaniu, roztrząsają sprawy personalne. Obce jest mi natomiast wielkie oburzenie, np. na powołanie izby dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. A to dlatego, że ja w minionych latach sama z różnych powodów odwiedzałam rzecznika dyscyplinarnego: raz za to, że powiedziałam, iż nie przekonuje mnie wersja, zgodnie z którą gen. Papałę zabili złodzieje samochodów; innym razem za to, że ktoś w gazecie w napisał, iż do oskarżonych mówię po imieniu. Nigdy nie było tak, że sędziemu wszystko wolno. Zawsze mógł być pociągnięty do odpowiedzialności dyscyplinarnej, tylko się o tym nie mówiło tyle co teraz. Gdy biorę do ręki akta sprawy i idę na salę rozpraw, to nie myślę o regulacjach dotyczących odpowiedzialności dyscyplinarnej ani o tym, kto jest ministrem sprawiedliwości. Uważam bowiem, że to, do czego się zobowiązałam, składając ślubowanie, to dogłębnie zbadać daną sprawę i wydać sprawiedliwy wyrok – tylko tyle i aż tyle. A jeżeli mam czyste sumienie i wiem, że prawa w żaden sposób nie złamałam, to nie boję się postępowania dyscyplinarnego – jeśli ktoś będzie chciał mi je wytoczyć, to będzie to jego problem, a nie mój.

A czy Igor Tuleya naruszył prawo, angażując się w bieżący spór polityczny?

Słyszałam już, jak pewien celebryta stwierdził, że w Warszawie powinna być ulica Igora Tylei, bo to bohater narodowy… A tak poważnie: nie chcę wypowiadać się na temat zachowań konkretnych osób, dotyczy to także sędziów. Mam jednak pewną refleksję… Ponad 20 lat, odkąd byłam rzecznikiem prasowym sądu, mam dobre kontakty z przedstawicielami mediów. Ani wówczas, ani później, ani razu nie przyszło mi do głowy, by na spotkanie z rzecznikiem dyscyplinarnym zabierać ze sobą dziennikarzy. Muszą być granice zaangażowania sędziego w życiu publicznym!

Czyli izba dyscyplinarna Sądu Najwyższego jest potrzebna? Trzeba dyscyplinować sędziów?

Powtarzam: postępowania dyscyplinarne nie są niczym nowym. W poprzednich latach działania w tym obszarze były niejednokrotnie nawet bardziej bezkompromisowe. Wiem, bo przeżyłam to na własnej skórze. Obwiniony przed izbą dyscyplinarną może korzystać z pomocy obrońcy, adwokata, a nawet sędziego jako obrońcy, jeśli zajdzie taka potrzeba. Natomiast innym problemem jest sposób powoływania sędziów SN.

To znaczy?

Zbyt łatwa jest procedura prowadząca do powołania na stanowisko sędziego Sądu Najwyższego, ławników. Do izby skarg nadzwyczajnych trafią sprawy niezwykle skomplikowane, niejednokrotnie wielotomowe, po kilku kasacjach, uchyleniach. Nasuwa się pytanie: Jak nowo powołani sędziowie SN bez doświadczenia w orzekaniu, nawet jeśli są wybitnymi znawcami, np. teorii prawa, poradzą sobie z nimi? Nie pomogą ławnicy, którzy z założenia ani wiedzy, ani praktyki sędziowskiej nie mają.

Ławnicy mieli wprowadzić do SN element zdrowego rozsądku zwykłych obywateli.

Ławnicy powinni być w sądach powszechnych, a nie w Sądzie Najwyższym – zbyt wysoki poziom skomplikowania spraw.

A jak ocenia pani instytucję skargi nadzwyczajnej? Część ekspertów uważa, że wydłuży ona czas postępowań…

Na szczęście ustawodawca też dostrzegł to ryzyko i zawęził krąg uprawnionych do składania skargi. Od początku sceptycznie odnosiłam się do tego pomysłu. Zastanawiam się, czy ci, którzy chcieli zbić kapitał polityczny na wprowadzeniu skargi nadzwyczajnej, nie zawiodą się na jej efektach – może się bowiem okazać, że obywatele, w których rozbudzono nadzieję na szybkie rozpoznanie ich spraw, będą rozczarowani, bo nie każdy z nich tego doczeka.

A teraz skomplikowane pytanie: Kto jest I prezesem Sądu Najwyższego?

Na szczęście ja nie kandyduję.

A wie pani, że mec. Jan Olszewski w wywiadzie dla „Do Rzeczy" stwierdził, że byłaby pani najlepszym kandydatem?

Wiem. Zrobiło to na mnie duże wrażenie. Cieszę się, że mec. Olszewski, człowiek o tak wielkim doświadczeniu prawniczym i politycznym, którego światopogląd jest powszechnie znany, potrafił docenić moje starania.

Nie chciałaby pani zostać I prezesem SN?

Nie, bo jestem człowiekiem ciężkiej pracy, człowiekiem czynu.

W SN nie ma ciężkiej pracy?

Dobre pytanie. Uważam, że Sąd Najwyższy, który przecież w zakresie orzekania sprawuje nadzór nad sądami powszechnymi, zbyt się od nich oddalił. Rozmawiamy w budynku sądu przy al. Solidarności 127 w Warszawie. Pamiętam czasy, kiedy sędziowie SN byli dla pracujących w tym gmachu sędziów na wyciągnięcie ręki. Sędzia niższej instancji mógł do nich w każdej chwili pójść i poprosić ich o radę, porozmawiać. Gdyby nie reforma, większość społeczeństwa nie wiedziałaby, kto jest I prezesem SN, nie mówiąc już o prezesach poszczególnych izb czy orzekających tam

eprasa.pl 358b74afb8

sędziach. I to nie jest tylko efekt tego, że niewielu obywateli miało styczność na sali rozpraw z sędziami Sądu Najwyższego. Trzeba by Sąd Najwyższy otworzyć na obywateli poprzez taką aktywność sędziów w życiu publicznym, która pozwoli obywatelom poznać i zrozumieć prawo i będzie budować autorytet sądów.

A wracając do stanu faktycznego... Czy prof. Małgorzata Gersdorf jest I prezesem Sądu Najwyższego czy może sędzią w stanie spoczynku?

Parę razy odpowiadałam na to pytanie, choć ktoś może powiedzieć, że wykrętnie.

No właśnie. Nie postawiła pani kropki.

Jedni o konstytucji tylko mówią, ja ją czytam uważnie. Pani prof. Gersdorf jest specjalistką od prawa pracy, więc zapewne zna także te zapisy ustawy zasadniczej, które mówią nie tylko o tym, że ustawa określa wiek emerytalny, lecz także o innych sytuacjach powodujących przeniesienie sędziego w stan spoczynku.

Czyli jednak sędzia w stanie spoczynku?

Rozumiem, że to jest złożona kwestia. Jednak pani prof. Gersdorf wraz z panem sędzią Iwulskim – a oboje są wybitnymi specjalistami od prawa pracy – sami udzielili już odpowiedzi na to pytanie. Na jednej z konferencji prasowych sędzia Iwulski przyznał, że sędziowie, którzy nie złożyli żadnego wniosku w sprawie przedłużenia możliwości orzekania, z mocy ustawy przeszli w stan spoczynku. Dopytywany, czy dotyczy to również prezes Gersdorf, odpowiedział, że nie.

Bo jej kadencja jest zapisana w konstytucji.

Jednak kadencja nie sprawia, że nasze życie płynie według innego kalendarza, że zmienia się wiek emerytalny. Poza tym prof. Gersdorf jest niekonsekwentna w działaniu – jak mówi, uważa się nadal za I prezesa, a jednocześnie jesteśmy informowani np. o tym, że na co dzień nie podpisuje decyzji, ale też, że złożyła wymagane przy przejściu w stan spoczynku oświadczenie majątkowe.

Tak czy inaczej premier Morawiecki postanowił spotkać się z byłą prezes Gersdorf. Jeszcze przed tym spotkaniem stwierdziła pani, że chciałaby się dowiedzieć czegoś więcej na temat jego treści.

No i niestety się dowiedziałam.

Premier honorowo uznał, że nie będzie zdradzał treści rozmowy. Taka miała być umowa. Profesor Gersdorf postanowiła jej nie dotrzymywać. Czy to zdrowa sytuacja, kiedy szef rządu spotyka się z nieuznawaną przez siebie prezes SN, a do tego rozmowa jest konfidencjonalna i jej treść wychodzi na jaw tylko dlatego, że ujawniła ją jedna ze stron?

Mam nadzieję, że przytoczy pan swoje pytanie w całości. Ja w takim razie odpowiem tak: w tym skomplikowanym pytaniu jest zawarta cała skomplikowana rzeczywistość, której – i to dla mnie najsmutniejsze – żaden obywatel nie jest w stanie zrozumieć, a i mnie, jako prawnikowi, coraz trudniej jest ją interpretować. Trudno się dziwić, że wymiar sprawiedliwości nie cieszy się zaufaniem społeczeństwa. Jeżeli obywatel nie będzie rozumiał nic z zachowania I prezesa SN, to dlaczego ma posłuchać mnie, sędziego sądu okręgowego, na sali rozpraw?!

Profesor Gersdorf postawiła warunki brzegowe jakichkolwiek ustaleń. W skrócie: wszystko ma wrócić do stanu przed reformy.

> **Kadencja I prezes SN nie sprawia, że zmienia się wiek emerytalny**

Profesor Gersdorf, przyjmując u siebie premiera Morawieckiego, powinna podjąć go herbatą lub kawą, wedle upodobania gościa. I to mogły być jedyne warunki brzegowe tego spotkania. Poza tym, jeżeli pada żądanie powrotu do stanu sprzed reformy, to zapytam: A na jakiej podstawie prawnej? Na gruncie którego z obowiązujących obecnie przepisów?

Na gruncie konstytucji – odpowiedziałaby Małgorzata Gersdorf.

Kiedy został skrócony wiek emerytalny dla sędziów sądów powszechnych, to nie pamiętam, żeby SN protestował chociażby w obronie kobiet – sędziów sądów powszechnych, które w wieku 60 lat musiały odejść w stan spoczynku. Teraz mówi się o przywróceniu do pracy tych sędziów, którzy zgodnie z ustawą przeszli na emeryturę. Jednak pan prezydent przesłał już stosowne pisma, stwierdzające przejście w stan spoczynku, zostały naliczone, a być może i wypłacone odprawy. Czyli ruszyła cała procedura. Nie można jej ot, tak dowolnie zatrzymać. Poza tym przywrócić do pracy może orzeczenie sądu pracy. Mało tego: a może część sędziów SN zwyczajnie chciała odejść w stan spoczynku? Co z nimi?! Czy ktoś ich zapytał, czy mają wrócić do pracy?! W tym chaosie trudno się dziwić, że coraz częściej zwykli obywatele na salach rozpraw zaczynają przedstawiać własną interpretację prawa...

Protestują kolejne środowiska prawnicze. Apel o „przestrzeganie konstytucyjnych zasad państwa prawnego" wystosowali dziekani wydziałów prawa uczelni publicznych. Nowi sędziowie SN zostali przywitani przez kolegów z pracy transparentem o treści: „Zdradza ojczyznę, kto łamie jej najwyższe prawo". Czy grozi nam dwuwładza prawnicza? Czy może ona jest już faktem?

Prawnicy sobie poradzą, gorzej ze zwykłymi obywatelami, którzy w tym chaosie już się gubią. Kiedy czytam kolejne uchwały sądów o treści: „Nie zgadzamy się!", „Protestujemy!", „Żądamy", to się zastanawiam, czy ci sędziowie się nie boją, że na tym tupaniu nogą ucierpi ich autorytet, kiedy te żądania i brak zgody nie przyniosą wymiernego efektu.

Komisja Europejska zdecydowała o złożeniu skargi w Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej przeciwko Polsce. Trzeba będzie się ugiąć?

Odpowiem tak: gdy byłam młoda, to ciągnęło mnie do wielkiego świata. Byłam w sądzie za oceanem, byłam w sądzie za Bałtykiem, widziałam, jak wygląda wymiar sprawiedliwości w innych krajach. Z biegiem lat coraz lepiej czuję się jednak u siebie.

Niewykonanie wyroku TSUE będzie oznaczało wysokie kary...

No dobrze, ale powtarzam: żeby wrócić do poprzedniego stanu faktycznego, muszą być nowe ustawy! Kto je napisze? Kto je uchwali? Nie widać chętnych. Nie można ciągle mówić ogólnie o konstytucji. Myślę, że wszystkie strony konfliktu w Polsce ponoszą swoją część winy za obecny chaos. Dlatego trzeba usiąść do spokojnych rozmów i ustalić sposób wyjścia z kryzysu.

Idealistyczny, chyba mało prawdopodobny scenariusz. Zbuntowanym przeciwko władzy prawnikom to się chyba zwyczajnie nie opłaca, bo mają poparcie instytucji unijnych i zachodniej opinii publicznej.

Poparcie? Szczególnie po ostatnim wydarzeniu z udziałem pani prof. Małgorzaty Gersdorf i tym, co powiedziała na temat spotkania z panem premierem, może nasuwać się refleksja, czy jest to właściwy sposób postępowania w sytuacji, w której znalazł się wymiar sprawiedliwości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 358b74afb8

Już 8 października w **DO RZECZY** dodatek

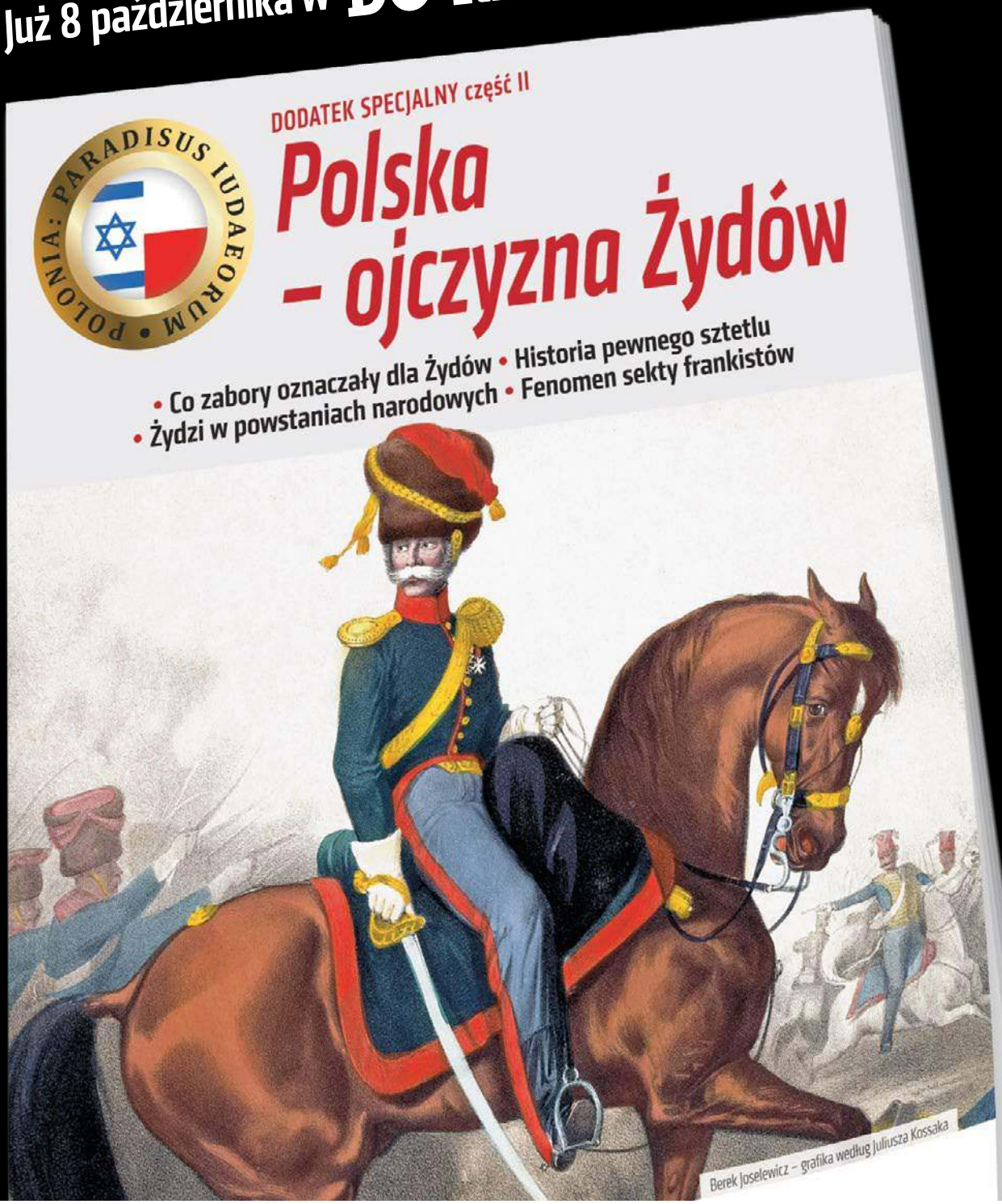

NARODOWE CENTRUM KULTURY

Dofinansowano ze środków
Narodowego Centrum Kultury
w ramach programu
„Kultura – Interwencje 2018"

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Wszyscy ludzie kandydata

Kamila Baranowska

Patryk Jaki w dobieraniu sobie współpracowników stosuje model, który podpatrzył u Zbigniewa Ziobry. Nie boi się powierzać poważnych zadań i stanowisk osobom młodym, ale z potencjałem

Warszawa, konwencja Patryka Jakiego, kandydata Zjednoczonej Prawicy na prezydenta stolicy. Przełomowa, jak twierdzi jego sztab, bo Jaki ma przedstawić najważniejszy projekt swojej kampanii. W roli prowadzącego Maciej Szota, jeden ze współpracowników Jakiego. Zanim kandydat pojawi się na scenie, Szota ćwiczy z publicznością okrzyki i owacje. Mówi, że wydarzenie będzie transmitowane w telewizji, a kandydatowi przyda się wsparcie. Dlatego klaskanie ma być energiczne i głośne. – Wszelkie inne gesty poparcia też mile widziane. Pokażmy Patrykowi Jakiemu, że jesteśmy z nim – krzyczy.

Konwencja się udała. Patryk Jaki zaprezentował projekt „Dzielnica przyszłości", którego założeniem jest zagospodarowanie terenów wzdłuż Wisły i stworzenie tu miejsca przyjaznego mieszkańcom oraz przedsiębiorcom. Wizja co prawda odległa i nasuwająca wiele pytań, ale za to bardzo efektowna. Inni kandydaci pomysł albo wyśmiali, albo podali w wątpliwość szanse na jego realizację, ewentualnie pukali się w głowę, niemniej to o tym przez kilka, jeśli nie kilkanaście dni mówiło się w kampanii. I o to chodziło. To Patryk Jaki znów rzucił pomysł, do którego odnosili się inni. Sztabowcy byli zadowoleni.

Tak właśnie robi się nowoczesną i profesjonalną kampanię wyborczą. Wiedzą o tym doskonale współpracownicy Patryka Jakiego. To dzięki nim ta kampania wygląda, jak wygląda, i sprawia, że na jej tle działania sztabu Rafała Trzaskowskiego – głównego kontrkandydata Jakiego – wyglądają blado.

MŁODZI I PRACOWICI

Wspólnym mianownikiem sztabowców kandydata Zjednoczonej Prawicy jest młody wiek, determinacja i duża pracowitość.

Szefem sztabu został Oliwer Kubicki (rocznik 1985). – Jest to człowiek o największych zdolnościach organizacyjnych wśród ludzi, których znam – tak mówił o nim Jaki na prezentacji swojego sztabu. Kubicki jest radnym PiS w Jeleniej Górze, przygodę z polityką zaczynał jako asystent posłów PiS, m.in. Adama Lipińskiego i Marzeny Machałek. Z Jakim znają się od dawna, to on ściągnął go do pracy w Komisji Weryfikacyjnej (do czasu wejścia do sztabu był jej rzecznikiem).

Kubicki odpowiada w sztabie za koordynację wszystkich działań. Jego współpracownicy mówią, że jest menedżerem kampanii. – Wiadomo, że mamy jakiś plan, strategię, ale wiadomo też, że z dnia na dzień trzeba reagować na bieżące wydarzenia, na to, co robi konkurencja, gasić dziesiątki pożarów i podejmować decyzje. Oliwer to ogarnia – mówi jeden z członków sztabu. Jaki liczy się z jego zdaniem, podobnie jak liczy się ze zdaniem innego współpracownika z Komisji Weryfikacyjnej – Sebastiana Kalety (rocznik 1989). Kaleta oficjalnie nie wszedł do sztabu wyborczego, ale nie jest tajemnicą, że wspiera Jakiego w kampanii, co widać choćby na Twitterze. To jeden z najbardziej zaufanych ludzi Jakiego, choć znają się stosunkowo krótko – poznali się dopiero w Ministerstwie Sprawiedliwości – to szybko złapali dobry kontakt.

Oliwer Kubicki swego czasu aktywnie działał w stowarzyszeniu Stop Korupcji, Kaleta zaś w stowarzyszeniu Młodzi dla Polski. Typy aktywistów i działaczy, mocno zaangażowanych w działalność społeczno-polityczną. I chętnie podkreślających konserwatywne poglądy.

Jaki w dobieraniu sobie współpracowników stosuje model działania, który podpatrzył u Zbigniewa Ziobry. Nie boi się powierzać poważnych zadań i stanowisk osobom młodym i bez doświadczenia, u których dostrzega potencjał polityczny, a którzy wcześniej sprawdzili się w działalności pozapolitycznej, np. działając w organizacjach młodzieżowych, pozarządowych, społecznych. Tym samym związuje ich ze

eprasa.pl 358b74afb8

sobą, budując swoje zaplecze polityczne na przyszłość. Jaki też był kiedyś „młodym, zdolnym", w którym Ziobro dostrzegł potencjał. To dzięki wsparciu popularnego polityka Jaki w 2011 r. dostał się do Sejmu. Odpłacił się lojalnością.

Rzecznikiem sztabu został radny PiS z Mokotowa Jacek Ozdoba (rocznik 1991). Do Jakiego, gdy ten został oficjalnym kandydatem, zgłosił się sam. – Pan minister już wcześniej obserwował najbardziej aktywnych samorządowców pod kątem przyszłej współpracy w sztabie. Część osób sama się zgłaszała z pomysłami, innych sam zaprosił do współpracy – mówi „Do Rzeczy".

– Spotykamy się codziennie, omawiamy sytuację, planujemy działania, sprawdzamy, czy wszystko idzie zgodnie z planem, ale i reagujemy na to, co się dzieje na bieżąco – opowiada rzecznik sztabu Jacek Ozdoba. Kto odpowiada za kampanijną strategię? – Przede wszystkim Patryk Jaki, to on wyznacza cele i odpowiada za strategię i cały plan kampanii. Szefem sztabu jest Oliwer Kubicki i to on pilnuje realizacji zadań, bardzo duża część programu, który przedstawia minister Jaki, to efekt rozmowy z mieszkańcami. Stawiamy na bezpośredni kontakt, a pomysły spisujemy i analizujemy – dodaje.

WARSZAWSKI PIS

W sztabie znalazło się sporo osób z warszawskiego PiS. Zastępcami szefa sztabu zostali dwaj burmistrzowie z PiS: Michał Grodzki (burmistrz Bemowa, rocznik 1979) oraz Wojciech Zabłocki (burmistrz Pragi-Północ, rocznik 1985). Ich wsparcie było ważne z punktu widzenia pojawiających się plotek o tym, jakoby warszawskie struktury PiS były niezadowolone z kandydatury Patryka Jakiego, polityka nie z PiS, lecz z Solidarnej Polski. W sztabie znaleźli się także dr Błażej Poboży (politolog i wiceburmistrz Bemowa, rocznik 1978), a także radni: Paweł Lisiecki, Oskar Hejka, Katarzyna Kostyra i Katarzyna Wanat.

Aby pokazać, że Jaki cieszy się pełnym wsparciem PiS, sztabowcy akcentują zaangażowanie w kampanię burmistrzów, wiceburmistrzów i radnych należących do partii. Chętnie podkreślają wsparcie Cezarego Jurkiewicza, przewodniczącego Klubu Radnych PiS w Radzie Warszawy, a przede wszystkim to, że szefem komitetu poparcia został Stanisław Karczewski, marszałek Senatu, który był także rozważany przez kierownictwo PiS pod kątem kandydowania na prezydenta stolicy. – Skład to synteza młodości i doświadczenia. Marszałek Senatu, poseł, obecni i byli burmistrzowie warszawskich dzielnic, nauczyciel akademicki, ambitna młodzież, radni stolicy. Walczymy o ambitną i uczciwą Warszawę – tak zachwalał na Twitterze swój sztab wyborczy w dniu ogłoszenia jego składu Patryk Jaki.

Oprócz młodego wieku wspólnym mianownikiem sztabu Jakiego jest determinacja. To ludzie, którym się chce. I to widać. Wszędzie ich pełno – czy to wirtualnie w mediach społecznościowych, czy w realu podczas spotkań z mieszkańcami w ramach akcji „Stoimy pod blokiem".

Strategię wyborczą Jaki ma podobno rozpisaną dzień po dniu do końca kampanii. Wszystkie pomysły, tematy konferencji, obietnice. Z takim właśnie gotowym planem przyszedł do prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, by przekonać go, że będzie najlepszym kandydatem w Warszawie. Wtedy nie było to wcale oczywiste, bo mówiło się w tym kontekście nie tylko o marszałku Karczewskim, lecz także o Michale Dworczyku z KPRM, którego popierał premier Mateusz Morawiecki. Kaczyński ostatecznie postawił na Jakiego, choć – jak twierdzą nasi rozmówcy z PiS – nie był do końca przekonany, czy to dobry wybór. Teraz, obserwując kampanię Jakiego, jest zadowolony. I kandydata pochwalił niedawno publicznie. – Kiedy go po raz pierwszy zobaczyłem, na takim młodzieżowym spotkaniu, to zobaczyłem, od razu, po minucie, że to jest człowiek, który będzie w polskiej polityce wiele znaczył – stwierdził Kaczyński w rozmowie z TVP Opole. – Tutaj widać talent, widać tę siłę, energię, pewność siebie, spokój. Naprawdę to ktoś, kto może – bo to przecież młody człowiek – jeszcze kilka dziesięcioleci być czynny w polityce, wiele znaczyć, wiele zrobić dobrego – dodał.

SŁUPKI TO NIE WSZYSTKO

– Wiemy, że mamy bardzo dobrego kandydata, dobry plan rozpisany do ostatniego dnia i wewnętrzne przekonanie, że Patryk Jaki byłby lepszym prezydentem Warszawy niż Rafał Trzaskowski, ale daleko nam do triumfalizmu. Faworytem pozostaje kandydat Platformy i mamy tego świadomość – mówi „Do Rzeczy" dr Błażej Poboży. Dlaczego zdecydował się dołączyć do sztabu? – Dostałem zaproszenie do współpracy i chętnie je przyjąłem. Gdybym nie wierzył, że wygrana jest możliwa, nie angażowałbym się w to przedsięwzięcie. Naszym zadaniem jest obudzenie tej wiary w warszawiakach – odpowiada. – Widać w badaniach, że z tygodnia na tydzień Patrykowi Jakiemu rośnie poparcie, a Rafał Trzaskowski stoi w miejscu. Myślę, że te krzywe na wykresach kiedyś się przetną. Pytanie, czy zdążą przed wyborami? – zastanawia się.

Zwraca też uwagę na inną istotną kwestię: – Obok wyborów na prezydenta stolicy będą równie ważne wybory do rady miasta. Jeśli przed drugą turą wyborów prezydenckich okaże się np., że Platforma nie będzie miała większości w radzie, to może to mieć wpływ na decyzję wyborców, komu powierzyć władzę w Warszawie. W przeciwieństwie do Koalicji Obywatelskiej mamy bardzo dobre listy do Rady Warszawy.

Sztab Patryka Jakiego zaliczył jednak kilka wpadek – mniejszych, takie jak pomyłki w spotach (zamiast zdjęć warszawskiej Pragi – czeska Praga), i większych, jak kompromitujące wypowiedzi z przeszłości niektórych członków sztabu. Michał Szpądrowski został wykluczony ze sztabu po tym, jak wyciągnięto mu stare wpisy na Facebooku o „strzelaniu do Żydów z kałasznikowa". Jaki podkreślał wówczas, że szybką decyzją o wykluczeniu Szpądrowskiego pokazuje inne standardy niż jego konkurenci. – Nie mogliśmy podjąć innej decyzji. Doceniamy jego reakcję, że przeprosił – podkreślał. Szpądrowski jednak znów stał się tematem kampanii, ponieważ nieoczekiwanie znalazł się na pierwszym miejscu listy PiS do rady miasta w okręgu Wilanów-Ursynów. Opozycja tego Jakiemu nie odpuści.

Osobą, z której działalności sztab musiał się tłumaczyć, jest też Dariusz Matecki. To bloger, który promuje kampanię Jakiego w sieci i mediach społecznościowych. Wytykano mu mocno narodowe poglądy, kontrowersyjne wpisy, a także to, że pracując na rzecz Jakiego w kampanii, był pracownikiem resortu sprawiedliwości (on sam tłumaczy, że przebywa na urlopie).

Współpracownicy Patryka Jakiego, z którymi rozmawiamy, przekonują, że dobrze zorganizowana kampania to zasługa przede wszystkim samego kandydata, który do swojej pracy podchodzi zadaniowo i potrafi rozliczać podwładnych z powierzonych zadań. Powtarzają też do znudzenia, że koncentrują się na pracy, nie ekscytują dobrymi sondażami i nastawiają na ciężką, brutalną walkę na finiszu kampanii. Zdają sobie sprawę, że wygrana w stolicy będzie bardzo trudna. Chociaż nie niemożliwa. To ostatnie sprawia, że są dziś tu, gdzie są.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 358b74afb8

Słaby start czarnych koni

Wojciech Wybranowski

Prezydencki wyścig w metropoliach w tegorocznych wyborach nie będzie obfitował w polityczne niespodzianki. Tylko w kilku miastach pojawili się niespodziewani pretendenci, którzy, jak wskazują dotychczasowe sondaże, mogą zdobyć istotne poparcie

Tegoroczna walka o prezydentury największych miast jest raczej przewidywalna, o laury powalczą kandydaci wspierani przez główne partie polityczne: PiS i PO. Co ciekawe – w wyborach samorządowych swoich sił w całym kraju spróbują także Bezpartyjni Samorządowcy, będący jedynym pozaparlamentarnym stowarzyszeniem, któremu udało się zarejestrować ogólnopolski komitet wyborczy. Z list Bezpartyjnych do różnych szczebli samorządu startuje w sumie ok. 2 tys. kandydatów, a stowarzyszenie wystawiło bądź poparło też kilku kandydatów na prezydentów miast, którzy w wyborczym wyścigu odegrają niebagatelną rolę.

W Zielonej Górze z ramienia Bezpartyjnych o reelekcję ubiega się Janusz Kubicki, od 2006 r. prezydent miasta. Bezpartyjność Kubickiego jest jednak dość kontrowersyjna. Dlaczego? Obecny włodarz Zielonej Góry przez całą polityczną karierę kojarzony był z kolejnymi partiami: był działaczem postkomunistycznej SDRP, skarbnikiem SLD, a pierwszy raz prezydentem miasta został jako kandydat LiD. Z SLD pożegnał się w 2012 r., a w 2014 r. kandydował z list Platformy Obywatelskiej do sejmiku wojewódzkiego (zrzekł się mandatu radnego i pozostał na fotelu prezydenta). W kolejnych wyborach na prezydenta miasta w Zielonej Górze wystartował co prawda z własnego komitetu, ale z poparciem Platformy. Ostatnie sondaże (Ibris) dają Kubickiemu szansę na zwycięstwo już w pierwszej turze.

Raczej spokojny o awans do drugiej tury wyborów prezydenckich może być także inny kandydat Bezpartyjnych – Piotr Krzystek, obecny prezydent Szczecina. W 2006 r. wygrał wybory prezydenckie jako kandydat niezależny z poparciem Platformy Obywatelskiej; po wyborach wstąpił do tej partii i pozostał w niej do 2010 r. Od tego czasu startował w wyborach samorządowych jako kandydat niezależny.

POWRÓT PO LATACH

Szczecińskim rywalem Krzystka całkiem niespodziewanie został Bartłomiej Sochański, prezydent Szczecina w latach 1994–1998, adwokat, później m.in. konsul honorowy RFN w Szczecinie. Sochański rok temu wstąpił do PiS (w przeszłości był związany z KLD i UW), a decyzja o tym, że to on, a nie – jak wcześniej zakładano – Małgorzata Jacyna-Witt, będzie kandydatem partii Kaczyńskiego na prezydenta Szczecina, zapadła w połowie tego roku. Czy może okazać się czarnym koniem wyścigu w mieście uważanym za jeden z bastionów PO? Lokalni działacze PiS, z którymi rozmawialiśmy, są dość sceptyczni. – Walczymy o drugą turę. W Szczecinie będzie to dla nas bardzo dobry prognostyk przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi – mówi nam działacz szczecińskiego PiS.

Sondaż pracowni Ibris z połowy września daje Sochańskiemu osiem punktów procentowych straty do Krzystka, ale także jedynie cztery punkty procentowe przewagi nad trzecim z kolei Sławomirem Nitrasem. – Poseł Nitras oparł swoją kampanię na dość skandalizujących, mocnych wypowiedziach i hasłach, które co prawda przyciągają uwagę, ale ta metoda zarazem nie budzi aprobaty szczecinian. Nie wchodzę w żadne ostre spory z Nitrasem, mija się to z celem – mówi nam Sochański. I dodaje: – Mam pomysł na Szczecin, zamierzam wrócić do magistratu po prawie 20 latach, żeby dobrze zarządzać moim miastem, moim, bo w Szczecinie – w odróżnieniu od Nitrasa – się urodziłem. A wygranie z Krzystkiem? Cóż, będę przekonywał wyborców, że 12 lat za sterami to wystarczająco, by mógł wypełnić swój program, że teraz miasto rządzone przez skostniały układ nie podejmuje nowych wyzwań.

CIEKAWIE W OLSZTYNIE

Czterech głównych kandydatów może w Olsztynie cieszyć się zbliżonym poparciem, a to oznacza, że walka o drugą turę będzie trwać do ostatniej chwili przed ciszą wyborczą. To urzędujący prezydent miasta Piotr Grzymowicz, były prezydent miasta Czesław Małkowski, były sekretarz PZPR i negatywny bohater głośnej w Olsztynie seksafery. W 2015 r. Małkowski został skazany na pięć lat więzienia za gwałt na kobiecie w ciąży; odwołał się od wyroku, sprawa trafiła do ponownego rozpatrzenia, a on sam rywalizuje kolejny raz o fotel prezydenta miasta. Zaraz za nimi są: młody, bo zaledwie 32-letni kandydat PiS Michał Wypij oraz posłanka PO Beata Bublewicz. Zdaniem niektórych komentatorów, to jednak Wypij, prowadzący w stolicy Warmii i Mazur dynamiczną kampanię podobną do tej, którą w Warszawie prowadzi Patryk

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Jaki, ma szansę zostać czarnym koniem olsztyńskiego wyścigu i znaleźć się w drugiej turze wyborów.

– Olsztynem od dwóch dekad rządzi tak naprawdę ta sama ekipa, wywodząca się z PRL, prawica nigdy tak naprawdę nie wygrała w Olsztynie. Stoję więc przed trudnym wyzwaniem, ale spróbuję przerwać te lata zmarnowanych szans – mówi nam Michał Wypij, z wykształcenia politolog i historyk.

To nie jest jego pierwsza przygoda z polityką, w 2011 r. startował w wyborach parlamentarnych z list PJN, a w 2015 r. z list PiS, w obu przypadkach nie zdobył jednak mandatu poselskiego. Później był doradcą w gabinecie politycznym wicepremiera Jarosława Gowina. W rozmowie z „Do Rzeczy" przekonuje, że nabył dzięki temu doświadczenie polityczne, także we współpracy z rządem, które będzie przydatne, przy realizacji – jak mówi – rozwojowych projektów w Olsztynie.

„PREZYDENT JEST FAJTŁAPĄ"

Jarosław Pucek, prawnik, były dyrektor Zarządu Komunalnych Zasobów Lokalowych w Poznaniu, nad startem w wyborach prezydenckich w stolicy Wielkopolski zastanawiał się prawie rok. Namawiali go m.in. koledzy z poznańskiego środowiska prawniczego, były prezydent miasta Ryszard Grobelny i środowisko kibiców Lecha Poznań, z którymi od lat jest związany. Był też związany z wielkopolską Platformą Obywatelską, odszedł z niej w 2014 r., wcześniej ostro krytykował partię Tuska za naruszenia praw człowieka, m.in. represje wobec kibiców.

W rozmowie z „Do Rzeczy" mówi, że wystartował w wyborach prezydenckich, bo to, co się dzieje w stolicy Wielkopolski rządzonej przez kandydującego z list PO Jacka Jaśkowiaka, uważa za tragiczne dla miasta. – Jest bardzo złym prezydentem. Mało tego, Jaśkowiak już w tej kampanii mówi, że jeśli wygra, to przyszła kadencja będzie „bez fajerwerków", a przecież to druga kadencja jest tą, w której konsumuje się to, co wypracowało się w pierwszej – mówi nam Jarosław Pucek. – Takie deklaracje oznaczają, że prezydent jest fajtłapą i chce nas cofnąć w rozwoju. Jaśkowiak jest słabym prezydentem, który poza PR-em, blichtrem i Bizancjum nie zaproponował poznaniakom nic sensownego – dodaje.

Pucek cieszy się poparciem ludzi młodych, środowisk przedsiębiorców i szeroko pojętej centroprawicy. To może jednak nie wystarczyć, by wygrać rywalizację z kandydatem PO Jackiem Jaśkowiakiem i popieranym przez PIS Tadeuszem Zyskiem, założycielem i prezesem wydawnictwa Zysk i S-ka. Część lokalnych sondaży plasuje jednak Pucka na trzecim miejscu z wynikiem między 8 a 10 proc. (podobny wynik ma też Tomasz Lewandowski, zastępca prezydenta Poznania), co sprawia, że ten bezpartyjny kandydat przed drugą turą może w Poznaniu stać się „języczkiem u wagi".

KANDYDAT NIESPODZIANKA

Na tytuł czarnego konia samorządowych wyborów prezydenckich pracuje, obok Patryka Jakiego, szerzej dotąd nieznany Kacper Płażyński, kandydat PiS na prezydenta Gdańska. – Nie boję się rywalizacji oraz ciężkiej pracy i gdybym nie miał wiary w zwycięstwo, nie decydowałbym się na start w wyborach – mówił Płażyński w wywiadzie dla „Do Rzeczy".

I przekonywał, że walczy o fotel prezydenta Gdańska, by skończyć z lokalnymi układami w tym, jak to określił, zbudowanym wokół urzędującego prezydenta miasta Pawła Adamowicza dyktatem deweloperów. Wrześniowe wyniki sondażu Ibrisu dają Płażyńskiemu na półmetku kampanii trzecie miejsce z mniej niż jednym punktem procentowym straty do drugiego w sondażach Pawła Adamowicza. Młodemu kandydatowi PiS sprzyja także coraz wyraźniejszy konflikt między Adamowiczem a liderującym w wyścigu Jarosławem Wałęsą, popieranym przez PO. W porównaniu z pierwszymi sondażami realizowanymi kilka miesięcy temu, po ogłoszeniu przez Płażyńskiego, iż będzie startował w gdańskich wyborach zanotował on kilka punktów procentowych wzrostu poparcia.

Duopol PiS-PO podzielił również lokalną scenę polityczną. Trudno zatem w tym roku w wyborach w dużych miastach spodziewać się czarnych koni spoza tych partii. Do pierwszej tury wyborów zostały jeszcze blisko trzy tygodnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. KRYSTYNA BLATKIEWICZ/REPORTER

Nie-PO-myślność

Rafał A. Ziemkiewicz

W mediach totalnej opozycji trwa bój o „jedność ideowo-polityczną"

Kabaret Pod Egidą w heroicznym, „odwilżowym" sezonie 1981 miał w repertuarze monolog, który nazywał się bodajże „Salto mortadele, czyli z punktu widzenia małpy". Tekst, brawurowo wykonywany przez Piotra Fronczewskiego, opowiadał o buncie zwierząt w cyrku, a tak naprawdę – oczywiście – o tym, jak polscy robotnicy utarli nosa komunie. W kulminacyjnym momencie opowieści dyrektor cyrku zaczyna się wahać, czy nie iść wobec zbuntowanych zwierzaków na ustępstwa, ale w tym momencie przywołuje go do porządku zdobiąca gabinet papuga. „Nie, kurrrwa mać! – wrzasnęła papuga (wyobrażają sobie państwo, kto nie słyszał, jak to brzmiało w interpretacji Fronczewskiego!), stoimy twarrrdo na gruncie ZPR-rrru i Cyrrrku Popowa!".

Odkąd usłyszałem ten monolog i odkąd obserwuję życie publiczne, typ ludzki, zobrazowany przez autora monologu w postaci tej papugi, stanowi ulubiony obiekt mojej obserwacji. Gdy jedynie słuszna siła dopuści się draństwa tak grubego albo nieudolności tak kompromitującej, że zaczynają się chwiać nawet najbardziej bezkrytyczni wyznawcy – wtedy zawsze wyskakuje ktoś, kto nie ma żadnych zahamowani, by zakrzyknąć, że słuszną linię ma nasza władza i niech nam żyje prezes naszego klubu. I ani kroku w bok, a tym bardziej w tył!

Po stronie, umownie mówiąc, lewicowej niezrównana była swego czasu w tej roli śp. Janina Paradowska. Zwana przez zwolenników „pierwszą damą dziennikarstwa" (trafnie, bo w rzeczy samej celowała w dziennikarstwie dworskim) potrafiła zaprzeczać oczywistościom i wyszydzać elementarne odruchy przyzwoitości oraz zdrowego rozsądku z takim przekonaniem, że – tak jak w sławnym eksperymencie psychologicznym znanym z „Konformizmu" Aronsona – co słabsze jednostki cykały się i zamykały gęby. Afera Rywina? Bzdura, humbug, nic złego tam nie powiedziano ani nie zrobiono. WSI? Opluwani przez szaleńców bohaterowie – i tak dalej. Przy czym pani Janina, nie można zaprzeczyć, łączyła giętkość w realizowaniu jedynie słusznej linii partii z pracowitością i merytorycznym przygotowaniem, zawsze wiedziała, kto gdzie jest, co w jakiej ustawie, a co w projekcie i na jakim ten projekt etapie.

Czasy świetności salonu – czy też, jak powiedziało się wyżej, dworu – III RP dawno już jednak minęły. Formacja niegdyś tworzona przez Geremka, Turowicza, ks. Tischnera i Miłosza z Wajdą dziś jest formacją Schetyny, Lisa, ks. Lemańskiego i „Kuby" Wojewódzkiego. W klatce z papugą nastąpił podobny regres – pilnowanie pryncypiów ZPR i cyrku Popowa spadło na takie tuzy jak Stanisław Skarżyński czy Malwina Dziedzic.

@

Poszło o wspominaną przeze mnie tydzień temu czystkę w mediach totalnej opozycji, mającą zwiększyć ich, jak to się

eprasa.pl 358b74afb8

nazywało za komuny, „jedność ideowo-polityczną". Nie skończyło się na Rafale Wosiu. Portal Gazeta.pl zlikwidował cały dział opinii, dziękując za współpracę Grzegorzowi Sroczyńskiemu, a przy okazji także zajadłej feministce Wiktorii Beczek, która, prawdę mówiąc, trudno mi zgadnąć, czym się naraziła – może wystarczyło, że nie odcięła się w porę od „błędów symetryzmu"?

Sroczyński – nie wiem, czy został definitywnie już usunięty z mediów Agory, czy będzie przesunięty na jakieś marginalne stanowisko, komunikaty w tej sprawie były sprzeczne – to naprawdę jeden z lepszych dziennikarzy pokolenia, które próbowało zagospodarować pookrągłostołową częściową „wolność mediów". Mimo że większość kariery spędził w „Gazecie Wyborczej", udało mu się nie napisać ani jednego tekstu świńskiego, kłamliwego czy poniżającego kogoś nieuczciwymi chwytami. Ani razu nie przyłapałem go na zaprzeczaniu własnym wypowiedziom sprzed jakiegoś czasu, co jest charakterystycznym objawem kierowania się w pisaniu linią partii i „mądrością etapu". Napisał za to sporo rzeczy na tyle celnych, że „Wyborcza" wolała je pozostawić tylko w wydaniu papierowym.

Wiem oczywiście, że wymienione wyżej cnoty po umownej przeciwnej stronie są „plusami ujemnymi", ale chcę podkreślić, że – jakkolwiek bym się z dziennikarzami takimi jak Sroczyński i Woś nie zgadzał – mamy w ich osobach do czynienia z profesjonalistami. Wywiady Sroczyńskiego o przebiegu ustrojowej transformacji czy wykorzystaniu przez Polskę członkostwa w Unii Europejskiej to solidne źródło fachowych opinii i obiektywnej wiedzy, Wosiowi też nie sposób odmówić znajomości procesów gospodarczych, które próbuje objaśniać w duchu wyznawanych idei.

Kiedy naskakują na nich dziennikarze, którzy nie dorobili się jeszcze nawet własnego hasła w Wikipedii, albo tacy jak wspomniana wyżej paniusia z „Polityki", mający w zawodowym dorobku tylko powielenie wiele razy jedynie słusznego przekazu „PiS jest zły" (w wariantach: „Kościół", „prawica", „faszyści" etc.), albo, tak jak redaktor Skarżyński, oczywiste wtopy – to skojarzenie z papugą dyrektora i tak wydaje się przesadnie życzliwe. W końcu papuga umiała przynajmniej mówić ludzkim głosem.

Pani Dziedzic ograniczyła się do wyrażenia poparcia dla „słusznej linii" kierownictwa własnej firmy oraz bratniego koncernu Agora w mediach społecznościowych. Skarżyńskiemu to nie wystarczyło. Zamieścił w „Krytyce Politycznej" rozwlekły wywód o tym, jak słuszne było zamknięcie ust Wosiowi i Sroczyńskiemu, bo wykazali się oni „brakiem profesjonalizmu".

@

Nie trzeba znać zawodowej drogi Skarżyńskiego, ale ją przypomnę. Przez długi czas jako asystent Moniki Olejnik obsługiwał jej telefon i ksero, potem w „Wyborczej" powierzono mu redagowanie serwisu „Osiem dziewięć", który miał być „głosem pokolenia" urodzonego w latach 80. i 90.; wypełniał go sztampowymi, nudnymi referatami przypominającymi do złudzenia dyskusje „młodych" z dawnych spotkań działaczy ZSMP czy SZSP. Pozbycie się przez gazetę tego działu i pana Skarżyńskiego, który obecnie realizuje się w półamatorskim serwisie interetowym OKO.press, przeszło, w przeciwieństwie do decyzji, której dziś demonstracyjnie przyklaskuje, bez echa.

Jednak, jak mówię, nie trzeba sobie tą karierą obciążać pamięci ani też szukać zawodowego dorobku osobnika, który butnie orzeka o braku profesjonalizmu „podpadziochów". O jego umiejętnościach wystarczająco wiele mówi wspomniany artykuł pt. „Profesjonalizm" na portalu „Krytyki Politycznej". Każdy, jak sądzę, przyzna, że jest on napisany wyjątkowo nieudolnie – rozwlekle, mętnie, z mnóstwem dygresji służących wyłącznie temu, by pan Skarżyński mógł sobie publicystycznie „ulżyć". W obronę „prawidłowej" decyzji o zwolnieniu za „brak profesjonalizmu" i „arogancję" wyżej wymienionych oraz filipikę przeciwko „tchórzostwu" i „nieuczciwości" Sławomira Sierakowskiego i innych obrońców wyrzuconych dziennikarzy wplata wzmianki o Kościele „wtykającym ręce dzieciom w majtki", Leszku Millerze prowadzącym „listę partnerów seksualnych swej dorosłej wnuczki" czy „prezydencie o bardzo małym rozumku, któremu nawet nie dano krzesła w Białym Domu" – tudzież wielu innym, od Sasa do Lasa, odpowiedzialnym jakoby za to, że w Polsce, do czasu wychwalanego przez redaktora Skarżyńskiego usunięcia „symetrystów" nie wyciągano wobec nikogo konsekwencji za „zbłaźnienie się".

W efekcie nie wystarcza autorowi miejsca na bodaj zdawkowe wyjaśnienie, na czym polegać miał „nieprofesjonalizm" autorów, którym, co tu ukrywać, ze swym zawodowym dorobkiem może Skarżyński „skoczyć na puklerz". Wychodzi, że po prostu na tym, iż Woś napisał rzecz niesłuszną, szkodliwą, podważającą potrzebę jedności i dyscypliny w walce z PiS, a Sroczyński, nie poznawszy się na nieprawomyślności, skierował ją do publikacji.

@

Powiadali ponoć średniowieczni rycerze, że trup pokonanego wroga „miło wionie". Nie mogę się z tym zgodzić. Mnie zapaszek procesów gnilnych, zachodzących w obozie pomagdalenkowym, wśród wysadzonych z siodła byłych elit, wcale nie cieszy i jakoś się nie mogę do niego przyzwyczaić.

Nie chodzi o jakiegoś Skarżyńskiego. Zawsze znajdują się ludzie o mentalności „marcowych docentów", sfrustrowani brakiem sukcesów i chętni rekompensować to sobie gorliwym kibicowaniem, gdy biją lepszych od nich – zwykle licząc, że bijący jakoś im się za to odwdzięczą. Gomułce miotającemu gromy na Jasienicę i innych literatów krzyczeli z sejmowej galerii: „Śmielej, towarzyszu Wiesławie!", w grudniu 1981 r. bili brawo Jaruzelskiemu – sam pamiętam, jak wicenaczelny „Wyborczej", Stasiński, cieszył się w telewizji, gdy policja aresztowała podczas pełnienia służbowych obowiązków fotoreportera PAP i innych dziennikarzy, i jak domagał się dla nich surowych kar albo jak jego publicysta Wroński cieszył się, gdy fagas Tuska i Grasia niszczył „Rzeczpospolitą" i oddawał stworzony przez nas tygodnik „Uważam Rze" na zmarnowanie ludziom Giertycha.

Może ktoś pomyśleć, że dziś, gdy tępienie „nie-PO-myślności" przybrało formę wewnętrznej dintojry w obozie lewicowo-liberalnym, powinienem się cieszyć. Jakoś nie potrafię i nie chodzi nawet o obrzydliwe potraktowanie przez fanatyków oraz manipulatorów dziennikarzy, z którymi się nie zgadzam, ale których szanuję. Chodzi o to, że proces gnilny – będę się upierał przy tej metaforze, oddającej obecny stan tego, co za czasów Geremka czy Tischnera było „salonem" – ma tendencję do infekowania także zdrowych tkanek. Zwłaszcza dotyczy to polityki i debaty publicznej, gdzie obie strony od dawna już naśladują się w tym, co najgorsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 358b74afb8

Rafał Woś został zwolniony z tygodnika „Polityka", bo proponował publicznie lewicy współpracę z PiS FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

Marcin Makowski

„Polityka" wyrzuca krnąbrnego dziennikarza, Gazeta.pl zamyka dział z opiniami. W mediach liberalnych nie ma miejsca na wolność przekonań?

Grzegorz Sroczyński w portalu Gazeta.pl publikował opinie różnych publicystów. To okazało się nie do zniesienia w Agorze FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

Requiem dla symetrystów

Historie Rafała Wosia i Grzegorza Sroczyńskiego brzmią jak przestroga. 20 sierpnia Woś – dziennikarz ekonomiczny tygodnika „Polityka" oraz ideowy lewicowiec z plakatem Marksa nad biurkiem – opublikował na portalu Gazeta.pl felieton pt. „Lewico, czas na współpracę z PiS. Trzeba budować z Kaczyńskim demokratyczny socjalizm". Przekonywał w nim: „Nowa polska lewica nie ma dziś ani wystarczającej siły, ani interesu, żeby całkowicie odsunąć PiS od władzy. Celem lewicy na najbliższe lata powinno być najpierw »udomowienie« prawicy, a potem pchnięcie jej na drogę wspólnej budowy demokratycznego socjalizmu".

Obrazoburcza dla kręgów liberalnych teza nie pojawiła się na portalu znikąd. To konsekwencja budowanego od podstaw działu, w którym Grzegorz Sroczyński zamarzył sobie widzieć autentyczny ferment intelektualny i starcie światopoglądów. Przez rok owa symetrystyczna utopia funkcjonowała sprawnie, a obok Szubartowicza i Dorna publikowali tam m.in. Piotr Skwieciński i Kamila Baranowska z „Do Rzeczy". Sroczyński czuł jednak, że pomimo konfrontacyjnej formuły działu „Opinie" dla „gazetowego" czytelnika teza Wosia może być niestrawna i zabezpieczył się wstępem do felietonu. „Dla wielu dzisiejszy tekst Wosia będzie skandaliczny lub – w najlepszym razie – kretyński. […] Osobiście traktuję ten tekst jako intelektualną prowokację, która – przynajmniej mnie – daje sporo do myślenia i wywołuje chęć polemiki (co z kolei pozwala lepiej poukładać własne poglądy). Również Czytelników zachęcam do polemik pod tekstem […]. Nie obrażajmy się, dyskutujmy!" – zaapelował. Ktoś się jednak na górze tygodnika i portalu obraził, za nic biorąc entuzjastyczne zachęty do dyskursu.

„Polityka" odcięła się na Twitterze od słów swojego autora. „[…] to nie POLITYKA opublikowała ten tekst. Rafał Woś jest naszym dziennikarzem ekonomicznym, nie politycznym" – mogliśmy przeczytać. Następnie 10 września Woś poinformował, że nie jest już członkiem redakcji i szuka „nowej uczciwej pracy". Nieco później, 21 września, portal Press.pl ujawnił, że podobny los spotyka również Grzegorza Sroczyńskiego i cały prowadzony przez niego dział „Opinie". „Ze źródeł w redakcji Gazeta.pl dowiadujemy się, że zespół został poinformowany, iż powodem zawieszenia działu miały być napięcia, jakie generował w relacjach z »Gazetą Wyborczą«, i nie wiadomo, czy zostanie przywrócony w dotychczasowej formie" – brzmiały pierwsze przecieki. Sama Agora nabrała wody w usta, tłumacząc się „zmianą koncepcji".

TYLKO DLA LIBERAŁÓW

Sprawa czyszczenia ideowego biorących na sztandary „wolność słowa" mediów wywołała małe trzęsienie ziemi również po opozycyjno-socjalistycznej stronie barykady. Krytycznie wypowiedzieli się Partia Razem, były sekretarz redakcji „Wyborczej" Jacek Rakowiecki oraz pisarz Szczepan Twardoch. „Zawieszenie działu opinii w Gazeta.pl to ciężki błąd mediów liberalnych, które gwałcą własne zasady. I prowadzą jednocześnie bardzo złą politykę" – stwierdził na łamach portalu „Krytyki Politycznej" Sławomir Sierakowski. Być może po raz pierwszy tak otwarcie środowisko „Krytyki" ustami redaktor naczelnej portalu wyartykułowało przy tej okazji tezę, którą konserwatyści znali od dawna. „Rola lewicowego publicysty to też

eprasa.pl 358b74afb8

rola bycia wiecznym gościem na łamach liberalnych mainstreamowych mediów. Bywamy tam takimi osobliwymi dziećmi, dla starszych liberałów trochę niedojrzałymi. [...] To po prostu nie są nasze media" – stwierdziła Agnieszka Wiśniewska.

Podobnie, już po fakcie, wypowiedział się Grzegorz Sroczyński w wywiadzie z Michałem Sutowskim: „Odnoszę wrażenie, że liberałowie mylą krytykę konkretnych błędów z atakiem na ich całe życiorysy – stąd bierze się pasja, z jaką niektórzy nie dopuszczają nawet myśli, że warto posłuchać krytycznych głosów z wnętrza własnego obozu", a wtórował mu w „Kulturze Liberalnej" Rafał Woś. „Dział opinii na stronie Gazeta.pl zamknięto z przyczyn politycznych. To nie jest moja, wynikająca z rozgoryczenia, interpretacja faktów, tylko rzeczywistość. [...] Byłem posłańcem, któremu ścięto głowę" – stwierdził. Tymczasem – o ironio! – „najzabawniej będzie, jak się okaże, że na prawicy jest więcej przestrzeni dla różnorodności i mniej niechęci dla obcego niż u liberałów. Zwróć uwagę, że »Do Rzeczy« już dziś tak działa. Łukasz Warzecha, który chce mieć dostęp do broni i nie lubi podatków, obok endek Ziemkiewicz, monarchista Zychowicz, piłsudczyk Semka albo zafascynowany pismami Abramowskiego Stefan Sękowski. A na deser Kataryna. Rozdyskutowani jak lewica w 1968!" – przekonywał w „Krytyce Politycznej" Woś. Czy ktoś spodziewałby się podobnych słów jeszcze rok temu?

Publicysta Wojciech Engelking na Facebooku zwrócił uwagę, że „po raz pierwszy plemienna walka o czystość ideową wygrała z rachunkiem ekonomicznym", bo dopóki odbywała się ona w przestrzeni retoryki, „a faktycznie i tak chodziło o to, by sobie ładnie zarobić i skonsumować owe zarobki na piękne, całkiem prywatne dobra, dopóty było niegroźnie". W ten sposób nieco niezauważenie zarówno tygodnik, jak i portal przekroczyły kolejną, jedną z ostatnich w polskim dziennikarstwie granic. Lęk przed ostracyzmem własnego środowiska przedłożyły ponad pluralizm i racjonalne przesłanki ekonomiczne. Czyli – mówiąc prościej – stchórzyły.

DOBRZE IM TAK, SYMETRYSTOM!

Niestety, pomimo wyraźnego sprzeciwu sporej części środowiska dziennikarskiego w kwestii cenzurowania debaty publicznej pojawiły się również nie mniej liczne głosy wyrażające radość z wyczyszczenia przedpola. „Skuteczne rozprawienie się z dziennikarskim detalizmem, który widzi szczegóły, ale nigdy całości, wszystko wie, ale niewiele rozumie i nigdy nie ma odwagi nazwać rzeczy po imieniu" – zatweetował triumfalnie Tomasz Lis, komentując zwolnienia. „Woś przygląda się ze szczególną uwagą prospołecznym aspektom programu gospodarczego PiS, jednak zapomina przy tym, że nawet faszyści zawsze prowadzili jakieś programy wspierające biednych. [...] Fakt, że faszyści prowadzą częściowo słuszną politykę gospodarczą, zawsze był problemem dla lewicy" – przywoływał krnąbrnego publicystę do porządku prof. David Ost.

O tym, jak jaskrawo sprawa Wosia i Sroczyńskiego zdemaskowała część środowiska liberalnego, niech świadczą jednak słowa dziennikarki „Polityki", z którą przez trzy lata współpracował ten pierwszy. „I od razu dzień robi się przyjemniejszy! :) Brawo, Gazeta Wyborcza, Gazeta.pl!" – napisała na swoim profilu na Facebooku Malwina Dziedzic. Dla tych, „którzy nie zrozumieli albo zrozumieć nie chcą", po fali krytyki doprecyzowała źródła schadenfreude, streszczając je do trzech punktów. Pierwszy: „wydawca ma prawo decydować o tym, z kim chce współpracować i jakie poglądy chce promować pod swoim szyldem", drugi: „sytuacja w naszym kraju jest nadzwyczajna, a konsekwencje polityki prowadzonej przez obecną władzę będą katastrofalne w wielu wymiarach" i trzeci: „dziennikarza i wydawcę obowiązuje przede wszystkim odpowiedzialność za słowo". Bliźniacza retoryka była stosowana również przez innych niezliczonych Tomaszów Lisów debaty publicznej, oddychających z ulgą po ukręceniu głowy symetrystom. Według nich wolność słowa polega na wolności krytykowania kolegów po fachu, ale nie polega na tym, aby mogli oni wyrażać swoje poglądy, które potraktowane zbyt serio w słabszych umysłach zagnieżdżą się jak patogen choroby Kaczyńskiego-Ziobry-Gowina, przejawiającej się nadmiernym konserwatyzmem, klerykalizmem i antydemokratycznością. Dlatego credo współczesnych frontowych liberałów to jedynie parafraza pełnego hasła ojców Wielkiej Rewolucji Francuskiej: „Wolność, równość, braterstwo – albo śmierć". W „Polityce" i „Gazecie" znowu zrobiło się bezpiecznie i przewidywalnie. Karawana jedzie dalej, na kluby dyskusyjne przyjdzie czas po wojnie. Jakie to miłe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

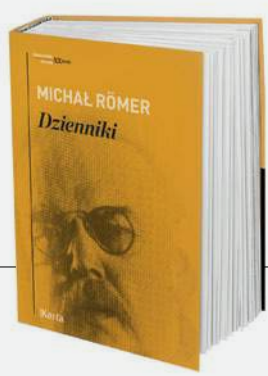

Polsko-litewska konferencja

Ład Europy Wschodniej. Polska i Litwa w monumentalnych *Dziennikach* Michała Römera

W DYSKUSJI UDZIAŁ WEZMĄ

prof. Alvydas Nikžentaitis | prof. Grzegorz Nowik
dr Rimantas Miknys | prof. Leszek Zasztowt

10 października 2018 roku

Więcej informacji i zapisy pod adresem: promocja@karta.org.pl
Relacja na żywo na fanpage'u oraz na kanale YouTube Ośrodka KARTA: godz.18.00

Spotkanie dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach programu Kultura – Interwencje

NARODOWE CENTRUM KULTURY

Organizatorzy spotkania

Ośrodek Karta

STUDIUM EUROPY WSCHODNIEJ UNIWERSYTET WARSZAWSKI

Patronat honorowy

Patroni medialni spotkania

Nowa Europa Wschodnia

DZIEJE.PL PORTAL HISTORYCZNY

BIS

dwójka POLSKIE RADIO

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. FOTOLIA

Szybcy i wściekli

Łukasz Warzecha

Rowerzyści w Polsce są rozbestwieni, bezkarni, coraz bardziej bezczelni i niebezpieczni. Czas położyć temu kres

We wrześniowy wieczór przez warszawski most Poniatowskiego jechała 18-letnia rowerzystka. Jechała chodnikiem, łamiąc przepisy, bo zgodnie z Kodeksem drogowym powinna jechać jezdnią. Na wąskim odcinku chodnika, wymijając innego jadącego niezgodnie z przepisami rowerzystę, straciła równowagę i przewróciła się na jezdnię, wprost pod jadący przepisowo samochód. Zginęła na miejscu.

Rowerowi fanatycy momentalnie poczuli wiatr w żaglach. Po długiej przerwie stołeczne ulice znów sparaliżowała Masa Krytyczna. W środowisku rowerowych samochodofobów brak refleksji, że to ono samo, wspierane przez komunikacyjną lewicę, przyczynia się do wzrostu agresji i spadku bezpieczeństwa.

Rozbestwienie rowerzystów widać najlepiej w dużych miastach, gdzie rower jest elementem hołubionego przez lewicę stylu życia, zgodnie z którym miejscy aktywiści chcą kształtować metropolie, uprawiając społeczną inżynierię. Rowerzyści taranują siebie nawzajem na drogach rowerowych i wpadają na pieszych, w tym na dzieci. Są aroganccy i bezczelni, czują się panami ulic. Zdarza się, że atakują tych, którzy zwracają im uwagę.

BEZKARNI

Dziesięć lat temu policyjna statystyka odnotowała 2205 wypadków z winy rowerzystów. W 2015 r. było ich 1644, w 2016 – 1778, rok później – 1546. Wydaje się, że nastąpił postęp, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, że na rowerach jeździ coraz więcej osób. Trzeba jednak pamiętać, że zarazem ogromnie polepszyła się infrastruktura drogowa i rowerowa. Powstały tysiące kilometrów wydzielonych rowerowych dróg, uchwalono przepisy, które w teorii mają zwiększać bezpieczeństwo rowerzystów, utrudniono ruch samochodów w miastach. Z tego punktu widzenia statystyka powinna wyglądać znacznie lepiej. Zresztą w 2008 r. odnotowano jedynie 141 wypadków na drogach dla rowerów, a w roku 2017 – aż 803.

Zdecydowana większość spośród 4214 wypadków z udziałem rowerzystów w 2017 r. zdarzyła się na obszarach zabudowanych (3645), czyli tam, gdzie w teorii infrastruktura jest najlepsza i najbardziej rozbudowana. Najwięcej wypadków śmiertelnych dla rowerzystów miało miejsce we wrześniu i w październiku, czyli wtedy, gdy wcześniej robi się ciemno.

Nie znamy natomiast liczby wypadków spowodowanych przez rowerzystów, których skutki nie okazały się zbyt groźne – skończyło się na potłuczeniach. Policja rzadko jest wzywana przez pieszych, staranowanych przez kierujących rowerem.

Nie słychać, żeby ktokolwiek domagał się od rowerzystów ustępowania pieszym, przechodzącym przez drogi dla rowerów, choć w tej samej sprawie – słusznie – naciska się na kierowców. Mieszkająca na Saskiej Kępie była dziennikarka Maria Bnińska opowiada, jak niedawno na ul. Paryskiej, na pasach przechodzących przez drogę dla rowerów, wpadł na nią rozpędzony rowerzysta. „Jeszcze się na mnie wydzierał" – mówi Bnińska. Wskazuje też, że w tym samym miejscu droga rowerowa przecina jezdnię, a kierowcy mają tam mocno ograniczoną widoczność. Rowerzyści się tym oczywiście nie przejmują. „W końcu dojdzie tam do tragicznego wypadku" – ostrzega Bnińska.

Nie zawsze kończy się tylko na potłuczeniach i otarciach. W połowie września także na Saskiej Kępie 43-letni rowerzysta pędzący chodnikiem potrącił kobietę, która upadła na chodnik, uderzając o niego głową. Rowerzysta uciekł. Po paru dniach kobieta zmarła w szpitalu. Oburzenia środowisk rowerowych jakoś nie było słychać.

Podobnie jak nie odezwały się po tragedii w Szczecinie w ubiegłym roku, gdy rowerzysta jadący w grupie zsiadł z wehikułu i uderzył idącego ciągiem pieszo-rowerowym mężczyznę. Ten upadł na chodnik. Po paru dniach zmarł.

Inna sytuacja, z Mokotowa, też z września, którą jedna z użytkowniczek Facebooka opisała tak: „Wczoraj, 19 września, około godziny 14.30–15.00, na przejściu dla pieszych […] moja babcia została potrącona przez rowerzystę. Rowerzysta wjechał w babcię, babcia upadła, rowerzysta uciekł z miejsca zdarzenia. Nie udzielił

eprasa.pl 358b74afb8

żadnej pomocy. Babcia upadła na głowę i straciła przytomność. Ratownicy powiedzieli, ze babcia leżała w kałuży krwi". Na szczęście, jak wynika z relacji, starszej pani ktoś szybko pomógł, zaopiekował się nią i wezwał karetkę.

MASA... KRETYNICZNA

Rowerzyści dostali od polskiego ustawodawcy oraz od zarządców dróg carte blanche. Ktokolwiek poruszał się rowerem w krajach o rozbudowanej infrastrukturze rowerowej, ten wie, że swoboda rowerzystów nie jest tam nieograniczona. I to nawet w miejscach pozornie bezpiecznych. Na Węgrzech wokół jeziora Balaton wytyczona jest wygodna droga dla rowerów. Jednak tam, gdzie przecinają ją poprzeczne, nawet mało uczęszczane ulice, rowerzystów obowiązują znaki „STOP". W stawianej przez rowerowych fanatyków za wzór Holandii na drogach dla rowerów pojawiają się progi zwalniające. Wbrew temu, co twierdzą rowerowi fanatycy, użytkownicy rowerów nie są na mitycznym „Zachodzie" świętymi krowami. W Wielkiej Brytanii rośnie liczba rowerzystów karanych za lekceważenie zasad ruchu i znaków. W 2010 r. było ich zaledwie 52, cztery lata później – już 125. Coraz częstsze są też konflikty między tą grupą a innymi użytkownikami dróg.

W Polsce tymczasem nawet w skrajnie niebezpiecznych miejscach od rowerzystów niczego się nie wymaga. Wzdłuż warszawskiej ul. Tamka, prowadzącej stromo w dół ku Wiśle, ciągnie się droga rowerowa. Przecinają ją liczne wyjazdy z posesji. Kierowcy nie mają żadnych szans, by dojrzeć rower zjeżdżający z bardzo dużą prędkością. Jednak nie pomyślano, żeby w jakiś sposób spowolnić tam ruch jednośladów.

Z kolei na oplecionym gęstą siecią dróg dla rowerów Ursynowie roi się od skrzyżowań, na których kierowca skręcający w prawo, nawet gdyby się zatrzymał i maksymalnie obrócił głowę, nie zobaczy jadącego równolegle drogą dla rowerów, zwłaszcza szybko, rowerzysty. Aż prosi się, żeby postawić tam bariery wymuszające na rowerzystach spowolnienie przed przejazdem przez ulicę, lub znaki, nakazujące im ustępować pierwszeństwa. Jednak o niczym takim nie ma mowy. Jeśli dodać do tego wprowadzoną na fali rowerowej poprawności politycznej do Kodeksu drogowego zasadę, że skręcający w prawo samochód ma obowiązek ustąpić jadącemu wprost przy prawej krawędzi jezdni rowerowi, to mamy gotową receptę na nieszczęścia. Absurdem są również wytyczane w zatłoczonych miastach na siłę drogi rowerowe na jezdni, potęgujące korki albo wynalazek jeszcze niebezpieczniejszy: rowerowe kontrapasy.

Szczególnie że rowerzyści wydają się bezkarni. Policja woli polować na kierujących samochodami, zamiast zabrać się za idiotów, którzy po zmroku jadą ulicami na rowerze bez oświetlenia, łamiąc przepisy.

Przy tym wszystkim rowerzyści są coraz bardziej bezczelni i agresywni. W sieci można znaleźć filmy, na których rowerowi „aktywiści" chwalą się, jak to przeganiają pieszych z dróg dla rowerów. Jeden z nich pokazuje, jak nagrywający pojawia się na drodze rowerowej, przez którą przechodzą ludzie wychodzący po mszy z kościoła. Trąbi, dzwoni i krzyczy. Można założyć, że miejsce i czas jego akcji nie są przypadkowe – rowerowa mania to domena lewicy.

Dziennikarz TVP Krzysztof Ziemiec opowiada, że gdy zdarzało mu się zwrócić grzecznie uwagę rowerzyście, jadącemu jezdnią po ul. Belwederskiej, że na chodniku jest wytyczona droga rowerowa, więc powinien jechać tamtędy, słyszał w odpowiedzi: „Spi…laj!". Doświadczenia Ziemca nie są odosobnione. Chamscy rowerzyści, jadący złośliwie jezdnią zamiast drogą dla rowerów, nierzadko obok siebie, to miejska codzienność.

Ulubioną imprezą rowerowych fanatyków jest Masa Krytyczna, zwana złośliwie Masą Kretyniczną. Jej głównym, choć nie deklarowanym oficjalnie celem było zawsze utrudnienie życia kierowcom. Nikt chyba nie zrobił tyle dla wzbudzenia negatywnych emocji pomiędzy rowerzystami a innymi użytkownikami dróg co organizatorzy Warszawskiej Masy Krytycznej. Już sam jej termin został wybrany wyjątkowo perfidnie – odbywała się przez lata regularnie w ostatni piątek miesiąca po południu, czyli w porze, gdy najwięcej osób próbuje możliwie szybko dojechać z pracy do domu. W i tak zakorkowanym mieście przejazd rowerzystów potęgował chaos. Wielu zapalonych użytkowników rowerów w twitterowych rozmowach deklarowało, że przy całym swoim przywiązaniu do dwóch kółek uważają Masę za pomysł poroniony i szkodliwy.

Rowerowi aktywiści to zresztą odrębny stan świadomości. Po tragedii na moście Poniatowskiego, który po prostu nie jest przystosowany do bycia rowerową przeprawą – ani na chodniku, ani na jezdni – w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" Robert Buciak z Zielonego Mazowsza (wyjątkowo agresywnej i szkodliwej organizacji „ekologicznej") postulował, żeby most… zamknąć dla samochodów. Pomysł za głupi uznał nawet Łukasz Puchalski, dyrektor Zarządu Dróg Miejskich, a wcześniej rowerowy pełnomocnik warszawskiego ratusza.

PRZYCZYNY SZALEŃSTWA

Przyczyny takiego stanu rzeczy są trzy. Po pierwsze – lata prania mózgów przez zwolenników lewicowej wizji transportu, z „Gazetą Wyborczą" na czele. To oni od lat propagowali narrację, zgodnie z którą rowerzysta był tym dobrym, ekologicznym, cnotliwym mieszkańcem miasta, a właściciel „blachosmrodu" – tym złym, egoistycznym, zatruwającym wszystkim dookoła życie. Na stronach gazety z Czerskiej oraz w innych lewicowych mediach odbywało się regularnie szczucie na kierowców. Nic dziwnego, że rowerzyści poczuli się świętymi krowami. Całkowita bierność policji też zrobiła swoje.

Przyczyna druga to ta – że, wbrew idealistycznym wizjom – wady polskich kierowców (agresja, egoizm) okazały się wadami polskich rowerzystów, gdy rower stał się względnie częstym środkiem codziennej komunikacji w polskich miastach. Nawet jeśli tylko przez pół roku.

Przyczyna trzecia: ogromna część kierujących rowerami to osoby bez prawa jazdy, niemające pojęcia o przepisach, niezdające sobie sprawy z tego, jak zachowuje się samochód, jaką ma drogę hamowania ani co ze środka widzi kierowca.

Wbrew opowieściom rowerowych fanatyków, nie mamy dziś do czynienia z terrorem kierowców (którzy oczywiście swoje też mają za uszami), ale z rosnącym terrorem rowerzystów: bezkarnych, rozbestwionych, coraz bardziej bezczelnych, chamskich i niebezpiecznych. Czas uregulować ruch na drogach rowerowych, zacząć karać rowerzystów za brak wyposażenia i łamanie przepisów albo po prostu niebezpieczną jazdę oraz urealnić przepisy. To, co dziś widzimy, jest skutkiem transportowej poprawności politycznej i lobbingu małych, hałaśliwych grupek. Pora położyć temu kres dla dla wszystkich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 358b74afb8

STAN WOJENNY WE WSPOMNIENIACH

KIEDYŚ

Teść umówił się ze znajomym ze wsi, u którego miało być świniobicie, że chętnie kupi jedną sztukę.

Termin ustalono na... 13 grudnia 1981 r. Na wieś dotarliśmy bez problemów. Transakcja została przeprowadzona, towar załadowany do bagażnika. Wracamy do domu. Nagle silnik zaczął się dławić. Kichnął, prychnął i... zgasł. Teść poszedł do najbliższych zabudowań zapytać gospodarza, czy możemy wepchnąć samochód na podwórko. Gość wyściubił czubek nosa przez drzwi, popatrzył chwilę i powiedział: **„Panie, co pan? Wojna!”**, i zatrzasnął wrota.

Andrzej, Wołomin

Zgodziłem się na przystąpienie do konspiracji.

Do moich zadań należało zdobywanie informacji o rozwoju sytuacji, w tym przygotowanie listy proskrypcyjnej z adresami zamieszkania funkcjonariuszy i urzędników publicznych z terenu miasta. Nie wyjaśniono mi celu zbierania tych danych. **Wiemy, gdzie mieszkasz – można by to spuentować.**

Jerzy, Sosnowiec

WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU MUZEUM WSPOMNIEŃ! PODZIEL SIĘ Z NAMI WSPOMNIENIAMI ZE STANU WOJENNEGO I WEŹ UDZIAŁ W KONKURSIE. SZCZEGOŁY NA:

WWW.SUPERHISTORIA.PL

PARTNER LOTOS

PATRONAT MEDIALNY DO RZECZY wprost

eprasa.pl 358b74afb8

Po raz pierwszy „uroki" stanu wojennego dotkliwie odczułam, gdy wieczorem wracałyśmy z mamą autobusem ze szkoły muzycznej. Oczy piekły przez dwa dni, zaczerwienienie schodziło dłużej.

Katarzyna, woj. śląskie

BYŁO LEPIEJ?!

Grudzień był mroźny. Pusty. Nigdzie żywego ducha.

Nie było samochodów ani autobusów. Lodowata mglista ciemność, tu i ówdzie tylko rozproszona słabym światłem latarni. I nagle z tej pustki po drugiej stronie ulicy wyłoniła się skulona, spiesząca się gdzieś przed siebie postać mężczyzny. Pamiętam swoje przerażenie, z jakim go obserwowałam. Co on robi? Czemu nie siedzi w domu? Czemu ryzykuje? **Ot, 9-letnie zmartwienia...**

Paulina Hallala

eprasa.pl 358b74afb

Andriej Płatonow w 1948 r.

FOT. RIA NOVOSTI/SPUTNIK/EAST NEWS

Krzysztof Masłoń

Andriej Płatonow powinien być wreszcie czytany przez Polaków, bo na razie jest ceniony głównie przez specjalistów

Jak Płatonow na dobre wychodził

eprasa.pl 358b74afb8

Po jednym z moskiewskich podwórek biega chłopczyk, kopie piłkę, krzyczy i przeszkadza damie z drugiego piętra czytać najnowszą powieść Ericha Marii Remarque'a. W tym samym czasie Erich Maria Remarque siedzi w fotelu na biegunach w willi w Szwajcarii i rozmyśla o życiu. »Nie – myśli – nie przeżyłem życia na próżno. Napisałem kilka dobrych książek, znają mnie na całym świecie, walczyłem z faszyzmem… Ale jednak Hemingway pisze lepiej niż ja!«.

Hemingway stoi w tym czasie na pokładzie swego jachtu na Morzu Karaibskim – stoi, mocno wbijając stopy w pokład, kapelusz nasunięty na oczy, fajka w zębach, linka się napięła, pewnie wzięła duża ryba. »Cholera – myśli – żyłem jak prawdziwy mężczyzna! Pracowałem jak wół, walczyłem z faszyzmem, miałem wszystkiego pod dostatkiem – sławy, kobiet, pieniędzy, polowałem na słonie i nosorożce. A jednak… a jednak Płatonow pisze lepiej ode mnie!«.

Płatonow zaś w tym czasie biegał z miotłą po jednym z moskiewskich podwórek za chłopczykiem, który kopał piłkę, krzyczał i przeszkadzał damie z drugiego piętra czytać najnowszą powieść Ericha Marii Remarque'a".

LISTY DO MAKSYMA GORKIEGO

Anegdotę tę opowiadano sobie w sowieckim środowisku pisarskim po śmierci Andrieja Płatonowa (w 1951 r.). Wcześniej niewielu z „inżynierów dusz", jak ludzi pióra nazwał najważniejszy z czytelników – Józef Stalin, interesowało się losem prozaika, wiele lat przedtem wymienianego jako jednego z najwybitniejszych w literaturze Kraju Rad. Żył w nędzy, mieszkając na tyłach willi, w której mieścił się Instytut Literacki i gdzie, rzeczywiście, zamiatał podwórko. „Byłym pisarzem" został w 1931 r., kiedy to sam Stalin na marginesie opublikowanej jego opowieści „Na dobre" (znanej też w Polsce jako „Spor. Kronika biedniacka"), poświęconej życiu kołchozowemu, skreślił jedno słowo: „Kanalia!". Odtąd Płatonow skazany został na literacki niebyt i żadnego ze swoich utworów – a najlepsze z nich miał dopiero przed sobą – nie ujrzał w druku. Ba, jeden z nich – „Powieść techniczną" – odkrył dopiero w roku 1990 Witalij Szentalinski, ten sam, który cytowaną anegdotę o Płatonowie zamieścił w swojej książce „Wskrzeszone słowo". Szentalinski, krytyk literacki i poeta, był tym, który jako pierwszy w końcu lat 80. uzyskał dostęp do archiwów Łubianki, gdzie najprawdopodobniej od 1933 r. spoczywał maszynopis „Powieści technicznej". Trafił on tam zapewne po rewizji przeprowadzonej wtedy w domu pisarza.

Kiedy Płatonow przekonał się, że wszelkie jego próby opublikowania swoich utworów kończą się fiaskiem, zrozpaczony napisał list do wszechmocnego – jak mu się zdawało – Maksyma Gorkiego z pytaniem: „Czy mogę być pisarzem sowieckim, czy jest to obiektywnie niemożliwe?". Odpowiedzi nie otrzymał i na ten, i na następne listy. Podobno Stalin w rozmowie z innym „inżynierem dusz", Fadiejewem, wyrazić miał życzenie odnośnie do dalszych losów niepokornego autora: „Wrzepić tak, aby wyszło mu na dobre…". Kto wie, może uchroniło go to przed śmiercią.

KGB-iści uderzyli za to w jego rodzinę. W końcu kwietnia 1938 r. aresztowano 16-letniego syna pisarza, Platona, oskarżając go o kierowanie antysowiecką organizacją młodzieżową, szpiegowską i terrorystyczną. Z akt na Łubiance Szentalinski poznał prawdę o tym wydarzeniu. Oskarżony wyznawał: „Złożyłem fałszywe, fantastyczne zeznania przy pomocy oficera śledczego, który mnie przesłuchiwał, a podpisałem te zeznania pod groźbą śledczego, że jeśli zeznań nie podpiszę, to zostaną aresztowani moi rodzice…". Platon Płatonow po pobycie w więzieniu i obozie zapadł na gruźlicę i przedwcześnie zmarł. Później również gruźlica spowoduje śmierć 52-letniego pisarza.

PYTANIE LWA SŁAWINA

Lew Sławin, prozaik, dramaturg i scenarzysta filmowy, zapamiętał taką scenę: „Tak się złożyło, że w trudnym dla niego okresie, w ostatnim roku jego życia, zaszedłem do niego. Siedział w fotelu z książką w ręku. Uniósł głowę. Widzę, jak jego brzydka, prostacka, urzekająca twarz promienieje wesołością. Zajrzy do książki i cicho się zaśmieje. Była to dość znana wtedy powieść, bynajmniej nie humorystyczna, wręcz przeciwnie – wybitnie »problemowa«. Pytam:

– Z czego się pan tak śmieje?

Odpowiada:

– Wie pan, gdyby to było napisane jeszcze odrobinę gorzej, to byłoby wcale niezłe".

Sam Płatonow nie chciał pisać ani odrobinę gorzej, ani lepiej, co w tamtych warunkach także oznaczało gorzej. Nie szedł na kompromisy, nie wybierał łatwych tematów, pozostając wiernym kronikarzem swego czasu. Nic dziwnego, że po wydrukowaniu przywoływanej już tutaj opowieści „Na dobre" w piśmie „Awangarda Proletariacka" można było przeczytać ot taką recenzję niejakiego P. Bieriozowa: „Andriej Płatonow kazał swojemu bohaterowi przebywać w kilku kołchozach, by przekonać się o zupełnej bezsensowności ruchu kołchozowego. W żadnym z kołchozów nie dostrzegł pracy twórczej, zarodków nowego życia, aktywności mas chłopskich na rzecz przekształcenia swego bytu na zasadach socjalistycznych: wszędzie bezmyślność, brak sensownej organizacji, kompletne nieróbstwo […]. W ten sposób kułacka agentura dokonuje nieprawdopodobnych zniekształceń naszej rzeczywistości, nie cofając się przed jawnym oszczerstwem".

WOŁANIE NA ALARM

Najbardziej oryginalny pisarz rosyjski naprawdę nie nazywał się Andriej Płatonow, lecz Andriej Płatonowicz Klimientow. Urodził się w biednej robotniczej dzielnicy Woroneża, pracować musiał od 11. roku życia. „Cały z rosyjskiej soli i roli – pisał o nim Andrzej Drawicz – proletariusz-samouk, mechanik, potem inżynier-meliorator – żywił Płatonow początkowo największe nadzieje na rewolucję, która zagospodaruje wszechświat i dokona – tak jest! – wskrzeszenia zmarłych. Wyłożyło się to w zadziwiającym języku, dokonującym jakby za każdym razem stworzenia świata i budującym sytuacje z pojęć elementarnych. Ale też szybko się załamało. Zanurzony w życiu prowincji Płatonow zorientował się, że maksymalistyczny zapał marzycieli wykłada się na co dzień w despotycznym woluntaryzmie nieuków. Poczuł wcześniej tężejący chwyt totalitarny i zawołał na alarm: to przerażenie brzmi w ciągu utworów". Chodzi tu m.in. o „Makara małowiernego", o powieść „Czewengur", „Państwowego lokatora", a może przede wszystkim o „Wykop", dotąd znany w Polsce głównie z tłumaczenia Andrzeja Drawicza, a obecnie dostępny w nowym, bardzo dobrym przekładzie Adama Pomorskiego, tyle że jako „Dół" (w oryginale: „Kotłowan").

Jest to antyutopijna opowieść o budowie domu mającego wyznaczyć perspektywy świetlanej – jakże by inaczej! – przyszłości. Wszystko jednak zaczyna się i kończy na etapie wykopywania dołu, dziury w ziemi. Dalej ani rusz, a to, co w zamyśle służyć miało nowemu, lepszemu życiu, staje się grobem, który pochłania ludzi i idee. Przy tym

eprasa.pl 358b74afb8

W Polsce od dawna nie czyta się już znakomitego, zmarłego w lipcu tego roku Włodzimierza Wojnowicza FOT. FRIEDRICH BRIGITTE/FORUM

Płatonow – i na tym polega wielkość oraz wyjątkowość jego utworu – pokazuje również dokonującą się równolegle zagładę języka zastąpionego nowomową. Ze zdania na zdanie język Płatonowa zmienia się, karleje, przemienia we własną autoparodię.

Jednak to właśnie w języku Płatonow najwięcej powiedział o sobie, bo w gruncie rzeczy wiemy o nim mało. Klucz do jego osobowości tkwi jednak w najwybitniejszych jego utworach, m.in. w przełożonej przez Henryka Chłystowskiego „Szczęśliwej Moskwie". Ten ostatni powoływał się na badaczkę twórczości autora „Dołu", Swietłanę Siemionową, która sądziła, że „idei i filozofii Płatonowa szukać należy przede wszystkim w jego języku, w samej frazie, w leksyce i frazeologii, doborze określeń i porównań, a dopiero potem w wypowiedziach bohaterów, konstrukcji utworów i podejmowanych tematach". Henryk Chłystowski dopowiada: „Płatonow na poziomie językowym narusza wszelkie normy poprawnościowe, odrzuca istniejące schematyzmy i automatyzmy, rozbija i łamie utarte połączenia frazeologiczne, posługuje się neologizmami, nakłada na siebie i krzyżuje odległe związki semantyczne, eksperymentuje ze składnią". Z tego, być może, niewiele jeszcze wynika, gdy jednak na język właśnie zwracać będziemy baczną uwagę w trakcie lektury, zorientujemy się, że za pozornym odrzuceniem czy zakwestionowaniem istniejących reguł kryje się u Płatonowa „przemyślany w najdrobniejszych szczegółach i bardzo precyzyjny system".

„Dół" w przekładzie Adama Pomorskiego nominowany był do tegorocznej Nagrody Literackiej Gdynia, której w efekcie nie otrzymał. Szkoda, ale nie zmienia to tego, że Andriej Płatonow powinien być wreszcie czytany przez Polaków. Bo na razie jest, owszem, ceniony przez specjalistów, ale traktowany jak cała literatura sowiecka. Najdelikatniej mówiąc – odmownie.

Kogóż my zresztą czytamy z XX-wiecznych Rosjan? Na pewno Bułhakowa. Jednak poza nim? Żywa jest jeszcze pamięć o zwanej poematem powieści „Moskwa – Pietuszki" Wieniedikta Jerofiejewa. Oczywiście trzyma się na półce Sołżenicyna. I to chyba koniec. Dawno już przestał być czytany naprawdę zmarły zaledwie dwa miesiące temu znakomity Włodzimierz Wojnowicz, choć jego „Życie i niezwykłe przygody żołnierza Iwana Czonkina" śmiało może konkurować z „Przygodami dobrego wojaka Szwejka" (kłaniają się także w tym miejscu „Zapiski oficera Armii Czerwonej" Sergiusza Piaseckiego). Był również Wojnowicz autorem niezgorszej fantastyki, bo za taką uznać wypadałoby „Moskwę 2042" wyróżniającą się niepoprawnością polityczną – i wtedy, i dzisiaj. Zapomniany został Gieorgij Władimow ze wstrząsającym „Wiernym Rusłanem. Historią psa obozowego", gdzie opowiedział o psie, który wraz z likwidacją łagru traci rację bytu. To Władimow napisał też ważną powieść „Generał i jego armia", bynajmniej nie tylko o gen. Własowie, jak chcieliby tego niektórzy z recenzentów znający chyba książkę wyłącznie z opowieści. Tę listę pisarzy godnych ocalenia, a których wraz z całą literaturą sowiecką wyrzuciliśmy na śmietnik historii, można by wydłużać, i to znacznie. Osobiście na pewno umieściłbym na niej Siergieja Dowłatowa, pisarza młodszego już pokolenia (1941–1990), przyjaciela noblisty Brodskiego z Leningradu, człowieka, który – według Nikity Jelisiejewa – „był Hamletem, a podawał się za Szwejka". W Polsce opowiadania Dowłatowa nawet się swego czasu ukazały, ale pisarz nie został dostatecznie wypromowany, co dziwi choćby dlatego, że życie miał barwne, a opowiadał o nim jak nikt. Jego utwory mają podkład autobiograficzny, a traktują m.in. o łagrze widzianym z perspektywy strażnika odbywającego za drutami służbę wojskową czy o redakcji komunistycznej gazety w Estonii, czyli kraju okupowanym, z czego zdaje sobie sprawę bohater Dowłatowa, choć nie wyciąga z tego żadnych dalej idących wniosków.

Trudno postaci literackie utożsamiać z pisarzami. Warto więc pamiętać, że w przeciwieństwie do Polski Ludowej w ZSRS nikt się z pisarzami nie cackał. Wprawdzie nie zabijano ich (ale i nie nagradzano bajecznie) jak za Stalina, ale pakowano na siłę do samolotu i ekspediowano na Zachód. Naturalnie tak robiono jedynie z bardziej znanymi autorami – tak jak z Aleksandrem Sołżenicynem, poślednich zamykano w łagrach i psychuszkach. Ci, którzy znaleźli się na przymusowej emigracji, dowiadywali się również, że z dnia na dzień pozbawiono ich sowieckiego obywatelstwa.

PIJACKI TOAST NOWIKOWA

W Związku Sowieckim karano za słowa wydrukowane, napisane, ale i wypowiedziane. Andriej Płatonow był o krok od tego, by ponieść odpowiedzialność za toast – wygłoszony co prawda nie przez niego, ale w jego obecności. Toast, istotnie, był wyjątkowy. Wzniósł go imiennik Płatonowa, Andriej Nowikow, w swoim mieszkaniu w końcu 1939 r. Krzyknął on: „Za śmierć Stalina!". Oprócz Płatonowa obecny był jeszcze jeden pisarz, Nikołaj Kauriczew.

Wezwany w sylwestra do NKWD Płatonow, ratując skórę, tłumaczył: „Pomyślałem, że się przesłyszałem, więc zapytałem. Wówczas Kauriczew wstał z krzesła i przechadzając się po pokoju,

eprasa.pl 358b74afb8

zaczął mówić mi, żebym nie udawał, przecież mój syn jest aresztowany, nie mogę wobec tego mieć dobrego politycznego nastawienia.

Odpowiedziałem, że za to, co powiedział Nowikow, pić nie będę nigdy […]. Przewróciłem swój kieliszek i poszedłem do domu bez pożegnania". O imprezie do wiadomych organów doniósł agent o pseudonimie Boguniec. Kto nim był? Któryś z sąsiadów Nowikowa – pisarzy, a może żona Nowikowa, która była w mieszkaniu, opowiedziała komuś o ryzykownym toaście? Brak podpisu pod oświadczeniem Płatonowa też nie pozwala ściśle ustalić pochodzenia dokumentu. W każdym razie w styczniu Nowikow został aresztowany. Oskarżono go o trockizm, terroryzm i szkodnictwo. Tego wszystkiego doszukano się w pijackiej gadaninie.

Nowikow, rzecz jasna, przyznał się do wszystkiego, co tylko mu zarzucono, włącznie ze stworzeniem antysowieckiej grupy. A o Płatonowie w śledztwie tak opowiadał: „Nasze rozmowy zaczynały się z reguły od krytyki… Mówiliśmy, że kierowanie literaturą należy oddać w całości w ręce pisarzy, żeby nie było tutaj wpływów partyjnych, że polityka władzy sowieckiej ogranicza rozmach zdolności twórczych pisarzy, to jest zamyka ich w określonych ramach…

Płatonowa uważaliśmy za najlepszego pisarza i krytyka. Płatonow jest z natury bardzo skrytym człowiekiem i swoje poglądy wyrażał w rozmowach dwuznacznie; jeśli z czegoś się śmieje, to nie można zrozumieć, czy tym śmiechem potępia owo zjawisko, czy też je popiera. W podobny sposób pisze swoje utwory, to jest dwuznacznie".

Dowodem rzeczowym w sprawie była powieść Andrieja Nowikowa „Przyczyny pochodzenia mglistości" wraz z krytyczną opinią napisaną na zlecenie NKWD. W śledztwie autor „Przyczyn…" zachorował na gruźlicę. Cierpiał jednak, jak się zdaje, nie tylko na suchoty. W maju 1941 r. w adresowanym do Stalina liście doniósł o odkryciu zasady wiecznego ruchu, a wtedy ciągnąca się sprawa nagle nabrała szybkości. Posiedzenie Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego odbyło się 8 lipca. Później skazany na najwyższy wymiar kary wystosował już tylko jedno podanie, do Kalinina, przewodniczącego Rady Najwyższej ZSRS. Prosił o łaskę: „Jestem pochodzenia parobczańskiego, syn parobka, sam zacząłem pracować jako parobek. W rewolucji obcym człowiekiem nie byłem".

Obcym człowiekiem w tej samej rewolucji nie był także Andriej Płatonow. W chwili jej wybuchu pracował jako robotnik w zakładach remontowych taboru kolejowego. W 1918 r. rozpoczął naukę w technikum kolejowym, a jednocześnie zaczął współpracę z czasopismem „Żeleznyj put", gdzie ukazywały się jego pierwsze szkice. W czasie wojny domowej został wysłany przez bolszewików do Nowochopiorska, by mobilizować ludność do walki z oddziałami Denikina.

Nowikow, skądinąd autor dobrze przyjętych powieści („Czyny wojenne prostaczków", „Opowieść o kamarnickim chłopie", także wspomniane „Przyczyny pochodzenia mglistości"), miał jeszcze bardziej wzorcowy życiorys. Był kopaczem, ładowaczem, drwalem, w czasie I wojny światowej – żołnierzem. W 1918 r. wstąpił do partii bolszewickiej. 28 lipca 1941 r. za wzniesienie antystalinowskiego toastu został rozstrzelany. Andriej Płatonow przeżył. To się nazywało: mieć szczęście, całą furę szczęścia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

PATRONAT DO RZECZY

W Rumunii mieszka diabeł?

Czy w miasteczkach i wioskach rumuńskich Karpat można spotkać Złego, a Vlad Drakula nadal grasuje tam nocami? Dlaczego nie udała się ostatnia wyprawa Jacka Pałkiewicza jedwabnym szlakiem mająca wypromować Polskę?

To tylko część z wielu historii, które poznaniakom zainteresowanym spotkaniami z książką opowiadali podróżnicy Jacek Pałkiewicz i Michał Kruszona podczas kolejnego weekendowego spotkania w cyklu „Jesień z Kulturą", zorganizowanego w stolicy Wielkopolski przez wydawnictwa Zysk i S-ka oraz Nowa Baśń na Łęgach Dębińskich i Ratajach. Z każdym autorem goście mogli porozmawiać sam na sam, otrzymać autograf czy zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie.

Michał Kruszona, dyrektor Muzeum Zamku Górków w Szamotułach, zapraszał w podróż do wciąż mało znanej Rumunii. Jak mówił w rozmowie z „Do Rzeczy" autor wydanej niedawno książki „Rumunia. Podróże w poszukiwaniu diabła", nie tylko w Transylwanii można jeszcze na ulicach miast i miasteczek spotkać ślady dawnych legend.

– Wiele lat temu w Rumunii wielokrotnie spotykałem się z sytuacjami, w których wydawało mi się, że diabeł jest siłą sprawczą. Teraz, gdy Rumunia mocno się rozwija, by spotkać Złego, trzeba zagłębić się nieco w Karpaty – mówił. I dodawał: – To jest kraj, który żyje w cieniu przesądów, religijność jest podszyta tam dawnymi wierzeniami. Tam żadnej ważnej decyzji życiowej nie podejmie się bez zasięgnięcia opinii babci znającej się na wróżbach.

Jacek Pałkiewicz zdradził z kolei, że w podróż po świecie już się nie wybiera. Ostatni jego projekt, o czym mówił z niekłamaną goryczą – podróż „nowym jedwabnym szlakiem", która miała być też PR-owską promocją Polski – skończył się fiaskiem. Z akcji wycofała się bogata chińska instytucja, która miała dofinansować wyprawę (Pekin obraził się na Warszawę po zawirowaniach związanych z blokadą budowy przez chińskie firmy węzła kolejowego pod Łodzią). Podróżnik poszedł po pomoc do polskich ministerstw, które wcześniej zgodziły się wyprawie patronować. – Wszędzie, także od resortu kultury, usłyszałem, że nie są projektem zainteresowani – mówił podróżnik.

Tradycyjnie już imprezie towarzyszyły atrakcje dla najmłodszych, m.in. kolorowanki, sztuka barwnego makijażu i przysmaki, a także cieszące się dużym zainteresowaniem baśnie i książki fantasy dla młodzieży. – Boom na takie książki dopiero nadciąga. My ciągle jeszcze czekamy na autorów takiej miary jak Tuwim czy Brzechwa, umiejących trafić w zainteresowania dzisiejszego młodego pokolenia – mówi Tadeusz Zysk, prezes wydawnictwa Zysk i S-ka. ©℗ *(ww)*

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

Skąd się wzięli współcześni superbohaterzy komiksów? Odpowiedź wszystkich zaskoczy, a wielu – zniesmaczy

Seks, kłamstwa i superherosi

Komiks dopiero od niedawna na poważnie eksploruje swoje burzliwe dzieje. Nie chodzi mi o bibliografie i prace krytyczne, tych mieliśmy sporo, lecz o dociekliwe opowieści o ojcach gatunku. Dzięki filmowi „Profesor Marston i Wonder Women" (właśnie ukazał się na DVD) oraz komiksowi „Joe Shuster. Opowieść o narodzinach Supermana" możemy przyjrzeć się narodzinom Wonder Woman i Supermana. Kilka lat wcześniej krótka opowieść obrazkowa „Cudowny chłopak Billy" rzuciła nowe światło na powstanie postaci Batmana.

Z tych trzech historii opowieść o twórcy Batmana jest najbardziej tragiczna, o twórcach Supermana – najbardziej pouczająca, a o twórcach Wonder Woman – najciekawsza i najbardziej kontrowersyjna. Po kolei jednak: pierwszy był Superman, który narodził się w latach 30. XX stulecia w głowach dwóch kumpli z liceum. Jerry Siegel marzył o karierze pisarza, Joe Shuster rysował. Świetnie narysowany album komiksowy Juliana Voloja i Thomasa Campiego opowiada o długich dekadach ich przyjaźni i współpracy (właśnie ukazał się nakładem Egmontu), ale co najważniejsze, nie jest jedynie przedsięwzięciem edukacyjnym. Chociaż przygotowany drobiazgowo na podstawie dokumentów i fotografii (same przypisy zajmują kilkanaście stron), stanowi osobną, bardzo ciekawą propozycję artystyczną. W dodatku unikającą pułapki oczywistej – choć mówi o twórcach superbohatera, który zapoczątkował całkiem nowy segment rynku popkultury, to nie ma w nim ani krzty stylu znanego z komiksów DC czy Marvela.

SUPERNĘDZARZ

Voloj i Campi koncentrują się na losach Shustera, który długo musiał czekać na uznanie. Pozostawał w cieniu bardziej ekspansywnego, energicznego, kreatywnego partnera, kłopoty ze zdrowiem dorowadziły go do nędzy (historia o policjancie ratującym zupą napotkanego w parku nędzarza, który okazuje się twórcą „Supermana", jest prawdziwa). A gdy mówią o tym, że to historia pouczająca, to mam na myśli przede wszystkim kulisy biznesu wydawniczego opisane w tej historii. Królowie tej branży do świętych nie należeli, dzieląc pomysłowość i pieniądze między legalne i mniej legalne interesy. Co jednak ważniejsze dla Siegela i Shustera, bezlitośnie wykorzystywali swoją pozycję. Spragnieni sławy i druku, ale przede wszystkim biedni jak myszy kościelne twórcy w 1938 r. wyłączne prawa do „korzystania z postaci, historii, jej ciągłości oraz tytułu utworu" sprzedali wydawcy za 130 dolarów. Nikt nie spodziewał się wtedy, że „Superman" będzie wkrótce ukazywał się w milionowych nakładach i zapoczątkuje zyskowną franczyzę do dziś. Ostatnie partie komiksu Voloja i Shustera to opowieść o walce, którą w latach 70. prowadzili fani komiksu o uznanie praw twórców do niewielkiej choćby części fortuny, którą zarobiło dzieło ich rąk i umysłów.

Historia narodzin Batmana, największego rynkowego konkurenta Supermana, kryje w sobie jeszcze smutniejszą opowieść. Rok po sukcesie opowieści o Człowieku ze Stali inne wydawnictwo pilnie poszukiwało własnego superherosa. Redaktor Vic Sullivan postawił przed swoimi współpracownikami zadanie niemożliwe: w piątek zakomunikował, że na poniedziałek mają mu przynieść pomysł na równie atrakcyjny komiks. Zadanie wypełnił Bob Kane, którego nazwisko miłośnicy komiksu oraz widzowie filmów i seriali znają doskonale, bo w każdym utworze o Mrocznym Rycerzu pojawiała się przez dekady formułka „postać Batmana stworzona przez Boba Kane'a".

Tyle tylko że Batman był dziełem wspólnym. Jego drugim ojcem był Bill Finger (wł. Milton Finger). Tu sytuacja była odwrotna niż w przypadku twórców Supermana: to rysownik Kane był ambitny i ekspansywny, a scenarzysta Finger – wycofany i układny. Obu udało się uniknąć pułapki, w którą wpadli Siegel i Shuster, odsprzedając prawa do postaci

eprasa.pl 358b74afb8

bez zagwarantowania sobie przyszłych dochodów. Finger pozostawał jednak w cieniu, bo Kane ogłosił się wyłącznym twórcą Batmana, pozwalając swemu koledze (anonimowo!) dostarczać scenariusze. Tymczasem to Bill Finger wymyślił kluczowe dla postaci Batmana elementy oraz stworzył fundamenty świata, w którym porusza się Mroczny Rycerz: dał mu odpowiednio skomplikowany życiorys, zaludnił Gotham superłotrami (poczynając od Jokera i Cat Woman).

Finger zmarł w 1974 r. i nigdy za życia nie doczekał się powszechnego uznania, na które zasługiwał, nie mówiąc już o odpowiednio wysokich czekach (tymczasem Bob Kane stał się bogaczem). Marc Tyler Nobleman i Ty Templeton opowiedzieli historię Fingera w komiksie „Cudowny chłopak Billy. Nieznany współtwórca Batmana" (polskie wydanie Centrala 2014). Nobleman był jednym z tych, którzy walczyli o ujawnienie prawdy o narodzinach Batmana, to on także odkrył, że żyją spadkobiercy Fingera, którzy powinni otrzymywać część zysków ze współczesnych edycji „Batmana" i filmowych adaptacji. Sprawę udało się nagłośnić nie tylko komiksem oraz apelami krytyków i fanów gatunku: w roku 2017 powstał także film dokumentalny wyprodukowany przez serwis streamingowy Hulu – „Batman & Bill". I stał się cud. W roku 2015 po raz pierwszy w nowych zeszytach „Batmana" pojawiła się informacja „postać stworzona przez Boba Kane'a i Billa Fingera". Znaczenie tego ostatniego uznali także oficjalnie twórcy filmu „Batman v Superman: Świt sprawiedliwości" (2016).

WEHIKUŁ ZMIANY

Wszystkie te perypetie bledną wobec historii powstania najbardziej znanej – i pierwszej – kobiecej postaci w świecie komiksowych bohaterów, czyli Wonder Woman. Dostępny jest już w Polsce film, który przybliża jej twórcę oraz jego inspiracje. O ile Superman był dzieckiem wyobraźni chłopaka, który zazdrościł zawodowym kulturystom bicepsów, a Batman przez wiele lat obrastał dopiero w całą mitologię, niepokojącą dziś psychologów, o tyle Wonder Woman była dziełem naukowca, który dokładnie przemyślał powody, dla których potrzebna była mu nowa fikcyjna postać.

Profesor psychologii William Moulton Marston – bo o niego chodzi – był bez wątpienia osobą nietuzinkową. Pracował nad określeniem typów ludzkiej osobowości i tworzących je najistotniejszych składników. Wedle teorii DISC wyróżniał osobowości dominujące, inspirujące, stabilne i rozważne. Wraz z żoną Elizabeth opracował prototyp wykrywacza kłamstw, był płodnym autorem, popularyzatorem nauki. Wonder Woman wymyślił jako wehikuł zmiany społecznej i promocji swoich psychologicznych badań. Chciał dać amerykańskim dziewczynkom wzorzec do naśladowania, wspierał emancypację kobiet. W życiu prywatnym okazał się skandalistą. Tworzyli z Elizabeth małżeństwo otwarte (obiecali sobie nawzajem, że nie będą zazdrośni o ewentualnych partnerów seksualnych, których mogą mieć), które potem przekształciło się w związek poliamoryczny. Brakującym elementem trójkąta okazała się studentka Marstona, Olivia Byrne, zakochana – jak się okazało – i w panu profesorze, i w jego małżonce. Elizabeth była szczupłą, dominującą brunetką, Olivia pulchniejszą, uległą blondynką. Obie mieszkały i pracowały z Marstonem, obie urodziły mu dzieci. Obydwie stanowiły wspólną inspirację do stworzenia postaci Wonder Woman, królowej Amazonek, żyjącej pośród zwykłych ludzi w przebraniu sekretarki.

„Profesor Marston i cudowne kobiety" opowiada tę poliamoryczną love story taktownie, wspierając się na dwóch ciekawych kreacjach aktorskich (Rebecca Hall jako Elizabeth i Bella Heathcote jako Olivia). Co ciekawe, sam profesor Marston (Luke Perry) wypada na ich tle nieco blado, trochę jak człowiek bez właściwości. Może odpowiedź tkwi w osobie reżyserki: Angela Robinson to zdeklarowana lesbijka i działaczka ruchów LGBT, może po prostu dobrze przedstawiła tylko to, co sama zna najlepiej, czyli kobiecą stronę takiej fascynacji.

Film Angeli Robinson jest opowieścią o emancypacji, o kłopotach, które tego typu związek niósł ze sobą w latach 40., najciekawszy robi się jednak tam, gdzie dotyka mrocznych korzeni Wonder Woman. Psychologiczne podstawy postaci to dzieło Marstona, ale już wygląd i atrybuty wywodzą się z sadomasochistycznego podziemia. Dopiero jedno połączone z drugim dało scenariusze pierwszych komiksów o Wonder Woman, w których albo to ona nieustannie kogoś wiązała lub biczowała, albo sama była obiektem takich zabiegów. Spójrzmy zresztą uważniej na jej główną broń, sznur, który zmusza spętaną nim osobę do mówienia prawdy i tylko prawdy. Więzy jako droga do wyzwolenia, do prawdy – brzmi dwuznacznie, prawda? Oczywiście nie dla wyznawców filozofii BDSM.

Historia profesora psychologii, który wymyślił postać Wonder Woman, okazuje się ciekawsza od przygód stworzonej przez niego superbohaterki. Sama Wonder Woman zaś – kreacją dużo bardziej intrygującą od wszelkich wcześniejszych i późniejszych komiksowych herosów. Batman do dziś pozostaje najbardziej kasową postacią rysunkowego uniwersum, a Superman najbardziej znaną i oczywiście najważniejszą, bo pierwszą.

W czasach, kiedy to komiksowi bohaterowie (ci wymienieni powyżej oraz oczywiście legion ich następców stworzony przez twórców Marvela) rządzą już nie półkami księgarskimi, lecz kinowymi rankingami najbardziej kasowych filmów, podróż do ich początków jest szczególnie ciekawa. Zwłaszcza dla polskiego odbiorcy, który zetknął się z tym fenomenem na dobre dopiero po 1989 r., a więc w chwili, kiedy to, co najważniejsze w tym segmencie popkultury, już się wydarzyło. Przynajmniej tak się wszystkim wydawało, póki na jaw nie zaczęły wychodzić tajemnice pionierów gatunku.

★★★★★☆
JULIAN VOLOJ, THOMAS CAMPI „JOE SHUSTER. OPOWIEŚĆ O NARODZINACH SUPERMANA"
EGMONT 2018

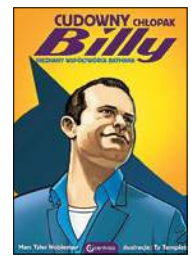

★★★★☆☆
MARC TYLER NOBLEMAN, TY TEMPLETON „CUDOWNY CHŁOPAK BILLY. NIEZNANY WSPÓŁTWÓRCA BATMANA"
CENTRALA 2014

★★★★☆☆
REŻ. ANGELA ROBINSON „PROFESOR MARSTON I WONDER WOMEN" („PROFESSOR MARSTON AND THE WONDER WOMEN")
USA 2017, DYSTR. IMPERIAL

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Skasuj, zignoruj, skasuj

Internet miał łączyć, a coraz skuteczniej dzieli. Taką po prostu ma naturę. Zamiast wyśnionej globalnej społeczności mamy bluzgi, obelgi, plotki, bezczelne kłamstwa oraz kampanie PR-owskie.

Przez informacyjny szum najłatwiej przebijają się komunikaty chamskie i prymitywne. To nie tak miało być, przyjaciele. Tęsknota za bezpowrotnie utraconą niewinnością sieci przebija z każdego kadru filmu Blocka i Riesewiecka. Skończyła się epoka pięknoduchów, dzisiaj z mediów społecznościowych korzysta trzymiliardowa tłuszcza, zaś Internet przypomina gigantyczne wysypisko śmieci.

Kto jest temu winny? Google i Facebook – najpotężniejsze, choć wirtualne państwa świata migają się od odpowiedzialności. Mark Zuckerberg występuje tu jako narcyz, niemający pojęcia, jakie demony przywołał. Na odczepnego giganci sieci zatrudnili tysiące czyścicieli, czyli moderatorów treści. Autorzy filmu, by naciągnąć ich na zwierzenia, pofatygowali się aż do Manili. Większość zdjęć dla lepszego efektu nakręcono po zmierzchu. Obserwowanie ludzi siedzących przed ekranami komputerów i wydających wciąż te same komendy („skasuj, zignoruj, skasuj") jest bowiem strasznie nudne.

Czyściciele nie zarabiają kokosów, choć ich praca jest szkodliwa dla zdrowia. Bezustannie oglądają filmiki o dekapitacji, pedofilskie zdjęcia, transmisje na żywo z samobójstw i samookaleczeń. Dzienna norma: ocenić 25 tys. fotek, które bliźni wrzucają w otchłań Internetu. Moderatorzy, gwoli poprawy samopoczucia, porównują się do policjantów albo Jezusa, biorącego na siebie grzechy całego świata (w kraju, w którym chrześcijanie każą się przybijać do krzyży, nie jest to żadna uzurpacja).

Twórcy dokumentu szczerze im współczują, lecz podejrzewają, że za hasłami walki z terroryzmem i dziecięcą pornografią kryje się stara znajoma – cenzura. Od werdyktów czyścicieli właściwie nie ma odwołania. Filipińczycy mają wpojony negatywny stosunek do nagości oraz szacunek dla władzy. Dlatego popularny wiral (50 mln udostępnień w trzy dni) przedstawiający Trumpa z małym penisem trafił do kosza, zaś jego autorka – amerykańska artystka – straciła konto na fejsie. Gorzej, że eksterminowane są też amatorskie filmiki dokumentujące zbrodnie wojenne.

Czy wolność w sieci rzeczywiście umiera? Właściciele platform coraz częściej wchodzą w deale z rządami, co skutkuje blokowaniem treści sprzecznych z miejscowym prawem. Możliwe, że ludzie przyszłości będą wiedzieli o świecie mniej niż ich przodkowie z epoki analogowej. Jednak nie ma już powrotu do tego, co było. „Czyściciele Internetu" są ostro reklamowani na Facebooku. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. HANS BLOCK, MORITZ RIESEWIECK „CZYŚCICIELE INTERNETU" („THE CLEANERS") NIEMCY/ BRAZYLIA 2018

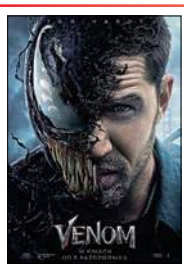

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „VENOM"

Skoro można było zrobić serial o Batmanie bez Batmana („Gotham"), to możliwy jest i film o świecie Spider-Mana, ale bez wspomnianego bohatera. Venom (groźny zaziemski symbiont) to jeden z najgroźniejszych przeciwników Człowieka-Pająka, a teraz doczekał się własnej fabuły. Inauguruje ona nowe przedsięwzięcie wytwórni: kinowy Sony's Marvel Universe, stanowiący rozszerzenie Marvel Cinematic Universe. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Venom", reż. Ruben Fleischer, wyst. Tom Hardy, Michelle Williams, Woody Harrelson, USA 2018***

NA EKRANY WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Nina", reż. Olga Chajdas, Polska 2017***
- ***„Everest", reż. Baltasar Kormákur USA 2015***
- ***„Dotknij nieba", reż. Andrew Erwin, USA 2018***
- ***„Hard Paint", reż. Filipe Matzembacher, Brazylia 2018***
- ***„Młodość Astrid", reż. Pernille Fischer Christensen, Szwecja/Dania 2018***

eprasa.pl 358b74afb8

Śledztwo on-line

Co my wiemy o kosmitach, którymi stają się nasze dzieci, gdy zostają nastolatkami? Tyle co nic. Na tej życiowej prawdzie bazuje dreszczowiec „Searching".

Warto nań zwrócić uwagę przede wszystkim z powodu nietypowej formy: cała intryga rozgrywa się na ekranach komputerów. Skutkuje to nieco gorszą niż zwykle jakością obrazu, lecz bez wątpienia spodoba się młodej generacji, przyrośniętej do tabletów i smartfonów.

Jakby dla równowagi treść aż tak nowatorska nie jest. Historii o zdesperowanych ojcach, poszukujących zaginionych latorośli mieliśmy na ekranach już sporo. Jednak chyba po raz pierwszy głównymi bohaterami takiej fabuły są Azjaci (a raczej Azjoamerykanie).

Pomagając policji, David przetrząsa internetowe konta córki i dokonuje bolesnych odkryć. Margot nie mówiła mu wszystkiego, może nawet kłamała, a on sam wcale nie był najlepszym tatusiem pod słońcem. Imponująca aktywność służb i pana Kima sprawiają, że śledztwo zamienia się w medialny spektakl w stylu afery O.J. Simpsona. Detektyw amator staje się zaś gwiazdą sieci.

Pomijając rozwlekłe intro i nadmierną liczbę zwrotów akcji, „Searching" jest dreszczowcem bezbłędnym. Morały są tu dwa: zło z reguły czai się bardzo blisko, zaś telefony warto odbierać nawet w środku nocy. ©®

Wiesław Chełminiak

★★★★★★

REŻ. ANEES CHAGANTY
„SEARCHING"
USA 2018

wyst. John Cho, Debra Messing, Michelle La

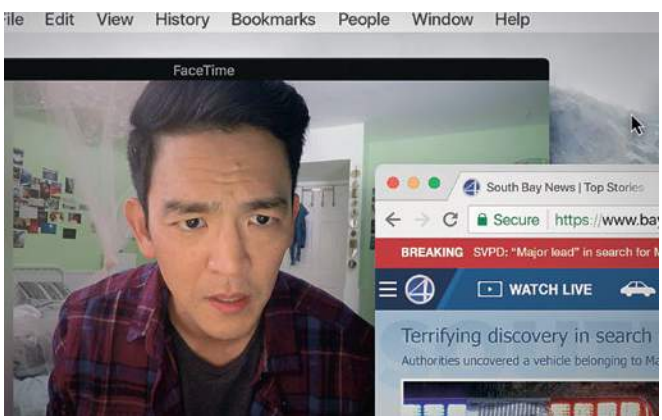

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GDZIE JESTEŚ, ANNO LOU?

Rzadki przypadek, by autor dokonywał ekranizacji własnej książki. Donato Carrisi jest jednak także scenarzystą telewizyjnym, co zapewne ułatwiło producentom podjęcie ryzykownej decyzji. W małej odciętej od świata miejscowości znika 15-letnia dziewczyna. Śledztwem zajmuje się pyszny i arogancki inspektor Vogel, znany z tego, że cynicznie wykorzystuje w swej pracy media i lubi manipulować podejrzanymi. W dużym stopniu „Dziewczyna we mgle" jest opowieścią właśnie o tym: gdzie jest granica między informowaniem a szczuciem, czy cel uświęca środki itd. Całość ujęta jest w ramy nocnej rozmowy między psychiatrą (Jean Reno) a Vogelem (świetny Toni Servillo), nad którą unosi się trochę duch „Czystej formalności" Tornatore. Film, podobnie jak książka, jest wykalkulowaną odpowiedzią na amerykańskie thrillery (choćby „Zaginioną dziewczynę") i zapożycza z nich sporo elementów, układanych jednak „po europejsku", czyli z nadmierną celebrą. ©®

★★★★★★

REŻ. DONATO CARRISI
„DZIEWCZYNA WE MGLE"
WŁOCHY 2017, BEST FILM

wyst. Toni Servillo, Alessio Boni, Lorenzo Richelmy

MAŁPIE FIGLE

Ze wszystkich głupiutkich filmów rozrywkowych tego sezonu „Dzika furia" jest stosunkowo najmniej szkodliwa i najsympatyczniejsza, ale to urok jednookiego wśród ślepców. Substancja modyfikująca zwierzęcy genom spada na Ziemię z nielegalnego laboratorium orbitalnego. Wilk, aligator i goryl padają ofiarą tej biologicznej broni i zamieniają się w gigantyczne monstra żądne krwi i zniszczenia. Traf chce, że mutujący goryl to najbliższy kumpel sympatycznego obrońcy zwierząt (któż inny, jak nie Dwayne Johnson). Los wstrętnych kapitalistów, którzy przeprowadzali eksperymenty dla zysku, oraz najętych przez nich cyngli jest więc przesądzony. Głównym celem tej opartej na grze wideo produkcji jest pokazanie wielkiej rozwałki w centrum Chicago, przy czym inspiracja King Kongiem jest ewidentna. Gdybym miał osiem lat, pewnie by mi się podobało. ©®

recenzuje Piotr Gociek

★★★★★★

REŻ. BRAD PEYTON
„RAMPAGE: DZIKA FURIA"
USA 2018, GALAPAGOS

wyst. Dwayne Johnson, Naomie Harris, Malin Åkerman

GRA TYGODNIA: „8-BIT ARMIES"

Jeśli ktoś zastanawiał się, co by się stało, gdyby połączyć „Minecrafta" z „Red Alert 2", to dłużej nie musi żyć w niepewności. Właśnie tak wygląda strategia czasu rzeczywistego wydana przez doświadczone studio Petroglyph. W „8-bit Armies" pikselowa grafika przeniesiona w trzeci wymiar łączy się bowiem z mechanizmem budowy armii, sterowania i grywalnością pierwszych, prostych – jak na dzisiejsze standardy – RTS-ów. Stwórz jak największą armadę, zbieraj jeden rodzaj surowca, a potem kliknij wprost na bazę wroga i obserwuj apokalipsę.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Przyjemny powrót do korzeni gatunku, ale w sumie... niewiele więcej. ©®

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *RTS*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Petroglyph*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *3+*

eprasa.pl 358b74afb8

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pieśń o Podolu

Najnieprawdopodobniej wyglądają historie autentyczne. Dlatego pisarz powinien wszystko zmyślać, jeżeli zależy mu na wierze czytelnika. Lecz czy naprawdę powinno mu na tym zależeć?" – takie pytanie stawia na koniec „Ataku serca", jednego ze swoich „Opowiadań podolskich", Julian Wołoszynowski. Opowiadań wznowionych właśnie przez Państwowy Instytut Wydawniczy, który po raz pierwszy wydał je w jednym tomie z drugim, niemniej ważnym zbiorem tego autora – „Przed wschodem księżyca".

Zajmująca to lektura, dowodząca, że nic nie jest tak ważne dla pisarza jak jego korzenie. Julian Wołoszynowski urodził się w 1898 r. w rodzinie ziemiańskiej na Podolu, w majątku Serby. Już w roku 1911 przeniósł się z rodzicami do Kijowa. Po wybuchu rewolucji rosyjskiej wyjechał do Warszawy, w roku 1920 wziął udział w wojnie z bolszewikami. Stał się pisarzem warszawskim, na Podole nie wrócił nigdy, a przecież gdyby nie dzieciństwo spędzone w Serbach, gdyby nie zapiski jego ojca Joachima Wołoszynowskiego, nigdy nie powstałyby utwory tak wielkiej urody jak właśnie „Opowiadania podolskie", w których wierność faktom jest równie istotna jak nastrojowość opisu, rozpoetyzowanie tej wyjątkowej prozy.

Utkana jest ona z tęsknoty, ale przecież nie rozmazana, nie przesadna w tkliwościach, sentymentach. Przeciwnie: jest rzeczowa, prostolinijna, rozumna. Dlatego w krótkim opowiadaniu „Odyseusz" czytamy: „No, cóż, było »dzieciństwo sielskie – anielskie« na wyspie Itace, była »młodość górna i durna« w Wielkiej Wojnie Trojańskiej i przyszedł »wiek męski, wiek klęski« o długiej, długiej tułaczce

FOT. NAC

powojennej po szerokim świecie. Bardzo tęsknił do swojej Itaki. Ale nie mógł do niej wrócić".

Czytając opowiadania Juliana Wołoszynowskiego, przenosimy się do nieznanych nam miejsc i cofamy w czasie o mniej więcej półtora wieku. Żywe jest tam wspomnienie powstania styczniowego, któremu zresztą pisarz poświęcił swoją wybitną, niedawno wznowioną nakładem wydawnictwa Zysk i S-ka, powieść „Rok 1863". Miała ona zaciążyć na karierze literackiej Wołoszynowskiego. Wydana została w roku 1931 i nominowana do Państwowej Nagrody Literackiej. Ta historia Jana Worobijowskiego, syna zesłańca na Sybir, wnuka powstańca listopadowego, uważana była dość powszechnie – nie tylko z racji zbliżającej się rocznicy – za główną kandydatkę do prestiżowej nagrody. A jednak laury przypadły komu innemu – Karolowi Hubertowi Rostworowskiemu za „Niespodziankę". Julian Wołoszynowski odebrał to jako despekt i ciężko przeżył to rozczarowanie. Przerwał pracę nad pisanymi równolegle dwiema powieściami, wycofał się też z danej wydawcy obietnicy napisania „Podola" do sławnej serii „Cuda Polski". Wprawdzie współpracował jeszcze z Wojskowym Instytutem Naukowo-Oświatowym i „Polską Zbrojną", ale w liście do matki skarżył się, że opuściła go wena. I tak pewnie było.

Po wojnie swoją pierwszą książkę, szkice warszawskie „Cóż to za nieznajome miasto", wydał dopiero w roku 1957. Wcześniej o publikacjach swoich utworów nie mógł nawet pomarzyć. Jednak uparcie pisał, co zaowocowało w 1959 r. olśniewającymi „Opowiadaniami podolskimi". To wskrzeszenie dawnego świata udało mu się nadzwyczajnie. Jednak władza dalej traktowała go nieufnie. Gdy jego żona, wybitna artystka teatralna Maria Dulęba (pierwszą żoną pisarza, jeszcze przed wojną, była, też aktorka, Zofia Kałusowska), ze spektaklem Teatru Polskiego miała jechać do Londynu, zażądała, by towarzyszył jej mąż. Nie otrzymał jednak paszportu, w związku z czym żona zrezygnowała z atrakcyjnego wyjazdu.

Maria Dulęba zmarła w tym samym roku, w którym ukazały się „Opowiadania podolskie". On sam dożył roku 1977. Jedenaście lat później Marek Nowakowski, młodszy od niego o prawie 40 lat, poświęcił temu jednemu ze swoich mistrzów szkic w tomie „Karnawał i post". Tak go zapamiętał z ostatnich lat życia: „Twarz miał pociągłą, ptasią, czarne oczy jak połyskliwe kamyki za okularami i szpakowate, gładko przyczesane włosy. Był wysoki, szczupły, ubierał się ze schludną, staromodną elegancją. Marynarka z solidnego dawnego sukna już nieco wytarta, jednak odprasowana, czysta, kanty spodni nienagannie ostre, nade wszystko zaś zwracały uwagę jego wyczyszczone do lustrzanego połysku półbuty. Chodził lekko i prosto, choć podpierał się bambusową laską. Dużo spacerował, zawsze sam. Był powściągliwy i grzeczny. Trzymał się osobno". ©℗

★★★★★☆

JULIAN WOŁOSZYNOWSKI „PRZED WSCHODEM KSIĘŻYCA. OPOWIADANIA PODOLSKIE"
PIW 2018

eprasa.pl 358b74afb8

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Reżyser, dziecię czasem naiwne

Nicolas Roeg był znaczącą postacią kina lat 70. XX w., dekady, w której rozkwitło wiele talentów. Twórca takich filmów jak „Walkabout", „Nie oglądaj się teraz" czy „Człowiek, który spadł na Ziemię" ma swoje osobne miejsce w dziejach X muzy. Nigdy nie był typowym hollywoodzkim reżyserem, próbował szukać własnych ścieżek, eksperymentował z montażem i ze sposobami układania ścieżki dźwiękowej. Potem, w latach 80. i 90., raz trafiał, raz chybiał, ma jednak mnóstwo ciekawych rzeczy do opowiedzenia. W biznesie filmowym jest od początku lat 50., zaczynał jako asystent operatora, wykonywał ponadto rozmaite inne drobne prace. Fachu uczył się więc po staremu: nim sam został reżyserem, był długo czeladnikiem u boku zarówno mistrzów, jak i cenionych rzemieślników.

Z tego ostatniego powodu jego wspomnienia kryją w sobie parę innych potencjalnych książek, które pewnie nigdy się nie wydarzą. A szkoda, bo zostało mi poczucie wielkiego niedosytu po rzucanych przez Roega krótkich napomknieniach o tym, z kim pracował, i towarzyszących współpracy anegdotach. Któż nie chciałby zajrzeć głębiej za kulisy kręcenia „Lawrence'a z Arabii", „Fahrenheit 451", „Doktora Żywago" (z tego filmu David Lean kazał Roega zwolnić, choć nakręcił najlepsze ujęcia) itd. Twórca „Eureki" zdążył się przyjrzeć od środka światu kina w czasach, gdy pracowały jeszcze sławy złotej epoki filmu, a potem sam stał się częścią kontrkulturowej rewolucji – jego głośny, skandalizujący film z Mickiem Jaggerem „Przedstawienie" („Performance") dwa lata czekał na premierę. Jak wspomina reżyser, szefowie Warner Bros. chcieli początkowo zniszczyć negatyw i ostatecznie wykreślić ten tytuł z historii.

Dla wszystkich mocniej zainteresowanych kinem opowieść Roega będzie lekturą bardzo zajmującą, inni mogą uznać ją za nieco branżową, nigdy jednak nie jest nudna. Ani tam, gdzie znajdujemy anegdoty o Cukorze czy Brando, ani tam, gdzie autor snuje rozważania o roli montażu, przemianach sztuki filmowej itd. Roeg słaby jest dopiero pod koniec, gdy zamiast o filmie opowiada o swych fascynacjach zjawiskami paranormalnymi, które w jakiś sposób zastępują mu duchowość. Mistrz kina zamienia się wtedy w dziecię naiwne, podobnie jak David Lynch w swoich wspomnieniach, gdy rekomendował grupową medytację jako drogę do zbawienia świata. Na pytanie, czy to kino przyciąga ludzi tak pogubionych, czy może samo ich w jakiś sposób produkuje, nie znam niestety odpowiedzi. ©℗

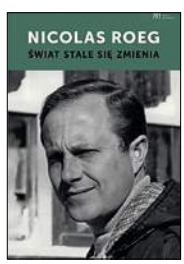

★★★★☆☆

NICOLAS ROEG „ŚWIAT STALE SIĘ ZMIENIA"
WYDAWNICTWO W PODWÓRKU 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nieznana kartka z dziejów PRL. Rok 1947, żołnierze LWP zbrojnie stawiają opór sowieckim sołdatom. W Lesznie doszło do strzelaniny w obronie kobiety. Ten akt człowieczeństwa miał tragiczne konsekwencje dla Polaków.

KRZYSZTOF M. KAŹMIERCZAK „ROZSTRZELANI ZA URATOWANIE KOBIETY"
VESPER

Coca-cola najzdrowsza nie jest, to wiemy, ale historia jej producenta, jednej z największych korporacji świata, jest konsumentowi mało znana. Książka Elmore'a to przy okazji opowieść o przemianach kapitalizmu ostatniego stulecia.

BARTOW J. ELMORE „OBYWATEL COKE"
REBIS

Jeden z najlepszych kryminałów szkockiej autorki, zekranizowany w 2008 r. przez brytyjską ITV. Rzecz o śledztwie w sprawie zaginionej w 1963 r. dziewczyny oraz o współczesnej próbie wyjaśnienia dawnej tajemnicy przez dziennikarkę.

VAL MCDERMID „MIEJSCE EGZEKUCJI"
PAPIEROWY KSIĘŻYC

Czwarty i piąty tom kultowej „trylogii w pięciu częściach", rozpoczętej „Autostopem przez galaktykę". I powód do zazdrości: szczęśliwi Brytyjczycy, jeśli chodzi o humor – jak nie Pratchett, to Adams, as za asem... ©℗

poleca Piotr Gociek

DOUGLAS ADAMS „CZEŚĆ, I DZIĘKI ZA RYBY. W ZASADZIE NIEGROŹNA"
ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. *Remigiusz Mróz „Kontratyp" (Czwarta Strona) – ósmy tom serii o komisarz Joannie Chyłce (wkrótce serial TVN, w roli głównej Magdalena Cielecka).*
2. *Blanka Lipińska „365 dni" (Edipresse) – dziewczyna porwana przez mafiosa ma 365 dni, by go pokochać. Brzmi idiotycznie? Owszem. I takie też jest.*
3. *Katarzyna Nosowska „A ja żem jej powiedziała" (Wielka Litera) – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.*
4. *Carl Sagan „Błękitna kropka" (Zysk i S-ka) – klasyka. Znany astronom kreśli wizję kolonizacji Układu Słonecznego i przekonuje, że to konieczność dla gatunku ludzkiego.*
5. *Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.*

(Najchętniej kupowane książki na Swiatksiazki.pl)

eprasa.pl 358b74afb8

Tomasz Ritter, zwycięzca pierwszej edycji Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego na Instrumentach Historycznych FOT. CZAREK SOKOŁOWSKI/AP/EAST NEWS

Jak brzmiał Chopin?

Nuty to drogowskazy, wskazują kierunek, ale nie każdy podróżujący stawia kroki tak samo. I dlatego, mimo że Fryderyk Chopin zostawił po sobie tyle wspaniałych kompozycji, nie wystarczają one, by określić, jak grał. Aby odpowiedzieć na to pytanie, badacze jego twórczości docierali do spisanych relacji słuchających go ludzi, opinii krytyków z epoki, zapisków i listów samego Chopina. Analizowali nawet jego pismo – czy stawiał litery koronkowo czy zamaszyście... Jak zatem grał? Subtelnie, delikatnie, płynnie, unikając efekciarstwa i zbyt głośnej gry. Tak jak przystało na „poetę fortepianu".

Sposób gry Chopina to jedno, instrumenty, na których grywał, to kolejna kwestia. Barwa wydobywanego z nich dźwięku, mechanika fortepianów współczesnych kompozytorowi były inne od tych, których słuchamy dziś. I stąd właśnie idea Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina, by w roku 2018, kiedy obchodzimy stulecie odzyskania niepodległości, powołać do życia Międzynarodowy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych. Aby zorganizować pierwszą edycję mającego odbywać się co pięć lat konkursu, organizator udostępnił ze swej kolekcji osiem instrumentów z epoki, a z prywatnych kolekcji wypożyczył kolejnych 11 oraz ich dokładne repliki. Tomasz Ritter, który wygrał konkurs, postawił na fortepian marki Pleyel z ok. 1854 r. Na instrumentach tej marki grał w Paryżu pod koniec życia Fryderyk Chopin. Zaprzyjaźniony z nim właściciel manufaktury Camille Pleyel dbał o to, by polski maestro zawsze miał do dyspozycji najdoskonalszy produkt.

Czy Ritter zagrał jak Fryderyk Chopin? Oczywiście, że nie. Jest to zupełnie niemożliwe. Jednak równie niemożliwe było za życia Chopina. Słuchanie dziś dźwięków wydobywanych z instrumentu, który równie dobrze mógł stać w paryskim salonie mistrza Fryderyka, ma w sobie coś magicznego. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Chłopcy z laptopem

Na początku lat 80. w Anglii popularność zyskała elektroniczna muzyka disco grana głównie przez męskie duety. Zubożona, socjalistyczna odmiana synth popu (m.in. Kapitan Nemo, Papa Dance, Kombi) elektryzowała nastolatki i wzbudzała zażenowanie krytyków. No i teraz mamy renesans tego tworu.

Wcześniejsze dwie płyty zabrzańskiego duetu The Dumplings pokryły się złotem. Na naszej scenie zaroiło się od duetów złożonych z anorektycznych laptopowców i cienko śpiewających panienek.

Para Pierogów wraz z Mary Komasą wzięła na warsztat „Jestem kobietą" Edyty Górniak i z przeboju stworzyła... No właśnie co? Klimat, pastisz, antypiosenkę czy po prostu niezrozumiałą nędzę. Pozostałe utwory nie są tak straszne, ale zarówno rytmy, elektroniczne barwy, jak i tym bardziej same utwory nie wychodzą poza schematy z przeszłości. Ta płyta to rodzaj youtube'owego snuja, który raz zaprogramowany aplikuje nam to, co lubimy. Jest różnorodnie, ale bez przesady. No i do tego mamy opowieści dziewczyny z problemami, co wewnętrznie rozbudzona jest. Tyle że w tekście Agnieszki Osieckiej z kończącej album „Ach nie mnie jednej" jest więcej poetycznej prawdy o niespełnionej miłości niż w dziesięciu wcześniejszych wyznaniach. ©℗

★★★☆☆☆

THE DUMPLINGS
„RAJ"
WARNER

★★☆☆☆☆

ALVARO SOLER
„MAR DE COLORES"
INTERSCOPE

Dziewczęta mają słabość do przystojnych Latynosów. Alvaro sprzedaje u nas płyty i bilety na koncerty jak świeże bułeczki. Nie dziwota – jest słonecznie, rytmicznie, banalnie i wszystko rymuje się na „o" lub „a". A jak trzeba, to Soler cierpi przepięknie.

★★★☆☆☆

PRINCE
„PIANO & A MICROPHONE 1983"
WARNER

Książę zmarł i znienawidzona przez niego wytwórnia w końcu dobrała się do jego archiwum. Niestety, zamiast pereł dostaliśmy domowe nagrania zwiastujące przyszły gigantyczny sukces albumu „Purple Rain". Ciekawostka. ©℗

eprasa.pl 358b74afb8

Koncert Galowy Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

TEATR POLSKI W WARSZAWIE

10 GRUDNIA 2018, GODZ. 20.00

niepodległa

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

MECENASI KONCERTU

PGNiG

LOTOS

PATRONAT MEDIALNY

wprost

WSPÓŁORGANIZATOR

TVP

PARTNERZY

Poczta Polska

LOTTO

Fundacja XX. Czartoryskich

PZU FUNDACJA

sfinansowano ze środków Fundacji PZU
Partner Fundacja PZU

eprasa.pl 358b74afb8

debata DO RZECZY

Andrzej Talaga

Głównym celem polityki zagranicznej każdego państwa jest zapewnienie mu bezpieczeństwa. Nie mamy wyjścia – musimy polegać na USA

Tylko Ameryka

Kiedy w „Ogniem i mieczem" Zagłoba usiłuje uratować uprowadzoną przez Bohuna Helenę, ta pyta, dlaczego właściwie miałaby mu zaufać. Brzuchaty szlachciura zadaje wówczas fundamentalne w jej położeniu pytanie: „A masz, waćpanna, co lepszego?". Ta kwestia wystarczy, aby wyjaśnić, dlaczego Polska musi polegać na Stanach Zjednoczonych w zakresie bezpieczeństwa. Po prostu nie mamy innego wyjścia.

Głównym celem polityki zagranicznej każdego państwa jest zapewnienie mu bezpieczeństwa, dopiero w dalszej kolejności warunków do rozwoju, głównie gospodarczego. Jeśli ów cel nie zostaje spełniony, to na nic wysiłek narodu i jego talenty – państwo zostanie zwasalizowane lub upadnie, a jego potencjał będzie pracować dla kogoś innego.

Nie jest to prymitywny darwinizm polityczny, ale doświadczenie stuleci. Historia toczy się nadal według tych samych reguł, premiując silnych kosztem słabszych. Nie zmieniły tego ani ONZ, ani powojenny porządek międzynarodowy, ani Unia Europejska. Instytucje te sprawiają tylko, że walka konkurencyjna przybiera mniej drastyczne formy. Zamiast ekspansji militarnej mamy dominację handlową i technologiczną, zamiast aneksji terytorialnych – uzależnienie finansowe itd.

Należy zatem jak najkorzystniejszej pozycjonować swoje państwo wobec jego otoczenia, niekiedy przyjaznego, często wrogiego, a z pewnością korzystającego z okazji pomnożenia własnego potencjału kosztem innych, kiedy to tylko możliwe.

JESTEŚMY ZA SŁABI

Najlepiej czynić to samodzielnie w oparciu o własną potęgę ekonomiczną i militarną. Polska jednak nie może się poszczycić takim potencjałem. Gospodarka rozwija się wprawdzie od dwóch dekad, nie odnotowując recesji, ale wciąż jesteśmy na ósmym miejscu w Europie (wliczając Rosję) pod względem nominalnego PKB. Dla porównania, podobne PKB mają Szwajcaria, Belgia, Szwecja, a z państw bardziej egzotycznych – Tajwan i Argentyna. Nie jest zatem źle, ale w zestawieniu z naszymi ambicjami gracza regionalnego, wokół którego ma powstać orbita wpływów dla mniejszych państw Europy Środkowej i Wschodniej, stanowczo za skromnie.

Nie zbudowaliśmy potencjału militarnego wystarczającego nie tylko do dominowania w regionie, lecz także nawet do samodzielnej obrony. Mamy wciąż przestarzały sprzęt wojskowy, nie wypracowaliśmy ani rozwiniętego systemu rezerw osobowych na godzinę „W", ani masowej obrony terytorialnej, więcej – nasze społeczeństwo, w przeciwieństwie np. do estońskiego, fińskiego czy szwedzkiego, nie jest w ogóle przygotowane do wojny.

Słowem: sami się nie obronimy, gdyby doszło do frontalnego uderzenia ze wschodu. Potrzebujemy zatem kogoś, kto nas w tym wesprze tak długo, jak długo nie zdobędziemy zdolności do samoobrony, co zresztą może nigdy nie nastąpić. Tym kimś jest NATO, a w ramach sojuszu przede wszystkim Stany Zjednoczone, najpotężniejsze państwo globu, jedyne zdolne logistycznie do udzielenia nam pomocy na masową skalę. Takiej zdolności nie ma nikt inny – ani Niemcy, ani Francja, ani Wielka Brytania, by wspomnieć tylko największe gospodarcze i militarne potęgi europejskie.

Musimy stać u boku Ameryki, aby nie pozostać samemu naprzeciw silniejszych od siebie i nie dawać im okazji do drapieżczych poczynań.

Oczywiście najlepiej, gdy sojusznicy są blisko, a wrogowie daleko. Tego luksusu jednak Polska nie ma i nigdy w przeszłości nie miała. Potencjalny agresor nie czai się za oceanem, ale tuż za wschodnią miedzą, i musimy liczyć się z tym, że zagrożenie nie jest wypadkową chwilowej polityki władz w Moskwie, ale elementem trwałym.

W Polsce od ponad dwóch stuleci pokutuje mit o „złej", imperialistycznej, militarystycznej rosyjskiej władzy i „dobrych", nastawionych demokratycznie

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Rosjanach. Wystarczy cara\komunistów\ Putina obalić, dać ludziom swobodę, a będą tacy jak my w zakresie pragnień, celów prywatnych oraz politycznych.

Tymczasem autorytarna władza i jej poczynania są emanacją potrzeb oraz interesów narodu rosyjskiego. W naszych sporach i konfliktach z Moskwą za przeciwnika mamy zatem nie władzę rosyjską – obecnie Putina – ale Rosjan, którzy poprzez ową władzę realizują swoje cele.

Z badań sondażowych Pew Research Center (Global Attitudes Survey) z poprzedniego roku wynika, że 87 proc. Rosjan jest zadowolonych z polityki zagranicznej rządu – w tym interwencji w Syrii, aneksji Krymu, wojny na Ukrainie, skonfliktowania się z NATO i UE, sankcji. 80 proc. uważa NATO za zagrożenie (41 proc. – poważne, 39 proc. – mniejsze). Takie wyniki badań to efekt kremlowskiej propagandy? Nie tylko, są także wyrazem rosyjskiego patrzenia na świat.

BUFOR DLA AMERYKI

Bez wątpienia Polska potrzebuje Ameryki. Jednak czy to wystarczający powód, by w czasie próby Amerykanie umierali nad Wisłą? Czy na pewno Stany Zjednoczone (i szerzej NATO) przyjdą nam z pomocą zgodnie z art. 5 traktatu waszyngtońskiego?

Nie mamy wprawdzie podstaw, by wątpić, bo USA nigdy nie dały nam ku temu podstaw, ale interwencja będzie pewniejsza, jeśli Ameryka ujrzy w obronie Polski swój interes narodowy, a nie tylko walkę o wartości czy wywiązanie się z zobowiązania sojuszniczego. Rzecz w tym, aby Waszyngton uznał nas za trwały element swojego systemu bezpieczeństwa.

W tzw. wielkiej strategii Ameryka już od dziesięcioleci traktuje Europę jako bufor bezpieczeństwa. Jednym z geopolitycznych założeń USA jest niedopuszczenie do zdominowania Eurazji przez jedno mocarstwo, ponieważ jej połączone zasoby przewyższają potencjał Ameryki. W imię tej reguły Stany Zjednoczone przystąpiły do I i II wojny światowej. Obecnie zasada blokowania rozwoju potęg eurazjatyckich przyświeca kontrowaniu rosyjskiej asertywności militarnej obecnością wojsk USA na wschodniej flance NATO. Relatywnie niewielką, bo w ocenie Waszyngtonu zagrożenie także nie jest znaczące.

Europa była i pozostanie amerykańskim buforem bezpieczeństwa, istotne jest dla nas, gdzie przebiega jego granica. Podczas zimnej wojny leżała ona na Łabie oddzielającej NRD od NRF. Po rozszerzeniu NATO na wschód teoretycznie stał się nią Bug, ale praktycznie przesunęła się tylko na Odrę. Amerykańskie instalacje militarne i oddziały wojskowe pozostały w państwach zachodnich (Niemczech, Włoszech, Belgii, Holandii, Wielkiej Brytanii). Plany interwencji nie obejmowały Polski czy państw bałtyckich. Artykuł 5 traktatu waszyngtońskiego, gwarantujący solidarną pomoc napadniętemu krajowi, w naszym przypadku pozostawał zapisem teoretycznym.

Sytuacja zmieniła się wraz z przygotowaniem dla Polski tzw. planów ewentualnościowych NATO, ale nawet one nie gwarantowały automatyzmu amerykańskiej reakcji. Ponadto do skutecznej interwencji był potrzebny długi czas, liczony w miesiącach, na wyekspediowanie wojsk z USA i zgromadzenie ich w Europie, by ruszyć na odsiecz Polsce.

Do zmiany sytuacji potrzebne było mentalne i koncepcyjne przewartościowanie tradycji zimnej wojny, czyli przesunięcie granicy strefy bezpieczeństwa USA w Europie z Odry na Bug. Ten proces się rozpoczął, ale jeszcze długo nie będzie zakończony.

Mamy już u siebie batalion wojsk USA w ramach wysuniętych sił NATO, trzon ciężkiej brygady oraz silne elementy brygady lotniczej – w ramach jednostronnej inicjatywy USA. Spodziewamy się bazy logistycznej dla kolejnej brygady, która wraz z siecią magazynów w Niemczech, Belgii i Holandii zgromadzi wyposażenie dla pełnej dywizji wojsk USA. Będziemy wreszcie mieć bazę antyrakietową w Redzikowie. Obecnie walczymy o więcej – stałą bazę dla kolejnej brygady.

Kiedy już podjęte decyzje zostaną zrealizowane i uda nam się nakłonić USA do zwiększenia obecności militarnej oraz zmiany jej charakteru z rotacyjnego na stały, będziemy mieli niemal pewność, że Stany Zjednoczone przystąpią do obrony Polski od razu, od pierwszego wystrzału.

Kolejnym krokiem w pełni wkomponowującym nas w amerykański system bezpieczeństwa w Europie byłoby rozmieszczenie na naszym terytorium taktycznej broni nuklearnej i włączenie Polski do programu jej dzielenia między państwa NATO w czasie wojny. Nawet jeśli teraz czy w ciągu kilku lat nie jest to możliwe, nie wiemy, czy sytuacja nie dojrzeje na tyle, by stało się realne za lat 10–15.

Gdzie zatem jest miejsce dla Polski w systemie bezpieczeństwa USA? Na przedpolach Europy. Nie wybieraliśmy sobie położenia geopolitycznego, ale zamiast przekleństwa możemy uczynić z niego atut. Polska i tak jest krajem frontowym wobec zagrożenia rosyjskiego. Rzecz w tym, by nowa administracja amerykańska zaczęła traktować nas jako pierwszą linię obrony swojego bezpieczeństwa. Dotychczas byliśmy raczej wschodnim przyczółkiem, a linię obrony stanowiły Niemcy i Beneluks. Takie przesunięcie postrzegania Polski jest czołowym zadaniem naszych władz wobec USA.

Dlaczego zatem Ameryka? Bo Rosja nam zagraża, a sami nie potrafimy się obronić, bo jest najsilniejszą militarnie potęgą na ziemi, bo to jedyne państwo zdolne do udzielenia nam zmasowanej pomocy, bo po prostu nie mamy innego wyboru.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą, ekspertem WEI. Artykuł oddaje jego prywatne poglądy.

eprasa.pl 358b74afb8

debata DO RZECZY

Tomasz Kwaśnicki

Cena „bezpieczeństwa”

Amerykańska dyplomacja destabilizuje region, doprowadza narody do strachu, a potem sprzedaje im „bezpieczeństwo”. Jednym z klientów jest Polska

Pozostaje kwestią sporną, czy gorąca nienawiść waszyngtońskiej elity do „Rosji Putina” jest efektem rozpoznania jakiegoś rzeczywistego zagrożenia, czy przyczyną tej wrogości jest wyznawana powszechnie nad Potomakiem ideologia neokonserwatywna. Doktryna ta głosi moralną wyjątkowość Stanów Zjednoczonych, ich oczywistą cywilizacyjną wyższość i wynikające stąd naturalne prawo do narzucania swojej woli państwom stojącym niżej w hierarchii. W rzeczywistości ideologia neokonserwatywna stała się obecnie wygodnym narzędziem do realizacji celów różnego rodzaju formalnych i nieformalnych grup interesu. Zaliczyć należy do nich przede wszystkim „lobby żydowskie”, otwarcie korumpujące Kongres i Biały Dom za pośrednictwem setek organizacji i prywatnych donatorów, oraz amerykańskie lobby zbrojeniowe, które w połączeniu z lobby paliwowym, elementami aparatu biurokratycznego, finansowanymi przez siebie prestiżowymi think tankami, służbami i politykami, tworzy tzw. Deep State, nazywane również czasem Stronnictwem Wojny.

Jeśli ktoś zamierza zrozumieć interes Stanów Zjednoczonych w dowolnej części globu, powinien przede wszystkim zapytać o korzyści lobby żydowskiego i/lub Deep State w interesującej go okolicy. Tak jest na Bliskim Wschodzie, tak jest na Pacyfiku, nie inaczej jest nad Wisłą.

ZA CO TA ZAPŁATA

Interes lobby żydowskiego w Polsce został przez nie otwarcie wyartykułowany i waha się obecnie między 65 a 300 mld dol. w wysuwanych pod adresem państwa polskiego roszczeniach. Od czasu podpisania przez Donalda Trumpa „Just Act” Polacy zaczynają niejasno przeczuwać to zagrożenie. Nie domyślają się natomiast, że Polska w takiej lub innej formie będzie zmuszona uregulować ten rachunek w myśl hasła: „Bezpieczeństwo musi kosztować”.

Większe znaczenie ma jednak interes Stronnictwa Wojny w naszej części kontynentu. Polega on na eksportowaniu „bezpieczeństwa”. Aby taką usługę można było sprzedać, należy najpierw, zgodnie z zasadami marketingu, wywołać jej potrzebę. Każde państwo przywiązuje szczególną wagę do kwestii swojego bezpieczeństwa, ale jedynie naród ogarnięty strachem jest gotów wyłożyć każde pieniądze podmiotowi, który oświadczy, że jest w stanie mu je zapewnić. Taki właśnie popyt pragną wywołać w naszym regionie amerykańscy marketingowcy.

Amerykanie dokonują tego, nieustannie destabilizując sytuację w naszym regionie. Polityka ta jest oczywiście obliczona na sprowokowanie Rosji, co jest tym łatwiejsze, że próbująca utrzymać mocarstwowy status Rosja nie może pozostawiać tego typu działań bez odpowiedzi. Posunięcia Kremla stają się z kolei pożywką dla amerykańskiej wojny informacyjnej – fake newsów produkowanych przez amerykańskie agencje informacyjne niemal równie często jak przez rosyjskie.

Amerykańska dyplomacja jest w stanie upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: za jednym zamachem kraje Europy Wschodniej stają się zarówno narzędziem amerykańskiej polityki (to nie Amerykanie ginęli w Gruzji i to nie Amerykanie giną na Ukrainie), jak i amerykańskimi klientami.

DOKŁADNY KOSZT

Nikt dokładnie nie policzył, ile kosztuje i kosztować będzie Polskę amerykańska „protekcja”. Zaspokojenie żydowskich roszczeń z pewnością należy zapisać po stronie kosztów, które w przyszłości będzie musiał ponieść nasz kraj. Wiemy także, że za sam „Fort Trump”, czyli utratę suwerenności

eprasa.pl 358b74afb8

Kupując system Patriot, Polska faworyzowała Amerykanów i przepłaciła za sprzęt, wierząc, że kupuje też „polityczne bezpieczeństwo"
FOT. TOMASZ PACZOS/FOTONOVA

nad częścią własnego terytorium, przyjdzie nam zapłacić co najmniej 2 mld dol. Tyle przed rozpoczęciem jakichkolwiek rokowań zaproponowali wspaniałomyślni polscy przywódcy, dlatego trudno wyobrazić sobie, by Amerykanie zadowolili się tą kwotą. Jeśli Polacy są w stanie zapłacić 2 mld dol. przed startem negocjacji, to z pewnością będą mogli zapłacić i więcej.

Kraj, który pragnie zapewnić sobie „ochronę przed Rosją", musi także zaopatrywać się u amerykańskich dostawców. Sztandarowym przykładem jest decyzja o zakupie systemu Patriot. Pomijając kuriozalny sposób prowadzenia negocjacji, w którego ramach MON z góry założyło, że interesuje go zakup sprzętu wyłącznie jednego producenta, sama decyzja o zakupie systemu Patriot, a nie np. konkurencyjnego MEADS (produkowanego przez konsorcjum amerykańsko-europejskie), nie została, jak się wydaje, podyktowana chęcią zakupu jak najlepszego uzbrojenia za jak najniższą cenę, czego należałoby oczekiwać, ale wiarą w to, że faworyzując Amerykanów kosztem interesów własnego wojska i przemysłu, w dodatku przepłacając za sprzęt, zapewniamy sobie „polityczne bezpieczeństwo". Przypomnijmy, że w ramach wartego grubo ponad 5 mld dol. kontraktu (koszt brutto może wynieść nawet 5,6 mld dol.) Wojsko Polskie ma zakupić m.in. dwie baterie systemu Patriot, które nie są w stanie zapewnić nam ochrony ani przed najnowszymi pociskami hipersonicznymi, ani nawet przed rakietami manewrującymi, takimi chociażby jak rozlokowane w Królewcu iskandery. Co więcej, pytaniem otwartym pozostaje, czy rakiety Patriot w ogóle cokolwiek potrafią zestrzelić. „Mam poważne wątpliwości, czy Patriot kiedykolwiek przechwycił pocisk balistyczny w walce, a przynajmniej nie widziałem jeszcze przekonujących dowodów, wskazujących na udane przechwycenie pocisku przez system Patriot" – pisał w marcu na łamach „Foreign Policy" Jeffrey Lewis, analityk z Middlebury Institute of International Studies w Monterey, autor krytycznego opracowania poświęconego systemowi Patriot.

Świadkami ostatniej kompromitacji amerykańskiego systemu byliśmy w zeszłym roku w Arabii Saudyjskiej, gdzie Patriot nie był w stanie strącić średniozaawansowanych irańskich rakiet balistycznych odpalanych przez jemeńskich partyzantów.

Ponadto, jak się niedawno okazało, decydując się na wybór systemu Patriot dla programu Wisła, związaliśmy sobie ręce także w kwestii programu Narew. Wybór producenta rakiet zastosowanych w Narwi przekazaliśmy w ręce USA, a ściślej – twórcy segmentu dowodzenia IBCS, czyli koncernu Northrop Grumman, oraz waszyngtońskich urzędników. Ocenią oni, który z sugerowanych przez Polskę pocisków spełnia wymagania i pasuje do układu dowodzenia IBCS.

Kwestia patriotów to niejedyny przykład płacenia przez Polskę stypendium amerykańskiemu lobby zbrojeniowemu. Szczególnie uważnie należy przyglądać się programowi Homar, w którego ramach faworyzowanym dostawcą jest amerykański producent wyrzutni Himars, oraz programowi Kruk, gdzie na poważnie rozważa się zakup najdroższego na świecie helikoptera Apache. Oznaczałoby to, że polska armia otrzyma o wiele mniejszą liczbę maszyn, niż w rzeczywistości potrzebuje.

Danina płacona amerykańskiemu lobby zbrojeniowemu to nie wszystko. Równie ważna jest kontrybucja na rzecz lobby paliwowego. Przez lata politycy PiS miotali najcięższe oskarżenia przeciwko rządowi koalicji PO-PSL z powodu wynegocjowanej niekorzystnej ceny za rosyjski gaz. Jednak gdy PiS doszedł do władzy, okazało się, że w rzeczywistości jest gotowy płacić jeszcze więcej dostawcom amerykańskim. Mający zapewnić Europie „bezpieczeństwo energetyczne" amerykański gaz LNG nabywany w kontraktach długoterminowych, jak twierdzą niemieckie media, będzie droższy od rosyjskiego o nawet jedną trzecią. Polski ekspert rynku paliw, Andrzej Szczęśniak, przy okazji wizyty Trumpa w 2016 r. obliczał koszt amerykańskiego LNG, po skropleniu, transporcie i regazyfikacji, na 50–70 proc. wyższy od ceny płaconej obecnie przez Polskę Gazpromowi. Polski rząd utajnia ceny oferowanego nam przez USA surowca.

Do całkowitej ceny zapewnianego nam przez Amerykanów „bezpieczeństwa" należą oprócz opłat bezpośrednich również koszty pośrednie, wynikające ze zrzeczenia się przez Polskę pretensji do uprawiania suwerennej polityki zagranicznej oraz przekazania tej kompetencji w ręce Waszyngtonu. Szczególnie drastycznie sytuacja ta objawia się na kierunku wschodnim. Nie chodzi tu wyłącznie o koszty ponoszone przez polską gospodarkę w ramach wojny handlowej z Rosją, które szacowane są niekiedy nawet na 3 mld dol. rocznie. Chodzi również o takie koszty jak tolerowanie utrzymywanych przez Ukrainę zaporowych ceł na polskie produkty, w tym na polskie mięso, dalej – o koszty ponoszone przez polską gospodarkę w związku z zalewaniem polskiego rynku przez ukraińskie produkty spożywcze, takie jak zboże, warzywa, owoce czy mięso drobiowe. Nie wolno tu także pominąć darowizn, grantów, pożyczek i kredytów, które w różnej formie trafiają z polskiego budżetu za wschodnią granicę. Przy okazji przekazania przez Polskę 4 mld zł kredytu swapowego Ukrainie ówczesny wysoki urzędnik MSZ, Przemysław Żurawski vel Grajewski, argumentował: „Powstrzymywanie Rosji musi kosztować. Odda, nie odda – warto zainwestować". Słowa te precyzyjnie oddają filozofię obecnych władców Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem portalu Kresy.pl.

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. TRAX

Mentalna samodzielność niepisowskiej prawicy

Stefan Sękowski

Krytyka dobrej zmiany nie dotyczy tego, że Jarosław Kaczyński idzie za wolno czy za szybko – ale tego, że idzie w złą stronę

W dyskusji wokół „Listu Konserwatysty Zmiany do Konserwatysty Umiaru" Piotra Semki („DRz" 36/2018) doszliśmy do miejsca, w którym należy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy spór między zwolennikami dobrej zmiany (także tymi krytycznymi) a jej „prawicowymi" krytykami jest w istocie sporem w rodzinie. Już dobór terminologii sugeruje, że mamy do czynienia ze starciem dwóch skrzydeł tej samej frakcji. W jej myśl prawicowi krytycy rządu zasadniczo podzielają opinie obozu władzy, jednak nie podoba im się wykonanie i chcą czegoś w stylu zatrzymania się w pół kroku. Wyłom w tym myśleniu zrobił już Łukasz Warzecha („Rewolucja a państwo", „DRz" 38/2018), proponując, by konserwatystów zmiany nazywać rewolucjonistami, konserwatystów umiaru zaś nazywać po prostu konserwatystami. Chciałbym wyprowadzić z tego moim zdaniem konsekwentny wniosek: jedni i drudzy nie należą wcale do jednej rodziny.

KATALOG ROZBIEŻNOŚCI

Mam wrażenie, że ci, którzy wierzą w ideową jedność tego, co w Polsce nazywa się prawicą, hołdują kalkom myślowym sprzed dwudziestu kilku lat. Z czasów, kiedy rozdrobniona antykomunistyczna centroprawica wegetowała poza parlamentem, a triumfy odnosili postkomuniści. Chodziło wtedy o budowę niekomunistycznego państwa i rozliczenie przeszłości, obecny był także lęk przed powrotem do praktycznej PRL. Tyle że dziś mamy 2018 r., wiele ówczesnych sporów jest już nieaktualnych, a państwo, jak słusznie zauważył Warzecha, okrzepło. I nie ma też wspólnego wroga, gdyż postkomuniści politycznie od lat nie biorą udziału w rządzeniu, a dziś są nawet poza parlamentem.

Prawicowcy przeżywający traumę po Konwencie św. Katarzyny, obsadzający dziś w roli przeciwnika Platformę Obywatelską i okolice, widzą w Jarosławie Kaczyńskim zjednoczyciela, z którym można się w wielu sprawach nie zgadzać, ale trzeba się mu podporządkować, by uniknąć problemów z przeszłości. Tylko po co? Rewolucjonistom z PiS zależy na tym, by demokrację bezalternatywną zamienić w demokrację, w której wyborcy mogą wybrać sobie swobodnie siłę, która przejmie nieograniczoną władzę. Dla konserwatystów (a także republikanów czy konserwatywnych liberałów – już P. Semka pokazał, że jest to luźna grupa) to nie jest atrakcyjne, ponieważ wiedzą, że władza absolutna (nawet wybrana w demokratycznych wyborach) korumpuje absolutnie. Uważają, że najważniejsze są instytucje, z kolei PiS uważa,

eprasa.pl 358b74afb8

że kadry. Gdy ci pierwsi chcą rozproszenia władzy, PiS stawia na podporządkowanie samorządów, sądów i prokuratury władzy wykonawczo-ustawodawczej (dziś w praktyce to jedno i to samo). Gdy ci pierwsi nierzadko stawiają na deregulację i umiar w wydatkach publicznych, ci drudzy – na rozbudowę wydatków socjalnych i etatyzację gospodarki. A gdyby tego było mało, ci, dla których wartością jest ochrona życia od poczęcia, dostają obuchem w postaci odrzucania kolejnych projektów ustaw pro-life. Dlatego niesłuszny jest zarzut Kamili Baranowskiej („Ludzie chcieli zmiany", „DRz" 39/2018), iż „zasadniczym błędem konserwatystów umiaru jest jednak założenie, że wystarczą dobre chęci, by zmienić świat, w tym wypadku świat polskiej polityki. A skoro dziś PiS nie robi wystarczająco dużo, by reguły gry zmienić, to znaczy, że nie chce tego robić, bo odpowiada mu to, co jest". Krytyka dobrej zmiany nie dotyczy tego, że Jarosław Kaczyński idzie za wolno czy za szybko – ale tego, że idzie w złą stronę.

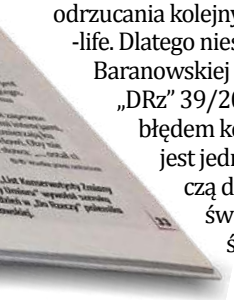

MIRAŻ PO-PIS-OWEJ WOJNY

W Polsce A.D. 2018 trudno znaleźć punkty zbieżne między tymi grupami – oprócz „umiarkowanego konserwatyzmu obyczajowego", na który wskazał Ł. Warzecha, a także wspólnej diagnozy wielu patologii III RP. Tyle że PiS tych patologii wcale nie usuwa. Co gorsza: wystarczy porównać wybór nadliczbowych sędziów TK przez PO i to, co z tą instytucją zrobił PiS, nieudane (PO) i udane (PiS) próby zmiany prawa o zgromadzeniach, podwyżkę VAT (PO) i utrzymanie jej (PiS) czy traktowanie parlamentu jako bezmyślnej maszynki do głosowania, by zauważyć, że PiS nierzadko wręcz je pogłębia.

Semka jednak pisze, że konserwatyści umiaru „nie potrafią wyjaśnić, dlaczego tak dużo Polaków żywo utożsamia się z jedną albo drugą stroną sporu", dodając, że wskazywanie na manipulacje stosowane przez PiS i PO jest bliskie „traktowania wyborów milionów Polaków jako efektu czystej socjotechniki". Z kolei Baranowska wskazuje, że „przekonanie wyborców o bezalternatywności tego układu" prowadzi do „lekceważenia wyborców i traktowania ich jak bezwolne, nierozumne istoty".

Po pierwsze, jak wielka jest ta grupa wyborców, pokażą dopiero przyszłoroczne wybory – tylko one dadzą nam twarde dane (sondaże nie są twardymi danymi), a suma głosów oddanych na PiS i PO w 2015 r. była najmniejsza od 2007 r., co może wskazywać na erozję tego duopolu. Oczywiście teraz sytuacja może być inna, choćby ze względu na jednoczenie się opozycji, ale – tak, o wynikach wyborów w dużej mierze decyduje socjotechnika. Jednak nie dlatego, że wyborcy są bezwolni i nierozumni. Przeciwnie, jak wskazywał amerykański ekonomista Anthony Downs, kierują się bardzo często „racjonalną ignorancją". Zajęci pracą i rodziną nie chcą poświęcać swojego czasu na czytanie traktatów filozoficznych, programów wyborczych, danych makroekonomicznych czy analiz dotyczących zdrowia publicznego, zwłaszcza gdy mają świadomość, jak małą siłę ma ich głos. To zjawisko nasila się zwłaszcza wtedy, gdy mają poczucie, że partie polityczne nie różnią się od siebie (więc po co wyszukiwać niuanse) albo – przeciwnie, różnią się tak radykalnie, że już na pierwszy rzut oka widać, kto „swój", a kto „wróg". W efekcie w ramach swojej edukacji obywatelskiej przeskrolują czasem portal społecznościowy lub odpalą ulubiony serwis informacyjny w TV, z którego się dowiedzą, że należy podporządkować sądownictwo politykom, ponieważ jakiś sędzia ukradł kiełbasę, albo że demokracja upadła w Polsce po raz setny w ciągu trzech lat. Dlatego też bombardowanie nas głupawymi billboardami przez obie strony sporu jest tak skuteczne w budowaniu wyobrażenia daleko idących różnic w teorii i praktyce rządzenia.

WYBIĆ SIĘ NA NIEPODLEGŁOŚĆ

Poważny zarzut dotyczy skuteczności. „Jak na razie nieliczne próby wejścia w realną politykę nie wskazują na sukcesy" – pisze Semka, zresztą dość eufemistycznie. A przecież potencjał jest ogromny – w 2015 r. kilkanaście procent wyborców zagłosowało na polityków szeroko rozumianej prawicy, którzy nie chcieli dać się wpisać w PO-PiS-owy podział. Zresztą także przykład z lewej flanki pokazuje, jak niewiele w tym zakresie trzeba: Partii Razem wystarczył dobry występ dystansującego się od obu głównych sił Adriana Zandberga w debacie przedwyborczej, by dostać prawie 4 proc. głosów (umówmy się, często osób niepodzielających jej socjalistycznej wizji). Tymczasem niepisowska prawica roztapia się w innych ugrupowaniach, a PO na jedno skinienie Katarzyny Lubnauer odwołuje poparcie dla Kazimierza Michała Ujazdowskiego w wyborach na prezydenta Wrocławia.

Z tymi środowiskami – nawet samo ich nazwanie nastręcza trudności – nikt nie musi się liczyć. W końcu to raptem kilku zmarginalizowanych lub byłych polityków, kilku publicystów czy redaktorów niszowych pism. Moim zdaniem podstawowym problemem jest brak ich własnej wyrazistej tożsamości. Konserwatystów etc. wciąż się traktuje jako niesfornego brata PiS, zresztą sami siebie często tak traktują. Wyrwać się z tego można jedynie przez mentalne wybicie się na niepodległość, a to można zrobić tylko (odpowiadając na jeden z zarzutów Semki), ustawiając się w kontrze zarówno wobec praktyki rządów PiS, jak i wobec patologii, z którymi mieliśmy do czynienia przed 2015 r. Należy snuć własną opowieść o Polsce, w której nie powinno być ważne, kto rządzi, ale jak i czy istnieją solidne instytucje, które tę władzę trzymają w karbach. Taką opowieść o Polsce jako wspólnocie wolnych obywateli starałem się wpleść w książkę „Żadna zmiana", którą P. Semka wymienił w swoim tekście jako „próbę manifestu" konserwatystów umiaru. Trudno mi przymykać oczy na to, co się obecnie dzieje, skoro widzę, że obecna władza realizuje coś odwrotnego.

To wszystko wcale nie znaczy, że niepisowska prawica koniecznie ma teraz dokonywać rozłamów czy zakładać własne partie. Jednak samoświadomość jest warunkiem podstawowym wpływania na bieg wydarzeń. Mamy bowiem do czynienia z sytuacją, w której PiS (np. Patryk Jaki w Warszawie) i PO chwalą się przeciągnięciem na swoją stronę „lewicowców", ale z „prawicowcami" zupełnie się nie liczą. Tymczasem sposób myślenia o państwie i polityce niepisowskiej prawicy jest unikalny i zasługuje na to, by traktować go jako coś odrębnego od sposobu myślenia mającego przewagę w przestrzeni publicznej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think zine'u Nowa Konfederacja.

Polemika o konserwatyzmie w „Do Rzeczy":

- **Piotr Semka** „List Konserwatysty Zmiany do Konserwatysty Umiaru" – „DRz" 36/2018 z 3 września 2018 r.
- **Łukasz Warzecha** „Rewolucja a państwo" – „DRz" 38/2018 z 17 września 2018 r.
- **Kamila Baranowska** „Ludzie chcieli zmiany" – „DRz" 39/2018 z 24 września 2018 r.

Za tydzień opinia Piotra Goćka.

eprasa.pl 358b74afb8

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Drobne radości

Mało mnie już rzeczy zaskakuje. Czasem jakiś wpis Marii Nurowskiej o laleczkach voodoo albo wywiad Krystyny Jandy, która uważa, że Polacy są leniwi. Zasadniczo jednak trudno mnie wytrącić ze stanu zblazowania.

Z radością stwierdzam jednak, że wciąż dzieją się na świecie rzeczy, od których baranieję. W ostatnich miesiącach były przynajmniej trzy takie wydarzenia. Pierwsze to udokumentowana filmowo akcja polityka Pawła Zalewskiego przeciwko rasizmowi. Otóż kierowany zapewne szlachetnymi intencjami Paweł (znamy się długo i jest to dla mnie miła znajomość) wystąpił w otoczeniu starszych pań, z których jedna ogłosiła: „Jest akcja przeciwko rasizmowi. Jemy banany!". Po czym grupka obrała banany, wykonała gest jak przy wznoszeniu toastu, a następnie zaczęła je zjadać. – Dobre! – ogłosił w finale filmu Zalewski. Surrealizmu tej sytuacji powyższy opis raczej nie oddaje, ja w każdym razie musiałem film obejrzeć kilka razy, bo nie byłem pewny, czy mój mózg nie został potraktowany jakimś spóźnionym rykoszetem z czasów burzliwej młodości.

Zalewskiego przebił premier Kanady Justin Trudeau, któremu niedawno, podczas ważnego wystąpienia publicznego, odkleiły się sztuczne brwi. Mówił, mówił, robił mądre, zatroskane miny i nagle zaczęły mu się przesuwać kiepsko doklejone brwi. Widać miał słabego brwiowego, nie tak jak były prezydent Francji Hollande, który trzymał własnego etatowego fryzjera, zarabiającego grube tysiące euro. I nikt nie pamięta, żeby Hollande miał jakiś problem z włosami. Nie pamięta się go tak po prostu. Ja bym go w każdym razie na ulicy nie poznał.

Jednak najdziwniejsza informacja jest świeża. Otóż światek lotniczy emocjonuje się spektakularną klapą rosyjskiego samolotu pasażerskiego Suchoj Superjet 100. W tym oczywiście nie ma nic zaskakującego. Szokujące jest natomiast to, że wyprodukowano ponad 130 egzemplarzy tego samolotu, który trafił do linii lotniczych z Meksyku, Włoch i Belgii. A teraz się psuje.

I to jest niesamowite. Jakim cudem dorośli ludzie, i to z poważnej branży, zdecydowali się wywalić mnóstwo kasy na techniczne urządzenie wytwarzane w Rosji. To już ładnych parę lat temu Jeremy Clarkson pisał, że made in Russia znaczy „wyprodukowane niechlujnie, po pijaku". Każdy człowiek, który miał w domu radziecki telewizor kolorowy Rubin, wie, że ruski sprzęt albo nie działa, albo zaczyna się palić. Nie bez powodu fabryki smartfonów otwiera się pod Szanghajem, a nie w Nowosybirsku.

Kupować rosyjskie samoloty pasażerskie to trochę tak, jak być premierem wielkiego kraju i przyklejać sobie sztuczne brwi do telewizji. To jest tak piękne, że aż chyba zjem dwa banany na pohybel rasizmowi. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Koniec cywilizacji

W trakcie dyskusji nad nową książką Pawła Lisickiego pojawiły się głosy na temat końca naszej cywilizacji. Jedni twierdzili, że nadchodzi, inni – że trwa, a ktoś szepnął, że już był, tylko nikt go nie zauważył.

Świadomość życia w czasach przedostatnich nachodziła ludzi wielokrotnie. U samego początku chrześcijaństwa wypatrywano dnia apokalipsy jako czegoś bliskiego i w pewnym sensie doszło do samospełniającej się przepowiedni, upadł „wielki Babilon" Rzym, a w dawnych pałacach i świątyniach wilki założyły swe siedliska.

Antyk zostawił przybyszom wartość bezcenną – chrześcijaństwo. Co zostawi współczesny Zachód – umiejętność obsługi komputera?

Współczesny kryzys moim zdaniem nie tyle różni się jakościowo od wcześniejszych (wspomnę o wielkiej zapaści czasów pokarolińskich czy kryzysie doby reformacji), ile ilościowo. Nigdy człowiek nie uzyskał takich środków technicznych zdolnych urzeczywistniać swoje mroczne wizje.

Drugim elementem jest niebywała masowość zjawisk – kiedyś moralne zepsucie dotyczyło elit, wynaturzenie rzadziej sięgało prostego ludu, zajętego w pierwszym rzędzie codzienną walką o przeżycie. Dopiero społeczeństwo dobrobytu pozwala praktycznie wszystkim żyć jak bogowie. I to bogowie zdemoralizowani.

Otwarte pozostaje pytanie: Czy świadomość owego kryzysu dociera do znaczących kręgów ludzi, a co ważniejsze, czy są jeszcze siły zdolne się przeciwstawić nieuchronnemu, zda się, biegowi wydarzeń? Byłbym pesymistą, gdyby nasza cywilizacja była na Ziemi sama. Ale nie jest.

W dodatku obcy, inni czy – odważmy się użyć tego słowa – barbarzyńcy to nie drobny procent ludzkości w stosunku do ponad 100 mln mieszkańców Imperium Romanum, ale pięć szóstych populacji. I niech nikogo nie łudzi, że przyswajając nasze zdobycze techniki, „inni" upodobnią się do nas, Germanie też nauczyli się wytopu żelaza, a Mongołowie zdobywania miast – z przyswajaniem tzw. wartości było gorzej. A przecież antyk zostawił przybyszom wartość bezcenną – chrześcijaństwo. Co zostawi współczesny Zachód – umiejętność obsługi komputera?

Ale owo zagrożenie to jednocześnie nasza największa nadzieja. Że nie upadniemy bez walki. A może nawet Ameryka Łacińska się uchowa. ©℗

eprasa.pl 358b74afb8

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

JAK NIEMCY MORDOWALI POLAKÓW W DOLINIE ŚMIERCI

Jacek Komuda – **Polscy jeźdźcy apokalipsy**
Tadeusz Kisielewski – **Jak zginął generał Sikorski**
Mikołaj Iwanow – **Krwawa dintojra w PPR**
Joshua D. Zimmerman – **Armia Krajowa i Żydzi**
Sławomir Koper – **Burzliwe związki Jana Kiepury**
Maciej Rosalak – **Heroizm Orląt Lwowskich**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Czy Mickiewicz był Żydem?**
Torbjørn Færøvik – **Ludobójstwo Mao Zedonga**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. FOTOLIA

Kościół w pułapce namiętności

Barbara Stanisławczyk

Od czasu reformacji nie zmieniły się ani namiętności targające człowiekiem, ani metoda destrukcji Kościoła od wewnątrz

Chociaż afera związana z tuszowaniem homoseksualnych skandali w Kościele katolickim, wyciągnięta na światło dzienne za sprawą listu otwartego abp. Vigano, wstrząsnęła opinią publiczną i samym Kościołem, to jej istota jest problemem starym. Co jednakże nie umniejsza jej wagi.

Trwająca od wieków wojna kulturowa i wywoływane co jakiś czas rewolucje posługują się tą samą metodą, którą E. Michael Jones określił jako „libido dominandi". Seks jako narzędzie kontroli i manipulacji społecznej. Rewolucje nie omijają Kościoła, który jest ostoją ładu moralnego i tym samym największą przeszkodą na drodze modernistycznych zapędów.

Już w okresie reformacji, która była pierwszą wielką, choć w powszechnym odbiorze nierozpoznaną i niedocenianą rewolucją, wymyślono i wprowadzono w życie tyleż genialną, ile niebezpieczną myśl – rozpal namiętności, uwolnij żądze, a będziesz rządzić światem. Luter poświęcił wiele czasu na korespondencję z osobami duchownymi, namawiając księży i zakonnice do zawierania małżeństw. Ci, łamiąc śluby czystości, chcąc usprawiedliwić swoje czyny, przechodzili do jego obozu. Spektakularnym przykładem był w Polsce Andrzej Frycz Modrzewski – będąc katolickim księdzem i prowadząc intensywną działalność reformatorską, ożenił się i miał troje dzieci, wreszcie oficjalnie wstąpił do zboru arian.

Inny katolicki ksiądz, który wpadł w pułapkę namiętności i podwójnej przysięgi: Bogu i kobiecie, wyznał swemu bratu: „Wewnątrz mnie toczy się nieustanna wojna. Często postanawiam sobie naprostować me ścieżki, ale kiedy wracam do domu, a żona i dzieci wychodzą mi na spotkanie, moja miłość do nich odzywa się silniej niż moja miłość do Boga i przezwyciężenie samego siebie staje się dla mnie niemożliwe". Rozterki księdza potwierdzają myśl św. Augustyna, który powiązał wolność z moralnością, mówiąc, że człowiek ma tylu panów, ile ma przywar. Rewolucjoniści przetworzyli tę mądrość na wspak i uczynili z niej sedno wszystkich rewolucji społecznych. W toku każdej z nich Kościół poddawany był destrukcji zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej.

Rewolucję seksualną okresu oświecenia papież Leon XIII nazwał „ewangelią przyjemności" i oskarżał o nią loże masońskie. W czasie Soboru Watykańskiego II przybrała ona nazwę i charakter, naznaczonej marksizmem, teologii wyzwolenia. Rewolucjoniści posługują się nią tak samo w świecie laickim, jak w Kościele, a jej skuteczność polega na tym, że ofiary swoich namiętności widzą tylko to, czego pożądają. Nie dostrzegają natomiast pęt, którymi są krępowani. Bezwolnie tworzą, wykorzystywane ideologicznie i politycznie, kadry walczącego progresizmu. Chcą przy tym wierzyć, że w ten sposób otwierają Kościół na zmieniający się świat i ludzi. Zdradziwszy regułę, księża i zakonnice stanowią swego rodzaju V kolumnę, która walcząc o prawo do swoich upodobań, staje na froncie wojny kulturowej po stronie wrogów Kościoła i chrześcijańskiego ładu moralnego, niszcząc Kościół od środka.

Od czasu reformacji nie zmieniły się ani namiętności, targające człowiekiem, ani metoda destrukcji Kościoła od wewnątrz, doszły tylko nowe wyzwania, wynikające z kolejnej odsłony wojny kulturowej: legalizacja homoseksualizmu, jednopłciowych małżeństw i adopcji przez nie dzieci, kościelnych rozwodów, eugeniki, w tym prawa do antykoncepcji i aborcji oraz eutanazji, a w bliskiej przyszłości inżynierii genetycznej, zmierzającej do produkcji nowego człowieka.

PROGRESIZM

Jak pisał Roberto de Mattei, „po tragedii II wojny światowej duch materializmu hedonistycznego rozwinął się i przeniknął do samego Kościoła. Po wielu cierpieniach u niektórych ludzi Kościoła powstała pewna iluzja, że nadszedł czas porzucenia Krzyża, bo był zbyt długo noszony, i odnalezienia ulgi w słowach pokoju i dobrobytu płynących ze świata. Co więcej, nawet jeżeli pasterze Kościoła ponownie potwierdzili tradycyjne zasady wiary i obyczajów, sami nie zawsze stosowali je w życiu".

eprasa.pl 358b74afb8

Progresizm coraz bardziej wdzierał się do Kościoła i się rozpychał, próbując narzucić swoje wizje i praktyki. Kiedy główne Kościoły protestanckie złagodziły swoje stanowisko w sprawach związanych z seksualnością, jedyną przeszkodą na drodze wprowadzenia na całym świecie polityki na rzecz kontroli urodzeń i ograniczenia przeludnienia stali się katolicy. Usunięcie tej przeszkody wiązało się z pozyskaniem ludzi Kościoła do tych celów, kusząc ich pieniędzmi, możliwością zrobienia kariery i zdobycia sławy, a przede wszystkim wprzęgając w seksualne uzależnienia.

W październiku 1962 r., w przededniu otwarcia Soboru Watykańskiego II, rockefellerowska rada ds. zaludnienia przyznała katolickiemu Uniwersytetowi Notre Dame dotację w wysokości 5 tys. dol. na zorganizowanie „dwudniowego spotkania, które zgromadzi przedstawicieli rozmaitych światopoglądów, religijnych i innych, w celu przedyskutowania zagadnień związanych z przyrostem naturalnym". Różnorodność światopoglądów w rzeczywistości oznaczała różnorodność środowisk, w tym katolickich związanych z Notre Dame, jednakże mówiących spójnym głosem, zbliżonym do głosu organizacji Planned Parenthood. Rektor uniwersytetu, o. Theodore Hesburgh, dążąc do zapewnienia „rzeczywistej autonomii oraz akademickich swobód" wobec wszelkich władz, tak świeckich, jak duchowych, „uwolnił" uniwersytet spod władzy Kościoła katolickiego, a kierowanie nim oddał w ręce świeckiego zarządu, co oznaczało obronę katolików przed wpływem Rzymu. Po deklaracji niezależności uczelni od Kościoła wydział teologiczny dotknęła fala skandali seksualnych, którymi wraz z upływem czasu już nikt się specjalnie nie gorszył. Jak pisze E.J. Jones, „szantaż stał się powszechnym, jeżeli nie uznanym sposobem zastraszania, co nie pozostało bez wpływu na uczelniane władze, które łamiąc katolickie zasady, zmieniły uczelnię w narzędzie ideologii, ze szkodą dla katolickich interesów politycznych i kulturalnych".

Poprzez tego typu wpływy w Kościele, dzięki kadrom uzależnionych katolickich rewolucyjnych funkcjonariuszy, dokonywało się przeniesienie obszarów myśli ze sfery religii i prawdy do sfery opinii. Najważniejszym zaś obszarem myśli religijnej, który należało oddać we władanie królowej „opinii", była moralność seksualna. I to się w jakimś stopniu dokonało i wciąż dokonuje, poszerzając krąg jej oddziaływania, w miejsce prawdy i religijnej doktryny.

W sferze opinii i wolnej interpretacji znalazł się także ogłoszony w 1966 r. list papieża Pawła VI „Motu proprio", będący uzupełnieniem soborowego dekretu, poświęconego odnowie życia zakonnego. Papież zalecał w nim osobom zakonnym, „aby przemyślały i odnowiły swe życie, a w tym celu podejmowały szeroko rozumiane eksperymenty", jednakże z zastrzeżeniem „o ile cel, natura oraz charakter tego, co ustanowione, zostanie nienaruszone". Zastrzeżenie to, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych, było powszechnie ignorowane, zgodnie z duchem czasów połowy lat 60., kiedy to dobiegający końca Sobór Watykański II dawał wielu ludziom – zarówno w kręgach kościelnych, jak i politycznych – nadzieję na rozluźnienie religijnych reguł. W USA rozpoczynała się w tym czasie rewolucja seksualna i szerzyła moda na psychoterapię. I jedna, i druga dotarły także do środowiska zakonnego.

ROZLUŹNIENIE

W myśl wewnętrznej i zewnętrznej odnowy, odrzucając przestarzały ubiór i zachowania, siostry z zakonu Niepokalanego Serca Najświętszej Marii Panny zostały poddane psychoanalitycznej grupowej terapii, zwanej „treningiem uwrażliwiającym". Oparta była na freudowskich teoriach szkodliwości religijnego ucisku, seksualnego stłumienia i miała prowadzić do otwarcia na uczucia i drugiego człowieka. Tak zawierały się przyjaźnie, które nierzadko przeradzały się w związki lesbijskie albo związki heteroseksualne z księżmi. Zakonnice zapominały o potrzebie modlitwy i uczestnictwa w mszach świętych, aż w końcu porzucały zakon na rzecz ruchu feministycznego czy lesbijskiego, którym poświęcały się równie gorliwie jak wcześniej Kościołowi. Zdarzały się również małżeństwa między zakonnicami i księżmi. W taki oto sposób tworzył się zastęp bojowników i bojowniczek progresizmu.

Trzydzieści lat później podobne grupy treningowe stały się w Niemczech trwałym elementem procesu kształcenia duchownych. Zajmujący się tym zagadnieniem Michael Weber twierdzi, że organizowanie grup treningowych w seminariach jest w istocie formą manipulacji seksualnej i rodzajem konia trojańskiego, którego celem jest umyślne niszczenie duchowego powołania i Kościołów chrześcijańskich, a w rezultacie doprowadzenie do zwycięstwa poglądu ateistycznego. Namacalnym tego dowodem jest zamknięcie w 1970 r. zakonu Sióstr Niepokalanego Serca Najświętszej Marii Panny w USA, który podjął eksperymenty w duchu postmodernistycznego odnowienia.

Arcybiskup Carlo Maria Vigano, który ujawnił homoseksualne lobby na szczytach kościelnej władzy, powiedział, że „swąd szatana, o którym mówił Paweł VI, przedostaje się do Kościoła już nie przez małe wyłomy, ale przez otwartą otchłań. Diabeł wyrabia nadgodziny".

Szeregi walczących progresistów wewnątrz Kościoła nie tylko powiększyły się do niespotykanych dotąd rozmiarów, lecz także sięgnęły najwyższej hierarchii. Kardynałowie Cupich, Tobin i Schönborn oficjalnie popierają gejowską kulturę i chcą jej otworzyć drogę do kapłaństwa, wbrew wciąż obowiązującej instrukcji Benedykta VI z 2005 r. Podczas IX Światowego Spotkania Rodzin w Dublinie ks. James Martin, amerykański jezuita, prowadzący duszpasterstwo w środowisku LGBT, chwalił się, że dwóch członków grupy wstępuje właśnie do zakonu. Biskup Bode proponuje błogosławienie par homoseksualnych. Arcybiskup Vigano w swym liście otwartym wymienił listę nazwisk wysokich hierarchów Kościoła, którzy należą do nurtu homoseksualnego, dążącego do obalenia katolickiej nauki o homoseksualizmie. Biskup Robert Morlino uważa, iż „nadszedł czas, aby przyznać, że wśród hierarchii Kościoła katolickiego istnieje homoseksualna subkultura, która dokonuje wielkich zniszczeń w winnicy Pana". Tym bardziej że z opublikowanych w 2004 r. niezależnych badań „John Jay Report" wynika, iż ponad 90 proc. księży katolickich skazanych w USA za wykorzystywanie seksualne dzieci było homoseksualistami, a 81 proc. ofiar pedofilii stanowili chłopcy.

Zakres oczekiwań i nacisków ze strony katolickich progresistów jest dużo większy. Grupa niemieckich duchownych i osób świeckich wystąpiła z inicjatywą „pro concilio", niczym w latach 60., nawołującą Kościół katolicki do odnowienia w „duchu soborowym". Domagają się oni święceń kapłańskich dla żonatych mężczyzn oraz ponownego przemyślenia kościelnej moralności seksualnej. Podczas wizyty w Irlandii papież Franciszek potępił moralny nieład w Kościele, jednak winą za jego szerzenie obciążył nie homoseksualizm, lecz klerykalizm.

Być może jesteśmy świadkami ostatniej, a może tylko kolejnej, za to poważnej batalii o przyszłość Kościoła i cywilizacji chrześcijańskiej. Czy przyszedł czas na nową kontrreformację?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 358b74afb8

Powstanie
nie tylko warszawskie

FOT. EAST NEWS

Adam Hlebowicz

Powstanie Warszawskie jest dla Polaków jednym z najważniejszych wydarzeń w historii. Jak to się stało, że cały naród tak się identyfikuje z walkami w stolicy?

Polacy zapytani w listopadzie 2017 r. przez Narodowe Centrum Kultury, jakie święta narodowe są dla nich najważniejsze, wskazali daty – 11 listopada, 3 maja, 1 sierpnia (w tej właśnie kolejności). O ile dwie pierwsze daty nie mogą zaskakiwać – święta odzyskania niepodległości w 1918 r. i uchwalenia Konstytucji 3 maja w 1791 r. to nasze dwa najważniejsze narodowe święta – o tyle już trzecia data, rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego – tak. Nie żeby deprecjonować 63 dni walki powstańców czy heroizm mieszkańców stolicy, ale takie daty jak 1 września, 17 września, 15 sierpnia czy 31 sierpnia wydają się mieć większy wpływ na nasze dzieje niż jeden z kilku zrywów powstańczych w obronie wolności i niepodległości.

FENOMEN POWSTANIA

Badanie socjologiczne to badanie odczuć, opinii, a nie stwierdzenie, jak być powinno. Współcześni Polacy z jakiegoś ważnego dla siebie powodu uważają, że to, co się wydarzyło w Warszawie pomiędzy 1 sierpnia a 2 października 1944 r., jest dla nich ważne, w istotnym stopniu buduje narodową tożsamość współczesnego narodu polskiego. Ten wynik ankiety NCK wskazuje też, jak istotną rolę poznawczą i światopoglądową może odgrywać nowoczesna placówka muzealna, jaką jest Muzeum Powstania Warszawskiego. Roczna frekwencja osób odwiedzających Muzeum PW to ponad 700 tys. ludzi, w tym znaczny procent to obcokrajowcy. Efekt ten wskazuje na pilną potrzebę tworzenia kolejnych podobnych ośrodków, które będą prezentować słabo poznane, zapomniane lub wręcz nieznane fragmenty polskiej historii. Oczywiście do dzieła popularyzacji wiedzy o Powstaniu Warszawskim przyczyniło się wiele innych instytucji, jak choćby istniejący od 18 lat Instytut Pamięci Narodowej ze swoimi oddziałami i delegaturami w całej Polsce, prowadzący od kilku lat np. akcję odnajdywania

eprasa.pl 358b74afb8

i porządkowania grobów powstańczych znajdujących się na terenie Rzeczypospolitej. Można tu wspomnieć cenną inicjatywę – BohaterON, polegającą na wysyłaniu kartek z życzeniami żyjącym powstańcom, oraz wiele innych pomysłów i ich realizacji odwołujących się do etosu powstańczego.

W PRL powstanie było deprecjonowane, niestety niewiele lepsza narracja niektórych środowisk towarzyszyła pamięci o tym wydarzeniu w pierwszych latach wolnej Polski po 1989 r., żeby przypomnieć kilka głośnych artykułów z lat 90. na łamach „Gazety Wyborczej" (wtedy pojawiło się także takie stwierdzenie: „W Powstaniu Warszawskim AK i NSZ wytłukły mnóstwo niedobitków z getta"). Warto zadać sobie zatem pytanie: Co takiego ważnego się stało, że Polacy obecnie tak bardzo doceniają zmagania powstańcze i heroizm ludności cywilnej stolicy?

JAK ZMIENIAŁA SIĘ PAMIĘĆ O POWSTANIU?

Bezpośrednio po wojnie trauma niedawnych wydarzeń, świeża pamięć o stratach ludzkich, Palmiry i Katyń, Auschwitz i łagry, Zamojszczyzna i deportacje sprawiły, że powstanie w Warszawie traktowane było jak jedno z wielu bardzo bolesnych doświadczeń II wojny światowej. Ci, którzy przeżyli, zajęli się w pierwszej kolejności ekshumacjami kolegów i zebraniem podstawowych faktów odnośnie do poszczególnych oddziałów czy zwyczajnie losów jednostek, bez rozróżniania, czy walczyli z bronią w ręku, czy po prostu byli w tym czasie w stolicy. Co ciekawe, pierwszy pomnik poświęcony Powstaniu Warszawskiemu postawiono w Słupsku, na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Obelisk stanął w lipcu 1945 r. z inicjatywy żołnierzy powstańczych, którzy przybyli do tego pomorskiego miasta, w tym jednego z legendarnych kapelanów AK czasu powstania, ks. Jana Ziei, który przez pierwsze cztery lata powojenne tutaj właśnie mieszkał.

Represje komunistyczne, zwłaszcza po 1948 r. wobec kolejnych środowisk kombatanckich, zatrzymały proces zbierania relacji i dokumentowania powstania. Krótka odwilż po 1956 r. pozwoliła nareszcie na oficjalne świętowanie 1 sierpnia, ale już wtedy wyraźnie różnicowano złe dowództwo uzależnione od mocodawców z Londynu od naiwnych zwykłych żołnierzy. Ofiarą, także ze strony tego fatalnego dowództwa, według ówczesnej oficjalnej linii propagandowej, była ludność cywilna.

Pamiętam późne lata 70., gdy wraz z kolegami z liceum jeździliśmy 1 sierpnia do Warszawy z odległego Trójmiasta, żeby na Powązkach spotkać żywych bohaterów tamtych wydarzeń i oddać hołd tym, którzy polegli. Oba cmentarze powązkowskie były w tym czasie enklawą, gdzie odnajdywało się atmosferę wolnej Polski, całkowicie odmienną od tego, co mówiły na temat powstania PZPR-owska władza i ówczesne media. Zmagania o prawdę na temat powstania sierpniowego dobrze ilustrują losy pomnika Gloria Victis na Wojskowych Powązkach i manifestacji, które się pod nim odbywały w kolejne rocznice wybuchu walk powstańczych.

Gdy w sierpniu 1980 r. robotnicy ze stoczni w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie zakładali na swoje rękawy biało-czerwone opaski, coś w zbiorowej pamięci ożyło. Skąd znamy te symbole? Walka była inna, bez broni, z mocnym postanowieniem, że tym razem wygramy, posługując się odmiennym orężem niż powstańcy z 1944 r. Gwoli prawdy historycznej trzeba dodać, że już powstańcy wielkopolscy, a potem śląscy, z braku jednolitego umundurowania także zakładali na rękawy biało-czerwone opaski. Solidarność, wśród wielu innych tematów z naszych najnowszych dziejów, przywróciła pamięć o powstaniu. 1 sierpnia 1981 r. był największym do tamtej chwili uhonorowaniem zrywu powstańczego.

Spór o to, czy decyzja o wybuchu powstania była słuszna, trwał nadal. Pamiętam, jak na KUL (to już lata 80.) odbyła się niezwykła dyskusja pomiędzy prof. Tomaszem Strzemboszem a przybyłym z Londynu prof. Janem Ciechanowskim na temat genezy, słuszności i przebiegu powstania. Strzembosz, co wielokrotnie przerabialiśmy na seminarium magisterskim, bronił decyzji o konieczności wybuchu walk w stolicy. Ciechanowski – wręcz przeciwnie. Uważał, że był to zryw samobójczy, który doprowadził do ogromnych strat ludzkich i materialnych, nie do odrobienia przez kolejne dziesięciolecia. Londyński historyk obciążał winą głównie dowództwo AK. Była to niezwykle interesująca dyskusja, ale KUL tego okresu był jednym z bardzo niewielu miejsc, gdzie taka wymiana zdań była możliwa. Musiało minąć ponad 20 lat, żeby powstańcy znaleźli właściwe miejsce w pamięci narodowej.

Dlaczego lokalne wydarzenie, nawet o tak strasznych skutkach jak decyzja Adolfa Hitlera o całkowitym wymordowaniu ludności cywilnej Warszawy, potem o wysiedleniu tych, którzy ocaleli z hekatomby, wreszcie o planowej akcji doszczętnego wyburzenia miasta, tak mocno wryło się w pamięć historyczną Polaków? Dlaczego Powstanie Warszawskie, tak nieraz wściekle atakowane, dzisiaj nie wzbudza już tych polemik, nawet ze strony środowisk, które jeszcze niedawno to konsekwentnie czyniły? To z pewnością zwycięstwo zza grobu wielu tych, którzy się przez dziesięciolecia o tę pamięć upominali. Pamięć o powstaniu czci się inaczej w samej Warszawie, choć przecież warszawiaków z dziada pradziada mieszka tu naprawdę niewielu. Godzina W – wycie syren, wychodzenie kierowców z samochodów na głównych rondach i skrzyżowaniach miasta – to musi robić wrażenie. Jednak od pewnego czasu i w innych częściach Polski, zwłaszcza w dużych miastach, jest to obchodzona i czczona rocznica.

Trzeba zauważyć, że w czasie wojny w największym mieście Generalnego Gubernatorstwa nie z własnej woli znalazło się wiele tysięcy Polaków wysiedlonych z Pomorza, ze Śląska czy z Wielkopolski. Były to setki tysięcy osób. Wspomnę tu jedną rodzinę Milewskich, Polaków z Gdańska, matkę i trzech synów, z których dwóch najstarszych poległo w powstaniu, walcząc w szeregach Batalionu „Zośka". Najstarszy, Tadeusz Milewski, jeszcze przed powstańczym zrywem opowiadał swoim kolegom z oddziału, że kiedyś wróci do rodzinnego miasta i będzie tam nauczał języka polskiego. W GG znalazło się wieleset takich rodzin. Moja rodzina ze strony mamy, Makowscy z Kruszwicy, podobnie. Cała rodzina, rodzice i czwórka potomstwa, wszystkie dzieci, córki już dorosłe, synowie nastolatkowie walczyli jako żołnierze powstania i – to prawdziwy cud – wszyscy, łącznie z rodzicami, przeżyli. Ile było takich rodzin? Dla ilu ludzi z całej Polski, Kresów Wschodnich, Pomorza, Małopolski doświadczenie stolicy stało się ich własnością? Wielu tych ludzi wróciło po wojnie w swoje strony. Oni ponieśli tam to szczególne dziedzictwo. Z biegiem lat wielu bohaterów powstania umierało i byli chowani na cmentarzach na terenie całej Polski, ba, całego świata, bo przecież groby, a zatem i pamięć o nich, znajdują się na wszystkich kontynentach.

eprasa.pl 358b74afb8

Te migracje, tworzone tam środowiska, publikacje, przez lata umacniały pamięć o powstaniu.

POMOC Z TERENU

Trzeba też zauważyć, że w ramach akcji „Burza" powstanie w Warszawie traktowane było przez wielu ludzi jako powstanie ogólnonarodowe. Wiemy, że „Burza" rozpoczęła się najpierw na kresach, potem miała swoje odsłony w wielu innych miejscowościach Polski, jednak to najważniejsze wydarzenie miało się rozegrać w stolicy. Było sporo konspiratorów, nie tylko z szeregów Armii Krajowej, którzy celowo przybywali w ostatnich dniach lipca do Warszawy, żeby wziąć udział w tej, jak się wielu wydawało, decydującej bitwie o wolną Polskę. Przyjeżdżali z Częstochowy, Kielc, Krakowa, Łodzi, z Wilna i ze Lwowa.

Wspomnieć trzeba zwarte oddziały AK, które przed 1 sierpnia zdążały do stolicy, żeby wziąć udział w walkach. Najbardziej znanym jest oddział por. Adolfa Pilcha ps. Góra oraz Dolina, który przemierzył ok. 400 km z lasów stołpeckich z krańców wschodnich II RP, żeby po wielu perypetiach dotrzeć w lipcu 1944 r. do lasów kampinoskich. To było 861 ludzi, umundurowanych i dobrze uzbrojonych. Już w trakcie powstania dowódca AK gen. Tadeusz Bór-Komorowski wydał 14 sierpnia 1944 r. rozkaz nakazujący wszystkim podległym oddziałom marsz na pomoc stolicy. Zadanie to było dla ogromnej większości oddziałów niewykonalne, część z nich, jak np. żołnierze 30. Dywizji Piechoty AK Okręgu Polesie, została po drodze do Warszawy rozbrojona przez Armię Sowiecką. Mimo to przyjmuje się, że łącznie ok. 15 tys. żołnierzy AK różnych zgrupowań wyruszyło na pomoc Warszawie. Do walk powstańczych, niesłusznie przez wielu pomijanych, trzeba dodać bitwy, które się rozegrały w Puszczy Kampinoskiej, te zwycięskie z Aleksandrowa i Truskawia, a także klęski, jak ta z Jaktorowa, nie mówiąc już o udziale żołnierzy Grupy „Kampinos" w walkach o Dworzec Gdański. Z pewnością ci ludzie chcieli walczyć, ich pamięć o wydarzeniach z sierpnia–października 1944 r. także przyczyniła się do popularyzacji idei powstania zarówno w tym okresie, jak i po wojnie.

EXODUS – KTO POMAGAŁ?

Nie sposób mówić o powstaniu bez wspomnienia o losie ludności cywilnej.

Obchody rocznicy Powstania Warszawskiego na Kopcu Powstania Warszawskiego

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

Wysiedlana z poszczególnych dzielnic Warszawy już od początku zmagań powstańczych, od 6 sierpnia, przechodziła obóz Dulag w Pruszkowie. Szacuje się, że przez to miejsce od sierpnia do końca roku 1944 przeszło ponad 400 tys. ludzi, w tym ok. 3 tys. to powstańcy. Pomoc, którą ci wysiedleńcy otrzymali ze strony miejscowych, przeszła wszelkie wyobrażenia. Ludzie, którzy tak samo doświadczali okropieństw wojny od pięciu lat, cierpieli głód, nie mieli jak wykarmić swoich bliskich, nagle stanęli przed wyzwaniem, w jaki sposób pomóc tysiącom, setkom tysięcy sióstr i braci, którzy mają jeszcze gorzej. Pomagano w ucieczkach z Dulagu, w ciągu kilku miesięcy zbiegło stamtąd kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Pobyt w obozie był krótki, dwu–trzydniowy, nikt nie prowadził szczegółowej ewidencji, było to zatem możliwe. Jednak pomagał nie tylko Pruszków. Otwock, Milanówek – niektórzy żartowali, że w tym czasie, jesienią i zimą 1944/1945, to była właściwa stolica Polski, z uwagi na obecność wielu znaczących uchodźców z Warszawy – Józefów, Podkowa Leśna. A za chwilę pomoc wysiedlonym warszawiakom okazywali mieszkańcy Częstochowy, Kielc, Krakowa, Miechowa, Lublina. To było gigantyczne wsparcie. To nie tylko kubek gorącej wody czy kromka chleba, ale nocleg, choćby na sianie, wielokrotnie żywienie i opieka przez tygodnie, miesiące. To była niezwykła, niemająca precedensu wcześniej ani później lekcja solidarności narodu polskiego. Oczywiście były też głosy: „Dobrze wam, warszawiakom! Po co było się porywać z motyką na słońce?", żerowanie na biedzie i poniewierce, to jednak margines. Szlak uchodźców z Warszawy wiódł do bardzo wielu miejsc. Powstańcy trafiali do oflagów, stalagów, obozów koncentracyjnych. Ludność cywilna, a wśród nich wielu ukrytych powstańców – na teren niemal całej Polski, wielu do Niemiec.

Od kilku lat w Warszawie i Pruszkowie w okolicach 2 października, czyli dnia kapitulacji powstania, odbywają się połączone ze sobą marsze „Tędy przeszła Warszawa", będące hołdem dla mieszkańców stolicy, a także wszystkich ludzi, którzy zaangażowali się w pomoc dla jeńców i wypędzonych. To ważne, aby w tym wydarzeniu brało udział jak najwięcej osób, żeby wiedza o tamtym czasie została przekazana następnym pokoleniom. Bo to zbiorowe przeżycie doświadczeń Powstania Warszawskiego i czasu tuż po nim umknęło w dużej mierze ze społecznej pamięci. Ta pamięć była wymazywana przez odpowiednie służby w PRL, przez administrację państwową, jeśli przetrwała, to tylko w świadomości uczestników tych dramatycznych chwil.

SPUŚCIZNA DUCHOWA

Czym jest dzisiaj powstanie w Warszawie? Czy jego nazwa – utrwalona i nie do zmienienia – dobrze oddaje istotę sprawy?

W pierwszych latach powojennych, zwłaszcza na emigracji, używano często określenia „powstanie sierpniowe". No bo skoro były zrywy listopadowe i styczniowe… Niektórzy publicyści i historycy współcześnie także powrócili do tej nazwy. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że najlepiej ideę tamtego czasu oddawałoby określenie „Powstanie Narodowe 1944". Nie, żeby coś odbierać Warszawie i warszawiakom, miejsca tego dramatu narodowego nikt i nic nie zmieni, nikt także nie odbierze szczególnego etosu mieszkańcom stolicy. Inną rzeczą jest, że z przedwojennej ludności miasta bardzo niewiele osób w nim pozostało lub – precyzyjniej mówiąc – wróciło do niego po zakończeniu działań wojennych. Wielu, także tych najbardziej oddanych i związanych z Warszawą, po prostu nie chciało wracać do ruin swojego dawnego świata. Wspomnienia były zbyt bolesne. To oni jednak przenieśli pamięć o bohaterskim i umęczonym mieście i jego niezwykłych 63 dniach do innych miast, krajów, na inne kontynenty.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl 358b74afb8

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Szpiedzy są wśród nas

Cytat z sir Alexandra Cadogana: „Gdyby wszystkie archiwa wywiadów zostały udostępnione, trzeba by było na nowo pisać historię świata" posłużył jako motto nowej książki Tadeusza A. Kisielewskiego. Jest to cytat wyjątkowo trafny. I dotyczy także, a może przede wszystkim, historii Polski. Otwarcie archiwów byłych sowieckich tajnych służb wywołałoby w naszym kraju prawdziwe trzęsienie ziemi i postawiło historię Polski na głowie.

Na to jednak na razie się nie zapowiada. Historycy zmuszeni są więc rekonstruować wydarzenia z nielicznych dostępnych elementów układanki. Tadeusz A. Kisielewski – niestrudzony badacz katastrofy gibraltarskiej – jest mistrzem w tym fachu. Jego nowa książka „Uwaga, szpieg!" to znakomita, pełna nieznanych faktów opowieść o najbardziej brawurowych operacjach i najgłębiej skrywanych tajemnicach światowych tajnych służb.

Autor prowadzi nas od czasów biblijnych (tak, wtedy również szpiegowano!) przez Rzym, średniowiecze, opricznine Iwana Groźnego do największych afer szpiegowskich XIX i XX w. W książce jest oczywiście mnóstwo polskich wątków. Choćby rozdział poświęcony polsko-japońskiej współpracy wywiadowczej, która trwała aż do roku 1944!

„Polska wypowiedziała wojnę Japonii 11 grudnia 1941 roku bardzo niechętnie i pod naciskiem aliantów – pisze Kisielewski. – W najmniejszym stopniu nie wpłynęło to na dalszą owocną i przyjazną współpracę wywiadowczą Polaków i Japończyków. Rząd Japonii wypowiedzenia wojny po prostu nie przyjął do wiadomości. Dziś można czasem natknąć się na wypowiedzi potępiające tę współpracę. Są one bezsensowne. Polska miała dwóch wrogów, a współpraca polskiego wywiadu z japońskim polegała na wymianie informacji dotyczących wyłącznie ich obu. Ścisła współpraca polskiego wywiadu z wywiadami anglosaskimi była obowiązkiem. Ograniczona współpraca z wywiadem japońskim była przyjemnością".

„Uwaga, szpieg!" to najciekawsza książka Kisielewskiego od czasu głośnego „Zamachu". ©℗

★★★★★★

TADEUSZ A. KISIELEWSKI
„UWAGA, SZPIEG! DZIEJE WYWIADU OD NOEGO DO BONDA"
REBIS 2018

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

W kręgu filomatów

Jednym z najbardziej zakłamanych epizodów w dziejach Polski są losy wileńskiego Towarzystwa Filomatów. Z jego członków zrobiono bojowników o niepodległość, wrogów carskiego samodzierżawia, co nie było prawdą. Założone 1 października 1817 r. towarzystwo miało za cel wyłącznie rozwój moralny i samokształcenie.

Tylko imieniny lub urodziny jednego z nich były okazją do imprez

Faktycznie było tajne, ale władze carskie negatywnie odnosiły się do wszelkiego rodzaju nowych stowarzyszeń i rejestracja ich była wyjątkowo uciążliwa. Zatem podczas spotkań filomatów tajnie czytywano Herodota (którego „Dzieje" były w programie miejscowego uniwersytetu), tłumaczono tajnie Woltera, oficjalnie wydawanego w Wilnie.

Specyficzny koloryt wnosił Onufry Pietraszkiewicz, najstarszy z filomatów (o pięć lat starszy od Mickiewicza). Nie mając złudzeń co do własnego talentu literackiego, zadowolił się rolą wodzireja życia towarzyskiego. Zawsze wiedział, gdzie w Wilnie można najtaniej zakupić alkohol (miał wyjątkowo mocną głowę), jakie zioła należy zażyć po wieczornym pijaństwie. Doskonale orientował się w topografii miejscowych lokali – znał miejsca, gdzie można niedrogo i dobrze zjeść, wiedział, które domy uciech seksualnych są dostępne dla studenckiej kieszeni. Podobno sprowadzał na złą drogę niewinnego Jana Czeczota, który po wypadach z Onufrym miewał wyrzuty sumienia („proszę mi więcej, na miłość braterską, trunkiem rozumu nie durzyć"). Jego korespondencja z kolegami obfitowała w opisy scen erotycznych w powozach – namiętnych pocałunków, „białych i toczystych piersi" przygodnych partnerek. Pietraszkiewicz nie potrafił kochać platonicznie, chociaż czasami wyrażał z tego powodu ubolewanie.

I chociaż w Wilnie naliczono w tym czasie ponad 800 punktów z wyszynkiem (29 zajazdów, 45 jadłodajni, 19 restauracji, 61 kawiarni, 35 piwiarni i 614 szynków na 20 tys. mieszkańców!), to filomaci rzadko mogli sobie pozwolić na zabawę zakrapianą alkoholem. Praktycznie tylko imieniny lub urodziny jednego z nich były okazją do imprez, ale odbywały się one w warunkach domowych lub na łonie natury. Spożywano wówczas najtańsze wino muszkatołowe (80 kopiejek za garniec – ok. 3 litrów) i faktycznie hucznie świętowano. Pod wpływem trunków rozluźniała się atmosfera, Zan tańczył z Pietraszkiewiczem, recytowano swobodne wiersze, nie szczędząc sobie żartobliwych docinków. To właśnie wtedy pojawiły się pierwsze improwizacje Mickiewicza, którymi z czasem zadziwił Europę. On też miał w III części „Dziadów" na wieki unieśmiertelnić kolegów – filomatów. ©℗

eprasa.pl 358b74afb8

Nadchodzą Strażnicy

Wojciech Wybranowski

W przededniu setnej rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę nagrodą przyznawaną przez „Do Rzeczy” uhonorowani zostaną artyści, społecznicy i mecenasi wspierający polską historię oraz popularyzujący dzieje Rzeczypospolitej

Zbliża się szósta edycja prestiżowego konkursu historycznego Strażnik Pamięci 2018. Czołowi historycy, publicyści, dziennikarze i społecznicy zebrani w powołanej pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy” kapitule kolejny raz wyłonią najlepszych z najlepszych: twórców, działaczy i animatorów społecznych, instytucje publiczne i prywatne oraz mecenasów, którzy w sposób szczególny w minionym roku upamiętniali, wspierali polską pamięć i dumę historyczną, bohaterów naszych dziejów i szczególnie ważne miejsca pamięci narodowej.

Statuetkami Strażnika Pamięci uhonorujemy tych spośród zgłoszonych przez naszych czytelników kandydatów, którzy – jak mówił były prezydent RP na Uchodźstwie śp. Ryszard Kaczorowski – „biało-czerwoną noszą godnie i wysoko”.

Kto spośród zgłoszonych przez czytelników tygodnika kandydatów zostanie laureatem, rozstrzygnie się 8 października. Oficjalne wręczenie statuetek, poprzedzone uroczystą, pełną poezji, muzyki i oczywiście polskiej historii Galą Strażnika Pamięci, odbędzie się 6 listopada, niemal w przededniu 100. rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę.

WŚRÓD PIERWSZYCH TWÓRCY „CZASU HONORU”

Pomysł Strażnika Pamięci, przyznawanego pod patronatem „Do Rzeczy” (pracami kapituły konkursowej kieruje redaktor naczelny tygodnika Paweł Lisicki), pojawił się, zanim w Polsce zaczął się wielki boom na historię i zanim patriotyczny nurt wciągnął rzesze młodych ludzi. Byliśmy wśród prekursorów odnowy zainteresowania dziejami Rzeczypospolitej, a z pewnością pionierami i prekursorami tego trendu byli laureaci pierwszej edycji Strażnika Pamięci – nagrody przyznanej kilka miesięcy po tym, gdy powstał nasz tygodnik.

Pierwszymi Strażnikami Pamięci w 2013 r. zostali (wyłonieni spośród ponad 170 zgłoszonych twórców, 60 instytucji i 20 mecenasów) autorzy popularnego serialu „Czas honoru” przybliżającego młodzieży historię żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego. Kapituła doceniła ich za serial, który przywraca wiarę w to, że można uczciwie opowiadać o polskiej historii. Statuetkami uhonorowaliśmy również Instytut Pamięci Narodowej, Ministerstwo Sprawiedliwości, Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie i Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa – za przełomowy projekt ekshumacji w Kwaterze „Ł” na warszawskich Powązkach, a także Bank Zachodni WBK – za pomoc w kultywowaniu polskiej tradycji niepodległościowej: od powstania styczniowego do czasów współczesnych. Pamiątkowe statuetki wręczono wówczas w Teatrze Stani-

eprasa.pl 358b74afb8

Laureaci, goście i organizatorzy podczas ubiegłorocznej gali wręczania wyróżnień Strażnik Pamięci
FOT. RADOSŁAW NAWROCKI

Pamięci 2018

sławowskim w warszawskich Łazienkach, a galę, którą poprowadzili Anna Popek oraz Paweł Lisicki, swoim występem uświetnili Kasia Kowalska i Dariusz Malejonek z projektem „Panny Wyklęte”.

ZA FLAGĘ I MUZYKĘ

Rok później prestiżowe statuetki Strażnika Pamięci 2014, przyznane podczas uroczystości w Arkadach Kubickiego, otrzymali: w kategorii „Twórca” – prof. Andrzej Nowak, za konsekwencję, stanowczość i odwagę w pokazywaniu historii Polski; w kategorii „Instytucja” – portal Polskieradio.pl, za propagowanie na wysokim poziomie treści historycznych, i wreszcie w kategorii „Mecenas” nagrodę otrzymała firma Tauron Polska Energia, za finansowe wsparcie, dzięki któremu możliwa była produkcja filmu „Jack Strong” opowiadającego o losach Ryszarda Kuklińskiego. – Pragniemy uhonorować osoby i instytucje, dzięki którym polska historia wychodzi z kart podręczników, dzięki którym wydarzenia z przeszłości żyją w naszej pamięci, dzięki którym możemy być dumni, że przyszło nam żyć właśnie w Polsce – mówił wówczas Paweł Lisicki.

Po wyborach w 2015 r. nagrodę Strażnika Pamięci honorowym patronatem objął prezydent Andrzej Duda. Wśród wyróżnionych statuetkami znalazł się wówczas – uhonorowany w kategorii „Twórca” – muzyk Dariusz Malejonek wraz z popularnymi rockowymi artystkami za albumy muzyczne: „Panny Wyklęte” oraz „Panny Wygnane vol. 1 i vol. 2”. Strażnikami Pamięci 2015 zostali także Maciej Świrski, założyciel Reduty Dobrego Imienia (za powołanie stowarzyszenia, które – jak uzasadniała kapituła konkursu – w skuteczny sposób stara się walczyć o obronę dobrego imienia Polski), a także Artur Nowakowski i Bogdan Kaczmarek, sponsorzy Masztu Wolności na rondzie Zgrupowania AK „Radosław” w Warszawie, czyli najwyżej zawieszonej biało-czerwonej flagi w Polsce.

Z każdym rokiem nasz plebiscyt stawał się coraz bardziej prestiżowym konkursem w Polsce. Jego znaczenie i wybór laureatów doceniali także bohaterowie naszej niepodległości. – To wyraz uznania dla tych, którzy przypominają o pięknych kartach naszej przeszłości. Stawiają opór polityce wstydu historycznego, zabijaniu naszej tożsamości. Bo kto nie zna dziejów swojej ojczyzny, nauki o życiu swojego narodu, nie umie wyciągać z niej wniosków i unikać popełniania starych błędów, ten nie jest wart złamanego szeląga – mówił przed edycją Strażnika Pamięci 2016 gen. Jan Podhorski, powstaniec warszawski i żołnierz NSZ, ulubieniec młodego pokolenia Polaków.

W tamtym roku statuetki Strażnika Pamięci otrzymali: twórcy głośnego filmu „Wołyń” w reżyserii Wojciecha Smarzowskiego – za wybitny wkład w przypomnienie o tragedii ludności polskiej na Wołyniu i Polesiu; a w kategorii „Instytucja” historycy stowarzyszenia Memoriał, m.in. za ich wkład w badanie zbrodni katyńskiej. – Strażnik Pamięci w czwartym roku istnienia nagrody nabrał wymiaru międzynarodowego i uniwersalnego – mówiła Aleksandra Ciejek, prowadząca z Rafałem A. Ziemkiewiczem ówczesną galę. W 2016 r. nagrodzono też w kategorii „Mecenas” przedstawicieli Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych.

PO RAZ PIĄTY

Ubiegłoroczna edycja Strażnika Pamięci była małym jubileuszem, bo nagrody osobom i instytucjom zasłużonym dla promocji polskiej historii wręczaliśmy już po raz piąty. Udział w gali na Zamku Królewskim w Warszawie wzięli wówczas m.in. marszałek Sejmu Marek Kuchciński, sekretarz stanu w kancelarii premiera Paweł Szefernaker, przedstawiciele organów państwa, instytucji rządowych, kulturalnych, naukowych i artystycznych.

Statuetkę Strażnika Pamięci 2017 w kategorii „Twórca” otrzymał wybitny poeta i prozaik Jarosław Marek Rymkiewicz. – Polskość to jest straszna siła duchowa i to nie my ją wybieramy, bo nie możemy tu niczego wybierać. To ona nas wybiera, ona chce nas mieć i wtedy nas wybiera – mówił poeta w przejmującym wystąpieniu, chwilę po odebraniu pamiątkowej statuetki.

Strażnikami Pamięci w 2017 r. zostali także działacze Stowarzyszenia Rodzina Ponarska – za olbrzymi wysiłek wkładany w to, by pamięć o zbrodni w Ponarach przetrwała, oraz Fundacja PGNiG – za projekt „Rozgrzewamy polskie serca”, a także Maciej Radziwiłł – za kultywowanie pamięci o dziejach I i II Rzeczypospolitej.

Kto w tym roku podniesie z dumą statuetkę Strażnika Pamięci 2018, przekonamy się już niebawem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 358b74afb8

Włochy bliżej

Z Maxem Ferrari, dziennikarzem, ekspertem włoskiej Ligi ds. międzynarodowych, doradcą prezydenta Lombardii Attilio Fontany
rozmawia Olivier Bault

OLIVIER BAULT: Podczas spotkania pod koniec sierpnia w Mediolanie Matteo Salvini i Viktor Orbán zdawali się przemawiać do całej Unii jednym głosem, zwłaszcza na temat imigracji oraz stosunku do Brukseli i do prezydenta Francji Emmanuela Macrona. Czy stanowisko ministra spraw wewnętrznych jest jednak tożsame ze stanowiskiem włoskiego rządu? Niektórzy w Ruchu Pięciu Gwiazd (M5S) twierdzili, że nie, chociażby szef grupy M5S w senacie, który nazwał to „spotkaniem politycznym".

MAX FERRARI: To prawda, że nie był to szczyt międzyrządowy i że stanowisko formułowane przez Matteo Salviniego wyrażało punkt widzenia Ligi, a niekoniecznie włoskiego rządu. Nie można jednak zapomnieć, że Salvini jest jednocześnie szefem Ligi i wicepremierem. Tych funkcji nie da się całkowicie rozdzielić. To także jako minister spraw wewnętrznych i wicepremier spotykał się z premierem Węgier.

Poza tym badania opinii publicznej pokazują coraz większe poparcie dla Ligi, która wyprzedza teraz naszego koalicjanta i jest w sondażach na pierwszym miejscu. Odnosi się podobne wrażenie, gdy się rozmawia z ludźmi na ulicy. W samym rządzie i poza nim to, co robi Salvini w sprawie imigracji, cieszy się dużym poparciem także wewnątrz M5S. Prawe skrzydło tej partii, o światopoglądzie bardziej zbieżnym z poglądami Ligi, zaczyna coraz bardziej dominować. Jeśli chodzi o politykę imigracyjną, to główna różnica między Ligą a M5S dotyczy podejścia do mechanizmu relokacji: M5S jest za, a Liga chce po prostu, podobnie jak rząd Węgier i jego partnerzy z V4, zatrzymać całkowicie nielegalną imigrację. Zdajemy sobie sprawę, że zgoda na relokację byłaby złym sygnałem. Dlatego dobrze rozumiemy kraje V4, gdy te odrzucają ten mechanizm. Wiemy dobrze, że powodem nie jest egoizm ani rasizm. W tym zakresie Lidze dużo bliżej do Orbána niż naszemu partnerowi koalicyjnemu.

Liga zwraca też tradycyjnie większą uwagę na to, co się dzieje w Europie Środkowej. Jesteśmy mocno zaangażowani na Morzu Śródziemnym i w pewnym sensie zderzamy się tam czołowo z interesami francuskimi, gdyż chcemy, aby Włochy stały się znowu ważnym aktorem w tym regionie. Chcemy być obecni w Libii i chcemy prowadzić bezpośrednie rozmowy z Egiptem, Arabią Saudyjską oraz ze wszystkimi krajami Afryki Północnej, tak abyśmy mogli panować nad sytuacją na Morzu Śródziemnym niezależnie od Macrona.

Jednakże „głowa" półwyspu włoskiego jest głęboko zakotwiczona w układzie środkowoeuropejskim. Nasi północni sąsiedzi to Austria i Węgry, a także – dalej na północy – takie kraje jak Polska. Musimy znaleźć sposób na to, aby współpracować z Europą Środkową i stworzyć razem nową Unię Europejską, bazującą na naszych zasadach, a nie na zasadach lewicy.

Włoska Liga, zasiadająca obecnie w Parlamencie Europejskim u boku Francuzki Marine Le Pen, chce po następnych wyborach reformować Unię przy udziale węgierskiego Fideszu i polskiego PiS?

Osobiście uważam, że węgierski Fidesz i partia Kaczyńskiego w Polsce są bardzo podobne do Ligi. W Lidze mamy nadzieję, że uda nam się znaleźć formułę oficjalnej współpracy z Fideszem i PiS po wyborach do Parlamentu Europejskiego. U nas nikt nie uważałby za dziwną takiej koalicji partii tzw. populistycznych. Przymiotnik „populistyczny" nie jest dla nas obraźliwy. Przeciwnie: ma wydźwięk pozytywny, gdyż oznacza, że działamy dla dobra naszego narodu.

A zatem dobrze by było, gdybyśmy mogli w Parlamencie Europejskim zasiadać w jednym ugrupowaniu i działać razem na rzecz odnowienia Unii. My nie chcemy końca Unii Europejskiej. Chcemy gruntownie ją zmienić, tak aby była nadal obszarem współpracy, ale z poszanowaniem suwerenności naszych krajów.

Czy Liga nie mówiła wcześniej o wyjściu Włoch z Unii?

Były to raczej medialne spekulacje. Nie twierdzę, że nigdy nie padły takie słowa na którejś z naszych konferencji prasowych. Nasz stosunek do obecnej Unii Europejskiej, która nam się nie podoba, mógł być czasami wyrażony w nieco uproszczonej formie. Jednakże nigdy nie chcieliśmy zniszczyć naszego wspólnego europejskiego domu. Jesteśmy świadomi, że niektóre proble-

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. AP/EAST NEWS

my można rozwiązywać tylko razem. Chcemy jednak też wiele rzeczy robić w sposób samodzielny, suwerenny. I dlatego uważam, że razem z ludźmi, którzy myślą podobnie jak my, możemy znaleźć właściwą równowagę między współpracą a suwerennością. Jest to możliwe, jeśli zrobimy to wbrew lewackim fanatykom, którzy rządzą obecnie w Brukseli, działając na szkodę europejskich narodów.

Dla Polaków ważną kwestią jest to, jak będzie się zachowywać rząd Włoch w sprawie nałożenia sankcji na Polskę w ramach procedury wszczętej przez Komisję Europejską w sprawie reformy wymiaru sprawiedliwości. Jak według pana rząd włoski będzie głosował, jeśli dojdzie do głosowania w Radzie? Rzym będzie po stronie Brukseli czy Warszawy?

Trudno mi powiedzieć. Mogę tylko zapewnić, że Liga będzie po stronie Polski, ponieważ we Włoszech też mamy do czynienia z lewicą, która próbuje wykorzystywać swoich sędziów, aby działać wbrew wynikom demokratycznych wyborów. Wszyscy widzieli, jak Salvini znalazł się na celowniku sędziów popieranych przez lewicę dlatego, że zaczął bronić naszych granic. My szanujemy prawo, ale uważamy, że ze swojej strony sędziowie powinni szanować głos narodu. Jednakże jeśli chodzi o stanowisko włoskiego rządu, to trudno mi przewidzieć w tej chwili, jak zachowa się nasz partner koalicyjny.

Czy włoskiemu ministrowi spraw zagranicznych bliżej do Ligi czy do M5S, skoro nie należy do żadnej partii politycznej?

Jest to minister techniczny. Sam nie wiem, dlaczego wybrano akurat jego na to stanowisko. Tak czy owak widzimy, że Salvini też działa jak minister spraw zagranicznych. Spotyka się z Orbánem, podróżuje do Izraela, do Egiptu, do Rosji, spotkał się z Amerykaninem Johnem Boltonem [doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego Donalda Trumpa – przyp. red.]. Nasi wrogowie twierdzili, że Liga nigdy nie zostanie uznana za granicą, a dzięki działalności Salviniego takie międzynarodowe uznanie staje się faktem.

A co Liga sądzi o polityce PiS w Polsce?

Bardzo uważnie obserwujemy to, co się dzieje w Polsce. Polska jest dziś okrętem flagowym zmian. Wprowadziła wiele reform socjalnych, które są naprawdę populistyczne w najlepszym tego słowa znaczeniu. Chodzi mi o pomoc dla rodzin, o wzrost minimalnego wynagrodzenia itd. Dlatego też patrzymy na to, jak PiS zarządza dziś państwem, i mogę powiedzieć, że gdy rozmawiamy z posłami i senatorami o Polsce, oni wiedzą, jak się tam reformuje państwo i jaką politykę pronatalistyczną prowadzi. Polskie dobre praktyki są u nas znane i Polska jest postrzygana jako wzorzec.

PiS z kolei ma problem z włoską Ligą podobnie jak z francuskim Frontem Narodowym. Chodzi o przychylny stosunek tych partii do Rosji i do prezydenta Putina. Jakie jest właściwie stanowisko Ligi w kwestii przynależności do NATO i relacji ze Stanami Zjednoczonymi i z Rosją?

Odpowiedź jest bardzo prosta: ponieważ bardzo szanujemy suwerenność państw narodowych, nie chcemy zostać wciągnięci w problemy między Polską a Rosją. Kwestie te dotyczą tych dwóch krajów i to one muszą je rozwiązać. Z naszego punktu widzenia to nie nacjonalistyczno-populistyczna Rosja jest zagrożeniem, lecz islamscy radykałowie i nowi komunistyczni terroryści. Mówię tu o licznych nawoływaniach do zbrojnego powstania przeciw Salviniemu ze strony włoskiej radykalnej lewicy. Traktujemy to poważnie, gdyż pamiętamy terroryzm Czerwonych Brygad z lat 70. ubiegłego wieku. W tym kontekście Rosja nie jawi się nam jako potencjalny agresor. Jednocześnie poważnie traktujemy nasze zaangażowanie w NATO, którego jesteśmy pełnowartościowym członkiem. Naszym celem jest odgrywanie roli mediatora między NATO a Rosją, jak to robił już Silvio Berlusconi, gdy zorganizował szczyt NATO-Rosja w 2002 r., za czasów prezydenta Busha, na którym sam byłem obecny. Chcemy współpracować i uważamy, że byłoby to dobre dla Europy, a ogólniej – dla Eurazji. Rozumiemy stanowisko Polski, ale jeśli chodzi o jej problemy z Rosją, to uważamy, że to nie nasza sprawa.

A więc Liga nie jest za tym, aby Włochy opuściły NATO?

Taki postulat nigdy nie był elementem naszego programu.

Należy zatem rozumieć, że sojusz ze Stanami Zjednoczonymi pozostaje dla Ligi ważny?

Jak najbardziej! Liga miała w przeszłości trudną relację nie tyle z USA, ile z administracjami Clintona i Obamy, które utrzymywały ścisłe relacje z lewicą i byłymi komunistami we Włoszech. Dzisiaj nasze stosunki z prezydentem Trumpem i ze Stanami Zjednoczonymi są znakomite. Moim zdaniem Salvini to jeden z najlepszych sojuszników USA w Europie i tak go też postrzega administracja Trumpa.

Czy gdyby doszło do przyspieszonych wyborów, Liga przystąpiłaby do nich z innymi partiami prawicowymi tak jak poprzednio? Czy Forza Italia Berlusconiego i narodowcy z Fratelli d'Italia mają podobną wizję polityki zagranicznej Włoch?

Mogę tylko powiedzieć – to nie jest tajemnica, że wielu posłów, senatorów i członków władz samorządowych chce dzisiaj przystąpić do Ligi. My nie próbujemy ich zachęcać i to jest nawet niepotrzebne. Są nawet ludzie, którzy przychodzą do nas z centrolewicy. Zobaczymy, jak będzie wyglądała przyszłość. Jest jednak oczywiste, że dojdzie do pewnej konsolidacji na prawicy, do powstania ugrupowania skupiającego różne tendencje, a tym ugrupowaniem mogłaby być Liga.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 358b74afb8

Przełom w raju

Jacek Przybylski z Malediwów

We wrześniowych wyborach Malediwczycy odsunęli od władzy prezydenta autokratę. Zwycięstwo prodemokratycznego kandydata oznacza też powrót do sojuszu z Indiami i USA. Czy pozwolą na to Chiny i Arabia Saudyjska?

Niewielkie wyspy wyglądają niczym żywcem wyjęte z podrasowanego przy użyciu programów graficznych katalogu: obrośnięte palmami śnieżnobiałe plaże oblane są turkusową wodą i otoczone rafami koralowymi, wzdłuż których przepływają delfiny, rekiny rafowe, przyjacielskie żółwie, piękne płaszczki i różnokolorowe tropikalne rybki. Bajka.

Ponad tysiąc sto tego typu koralowych wysp rozsianych jest na obszarze 20 tys. km kw. pośrodku Oceanu Indyjskiego. Z okien samolotu piękne, jasnobłękitne atole – w których woda przelewa się delikatnie między cieniutkimi paskami ziemi – wyglądają niczym porozrzucane korale. Wyspy oczarowują więc wszystkich – od brytyjskich książąt do Davida Beckhama czy Rogera Federera.

Zamieszkanych jest tylko dwieście wysp, z czego 55 proc. przeznaczonych jest na ekskluzywną turystykę. Na prywatnych wyspach, pełnych zagranicznych turystów, można opalać się w strojach kąpielowych oraz bez ograniczeń pić piwo i inne alkohole. Ba, dla wygody turystów wiele wysp wprowadza własne strefy czasowe, dzięki czemu słońce zachodzi dopiero około 19, a nie o 18 jak w stolicy. Nic dziwnego. Turystyka, najważniejsze źródło przychodów malediwskiej gospodarki, przynosi do budżetu 2,7 mld dol. rocznie.

Na pozostałych wyspach mieszka ok. 400 tys. mieszkańców. Najwięcej z nich liczy miasto Male – całkowite przeciwieństwo rajskich widoków i jedna z najbrzydszych stolic na świecie. Religią państwową jest sunnicki islam, który – według oficjalnych danych – wyznaje… 100 proc. obywateli. Malediwy to jedno z nielicznych państw na świecie, które wprowadziło formalną zasadę, zgodnie z którą każdy, kto zdecyduje się na zmianę wyznania i porzucenie wiary w Allaha, automatycznie traci obywatelstwo i – zgodnie z prawem szariatu – naraża się na najwyższy wyrok, czyli karę śmierci. Egzekucję za apostazję ostatni raz przeprowadzono co prawda ponad pół wieku temu, ale i tak wyznawcy Chrystusa swoją religię muszą praktykować w największej tajemnicy. Ryzyko wpadki i długoletniego więzienia jest duże. Bardzo wysoka gęstość zaludnienia na lokalnych wyspach sprawia bowiem, że każdy pilnuje, czy sąsiad wystarczająco gorliwie spełnia wymogi islamu. Malediwczykom nie wolno opalać się w strojach kąpielowych ani napić się alkoholu. Przynajmniej oficjalnie. Nieoficjalnie jeden z pracowników hotelu, w którym mieszkałem, dyskretnie poprosił mnie o zakup w barze mocniejszego trunku na swoje urodziny. Sam absolutnie nie mógłby tego zrobić.

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. FOTOLIA

Formalnie zakazane jest również wwożenie na teren wysp medalików, krzyżyków czy też Biblii. Surowo zabroniona jest też próba jakiejkolwiek ewangelizacji, a także posiadanie przedmiotów, które mogą być uznane za sprzeczne z islamem. To nie są puste przepisy. W połowie września sąd na Malediwach nakazał zniszczyć niezwykłą rzeźbę – koralarium stworzone w ciągu dziewięciu miesięcy przez znanego brytyjskiego rzeźbiarza Jasona deCaires Taylora. Umieszczone częściowo pod wodą rzeźby miały bowiem ludzkie formy – najpierw prezydent Yameen, a następnie sąd uznali, że to sprzeczne z prawem islamskim, zabraniającym tworzenia wizerunków idoli. Uzbrojeni w kilofy i elektronarzędzia policjanci szybko zniszczyli więc niezgodne z szariatem elementy dzieła.

GNIAZDO SZPIEGÓW

Postępowanie rządzących wobec pomnika najlepiej obrazuje ostatnie pięć lat rządów Abdulli Yameena, który po przejęciu władzy w 2013 r. zaczął systematyczny demontaż demokratycznych mechanizmów. Szybko po objęciu rządów kazał wtrącić do więzienia swych politycznych przeciwników. Pozostałych zmusił zaś do ucieczki z Malediwów. Wśród tych ostatnich był m.in. Mohamed Nasheed, pierwszy demokratycznie wybrany prezydent wyspiarskiego kraju, który przed objęciem urzędu w roku 2008 aż 23 razy był wtrącany do więzienia i torturowany. Azjatyccy komentatorzy porównywali go do Nelsona Mandeli. Nawoływał bowiem do reform w kraju przyzwyczajonym do twardych, konserwatywnych islamskich rządów „sułtana" Maumuna Abdula Gajuma. Gajum – specjalista od prawa szariatu – rządził Malediwami od 1978 do 2008 r. i został obalony dopiero w wyniku serii brutalnie stłumionych demonstracji. Mohamed Nasheed przez pięć lat robił więc wiele, aby po latach autorytaryzmu wprowadzić jak najwięcej demokratycznych elementów, a także zabezpieczeń socjalnych dla pracowników, prawa do edukacji etc. W roku 2012 w małym wyspiarskim państwie doszło do bezkrwawego zamachu stanu. Zbuntowani policjanci przystawili prezydentowi broń do głowy i zażądali dymisji. Za puczem służb, które oskarżyły głowę państwa m.in. o bycie „antyislamskim", stać miał Gajum – władzę szybko przejął jego przyrodni brat Abdulla Yameen. W 2015 r. Nasheeda postawiono zaś przed sądem w ramach nowych przepisów dotyczących „walki z terroryzmem" i zmuszono go do emigracji na Sri Lankę.

W lutym 2018 r. niespodziewanie Sąd Najwyższy nakazał Yameenowi uwolnić dziewięciu więźniów politycznych. Prezydent Malediwów nie chciał jednak narażać na szwank swych szans na drugą kadencję. Wprowadził więc na wyspach stan wyjątkowy w celu odnalezienia spiskowców stojących za puczem przeciwko niemu, rozwiązał parlament i zakazał działalności opozycji. Wtrącił również do więzienia dwóch sędziów z pięcioosobowego składu SN. Pozostała na wolności trójka sędziów wkrótce po tym grzecznie ogłosiła, że „w obliczu wątpliwości podniesionych przez prezydenta" unieważnia kontrowersyjny wyrok w sprawie opozycjonistów. To dobra ilustracja stanu sądownictwa w tym wyspiarskim kraju – wielu sędziów jest koszmarnie słabo wykształconych, niektórzy sami mają na koncie wyroki kryminalne, a większość jest przyzwyczajona do służby właściwemu panu.

Yameen tak bardzo się bał, że może stracić władzę, iż kazał nawet aresztować swego przyrodniego brata, byłego

eprasa.pl 358b74afb8

autokratycznego prezydenta Gajuma. 80-letni były polityk jest obecnie najstarszym więźniem na wyspach. Nerwowe działania islamskiego przywódcy wzbudziły protesty Waszyngtonu, Londynu oraz Delhi. O zbrojną interwencję w celu uwolnienia aresztowanych sędziów i więźniów politycznych oficjalnie prosił Indie były prezydent Mohamed Nasheed.

Gdy więc we wrześniu w państwie rządzonym przez Abdulla Yameena twardą, autokratyczną ręką przeprowadzono wybory prezydenckie, większość komentatorów spodziewała się zwycięstwa despotycznego przywódcy. Miał on pod kontrolą nie tylko instytucje rządowe, lecz także komisję wyborczą, której wielu członków jawnie wiwatowało na cześć prezydenta podczas przedwyborczych wieców. Aby dziennikarze nie patrzyli zbyt gorliwie na ręce władzom, jeden z najbardziej znanych blogerów i satyryków został w 2017 r. zadźgany na śmierć, a gdy kilka lat nie można było się dowiedzieć, jaki los spotkał jednego z zaginionych dziennikarzy, sam prezydent Yameen grzecznie poradził swojemu ministrowi spraw wewnętrznych, że nie ma potrzeby, aby zbyt gorliwie podchodzić do śledztwa w tej sprawie. Z życiem udało się ujść Zaheenie Rasheed, dziennikarce, która pomagała katarskiej stacji telewizyjnej Al-Dżazira w realizacji materiału o korupcji na Malediwach – musiała jednak uciekać za granicę.

Mimo to – dzięki śledztwom m.in. Al-Dżaziry – wyborcy dowiedzieli się o największym skandalu korupcyjnym w dziejach kraju: co najmniej 79 mln dol. pochodzących z przychodów z turystyki rozkradziono i ulokowano na prywatnych kontach. Część z tych pieniędzy wykorzystywano zaś potem do płacenia łapówek politykom, sędziom i urzędnikom. Do prezydenta pieniądze trafiać miały w dużych, czarnych torbach.

W ubiegłym miesiącu najwięcej głosów zdobył przeciwnik ubiegającego się o reelekcję prezydenta. Kandydat opozycji, jeden z najbardziej doświadczonych polityków na wyspach i zwolennik prodemokratycznych reform Ibrahim Mohamed Solih, uzyskał 58,35 proc. z 231 tys. oddanych głosów. Tak duża przewaga kandydata opozycji sprawiła, że nie dało się sfałszować wyników ani zmusić policji i wojska do przedłużenia rządów autokratycznego prezydenta. 17 listopada Yameen ma więc posłusznie opuścić pałac prezydencki.

Ibrahim Mohamed Solih obiecuje, że przywróci demokrację na Malediwach i wypuści na wolność więźniów politycznych FOT. AP/EAST NEWS

Wybory w maleńkim wyspiarskim kraju pilnie śledzili również szpiedzy z największych mocarstw świata. Yameen wspierany był bowiem przez Chiny, coraz aktywniej poszerzające swoje wpływy w rejonie Oceanu Indyjskiego, w tym również w Pakistanie i na Sri Lance. Chiny są również na pierwszym miejscu wśród państw, z których na Malediwy przybywa najwięcej turystów. Inżynierowie Państwa Środka tuż przed wyborami oddali gigantyczny most między stolicą kraju a niewielką wyspą Hulhule, na której znajduje się międzynarodowe lotnisko.

Kandydata opozycji wspierali z kolei przedstawiciele Stanów Zjednoczonych oraz Indii – kraju, którego władze po wprowadzeniu na Malediwach stanu wyjątkowego rozważały militarną interwencję w wyspiarskim kraju, dawniej należącym do indyjskiej strefy wpływów. Chociaż Malediwczycy świętują na ulicach, bo dzięki wysokiej, wynoszącej aż 89 proc. frekwencji przy urnach udało im się odsunąć od władzy kolejnego autokratę, to nowy prezydent wciąż będzie miał do rozwiązania wiele starych problemów. Jednym z największych, poza wszechobecną korupcją, niewydolnym systemem sądowniczym oraz brakiem wolnych mediów, jest problem islamskiego ekstremizmu.

PIENIĄDZE NA NOWĄ OJCZYZNĘ

Jakby problemów było mało, Malediwy jak mało który kraj musi pilnie poradzić sobie z wyzwaniami wynikającymi ze zmiany klimatu. To bowiem najniżej położone państwo na świecie. Średnia wysokość terenu wynosi zaledwie 1,5 m nad poziomem morza. Najwyższy punkt archipelagu to zaś 2,47 m n.p.m. Biorąc pod uwagę to, że ocean z powodu zmian klimatu ma do 2100 r. podnieść się o 59 cm, to władze kraju boją się, że za kilkadziesiąt lat nie będą miały czym zarządzać. Czternaście wysp już musiało być ewakuowanych. Kraj nękany był również przez tsunami – tylko w 2004 r. zginęło w jego wyniku ponad 100 osób, a dwie trzecie stolicy znalazło się pod wodą.

W hotelowych szafach obok sejfów znajdują się więc kamizelki ratunkowe dla turystów. Władze część przychodów z turystyki przeznaczają zaś na… zakup nowej ojczyzny. W tym celu powołano specjalny fundusz, do którego trafia część przychodu „z importu turystów", działający w podobny sposób jak fundusze w krajach arabskich, które odkładają na przyszłość pieniądze z eksportu ropy.

Ze względu na bliskość kulturową, a także podobny klimat oraz kuchnię Nasheed próbował kupić ziemię w Indiach lub na Sri Lance, ostatecznie jednak władze zaczęły nabywać wyżej położone działki w Australii, aby Malediwczycy „nie musieli przez lata lub dekady żyć w namiotach jako uchodźcy". Z rządem w Canberze negocjacje w sprawie ewentualnego przeniesienia całych narodów prowadzą już też władze tonących wyspiarskich państw, takich jak Kiribati i Tuvalu. Dzięki zapobiegliwości prezydenta Nasheeda Malediwczykom powinno być jednak sporo łatwiej – nikogo nie będą bowiem musieli prosić o kawałek ziemi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 358b74afb8

OFERTA SPACJALNA. TYLKO TERAZ W PAKIECIE Z E-WYDANIEM

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Prenumerata półroczna tygodnika „Do Rzeczy", w prezencie pakiet książek

+ e-wydanie

Cena: 141 zł

Oszczędność: 219 zł

Sz. Nowak
„Niechciani generałowie"

M. Koprowski
„Legiony. Droga do legendy"

Prenumerata roczna pakietu tygodnik „Do Rzeczy" i miesięcznik „Historia Do Rzeczy" w prezencie książka

+ e-wydanie

Cena: 279 zł

Oszczędność: 369 zł

B. Sławińskiej - wywiad z płk. Witalisem Skorupką
„Ja Orzeł. Z Kedywu do celi śmierci"

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 358b74afb8

FOT. ARTUR WIDAK/NURPHOTO/GETTY IMAGES

DARMOWA ABORCJA DLA WSZYSTKICH

W Irlandii całkiem niedawno odbyło się referendum, w którym mieszkańcy uznali, że aborcja nie powinna być uznawana za nielegalną – i za taką przestała być uznawana w tamtejszym prawodawstwie od 18 września tego roku. To dla władz Irlandii jednak za mały postęp. Minister zdrowia – Simon Harris – ujawnił, że chce, by aborcja była darmowa. Szef resortu zaznaczył, że nie chce, by koszt był „barierą" w poddawaniu się zabiegowi aborcji.

HITLER I LENIN DO WYBRANIA

W peruwiańskim mieście Yungar w wyścigu o fotel burmistrza zmierzą się Hitler i Lenin. Tak się bowiem składa, że obecny szef magistratu – Hitler Alba – ubiega się o reelekcję, a władzę zamierza odebrać mu kandydat, który nazywa się Lennin Vladimir Rodríguez Valverde. Sam burmistrz Alba opowiadał lokalnym mediom, że jego rodzice nie mieli pojęcia, kim był Adolf Hitler. On sam, gdy poznał historię krwawego dyktatora, myślał o zmianie imienia, ale ostatecznie je zaakceptował. Podkreśla jednak, że on jest „dobrym Hitlerem".

FILIPIŃSKIE „ŻARTY"

Prezydent Filipin Rodrigo Duterte przez długi czas odpierał zarzuty, że w wojnie wydanej kartelom narkotykowym przez jego rząd dokonuje się zabójstw bez wyroków sądowych. A teraz w przemówieniu stwierdził, że jego „jedynym grzechem są pozasądowe zabójstwa". Rzecznik prezydenta prostował potem, że słowa głowy państwa były „żartobliwe". Nie wiadomo jednak, jak z poczuciem humoru jest w Międzynarodowym Trybunale Karnym, który prowadzi śledztwo w sprawie domniemanych zbrodni rządu Dutertego.

500 EURO MANDATU ZA SIADANIE

Władze Wenecji już tak bardzo nienawidzą turystów, że zamierzają dołożyć kolejny zakaz do długiej listy (w tym mieście nie wolno m.in. zatrzymywać się na mostach, zakładać na nie kłódek, stawać na ławkach, dokarmiać ptaków, chodzić bez koszulki i kąpać się w kanałach) – w październiku rada miasta głosować będzie nad pomysłem burmistrza Luigiego Brugnaro, który zaproponował, by za siadanie w niewyznaczonych miejscach turyści byli karani mandatem w kwocie 500 euro.

BO CHCIAŁ NAŁADOWAĆ

Z samolotu indyjskich linii IndiGo usunięto pasażera, który sprawił kłopot, zanim maszyna wystartowała z lotniska w Kalkucie. Mężczyzna próbował wedrzeć się do kokpitu pilotów, tłumacząc, że musi naładować swój telefon komórkowy. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O narodzinach hit-artu

Do „-izmów" i „-artów", pośród których błądzą współcześni artyści, dołączył nowy, radykalny kierunek. Pewnie krytycy nazwą go hit-artem („hit" to po angielsku „uderzyć"). Nowy prąd narodził się we Florencji w słynnym Palazzo Strozzi.

Bardzo znana i uznana performerka, 71-letnia Marina Abramović, pokazuje tam teraz ponad sto swoich dzieł. Na ogół w pracach artystki chodzi o to, żeby odgadnąć, o co w nich chodzi. Nierzadko klucz do tych rebusów jest w studni. Jednak tłumy walą drzwiami i oknami. Przybył nawet sam Maurizio Cattelan – ten od Hitlera modlącego się na terenie warszawskiego getta i Jana Pawła II przygniecionego meteorytem.

Niestety, pojawił się również czeski artysta Vaclav Pisvejc, który wielce sławny nie jest, choć bardzo chce. Namalował portret pani Abramović, wziął go pod pachę i wmieszał się w tłum zwiedzających. Gdy pojawiła się artystka, podbiegł, wyrżnął ją swoim obrazem w głowę i powalił na ziemię.

Pisvejc tłumaczył później policji: „Musiałem to zrobić dla mojej sztuki". Pani Abramović nie chce jednak złożyć skargi, bo rozumie problemy i rozterki artystów poszukujących sławy.

Tego rodzaju kretyństwa natychmiast znajdują dzisiaj naśladowców, więc hit-art ma przed sobą wielką przyszłość. Gdyby tak w ramach hit-artu jego wyznawcy nawzajem się wytłukli, byłby święty spokój. Niestety, na inaugurację facet w sile wieku (40 lat) w imię swojej sztuki (?) zdzielił po głowie starszą panią.

Wszystko działo się w kolebce renesansu, co chyba najlepiej pozwala uzmysłowić sobie, jak tragicznie karleją nam i sztuka, i artyści. Michała Anioła i Leonarda zastępują dziś pani od rebusów i walący ją po głowie egotyczny idiota. Zgroza. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 358b74afb8

100 % polski produkt

III EDYCJA KONKURSU

TYLKO DO 15 PAŹDZIERNIKA

ZGŁOŚ PRODUKT NA POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

PATRONAT HONOROWY

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

FUNDACJA FIRMY RODZINNE

PARTNERZY

ORLEN

PHN

GRUPA CEDROB

Poczta Polska

arp

LANDESKRONE

LUBOMIRSKICH

PARTNER MERYTORYCZNY

pwc

eprasa.pl 358b74afb8

Afrykański dylemat

Tomasz Wróblewski

Najazd afrykańskich imigrantów na Europę można zatrzymać szybko i prosto. Musimy jednak zdecydować, czy chcemy partnerskich relacji z bogatszą Afryką, czy wolimy dalej eksploatować tę spaloną ziemię

FOT. LIONEL HEALING/AFP/EAST NEWS

W Afryce mieszka 1,2 mld ludzi. Do 2050 r. będzie ich 2,5 mld, a w 2100 r. – 5 mld. Co trzeci człowiek na ziemi będzie mieszkał w Afryce. Oczywiście przy założeniu, że połowa albo i dwie trzecie z nich nie przewędruje dalej na północ. Na razie wiele jednak wskazuje, że właśnie tak się może stać. Według Organizacji Narodów Zjednoczonych (ONZ) rzeka imigrantów, która płynie do Europy od dwóch lat, to zaledwie mały strumyk w porównaniu z tym, co czeka nas w ciągu najbliższych 25 lat. Według rozmaitych szacunków od 50 do 65 mln mieszkańców Afryki „siedzi na walizkach" i szykuje się do rozpoczęcia podróży w naszą stronę.

Z europejskiej perspektywy każda kolejna fala imigrantów to więcej problemów społecznych, koszty idące w dziesiątki miliardów euro i jeszcze więcej napięć politycznych w UE. Dla Afryki to coś więcej. To problem egzystencjalny. Upływ młodej krwi i najbardziej witalnej części społeczeństwa oznacza, że szanse na ekonomiczne odbicie czy polityczną normalizację maleją. Już dziś w Londynie pracuje więcej lekarzy i pielęgniarek z Zimbabwe niż w całym Zimbabwe. Tygodnik „Spiegel" w reportażu z kilku państw afrykańskich opisał ostatnio typową drogę imigranta do Europy. Mało kto tu migruje wprost z biednych zapomnianych przez Boga i pomoc społeczną wiosek afrykańskich. Droga prowadzi zwykle przez duże miasta – Abudżę, Kinszasę, Dodomę, Mogadisz, Kigali. Młodzi ludzie, zanim porwą się na długą i trudną wyprawę, szukają szczęścia w okolicznych metropoliach. Dopiero w drodze desperacji, namawiani i kuszeni przez handlarzy ludźmi, decydują się ruszyć do Europy.

To prawda, że dla wielu migracja jest jedyną alternatywą dla życia w krajach opętanych wojną i terrorem. Obok Syrii mamy Kongo, gdzie przez ostatnie 10 lat w bratobójczych walkach zginęło 5 mln ludzi. Więcej niż w Iraku, Wietnamie czy w Kambodży. Jednak wiele afrykańskich państw, przynajmniej na papierze, ma demokrację, wolny rynek, działające szkoły, urzędy i szpitale. W samej Europie znajdziemy bardziej opresyjne reżimy niż w wielu częściach Afryki. A mimo to to nie Białorusini czy Rosjanie forsują siłą nasze granice.

ŻYCIE W AFRYCE

Większość z nas, słysząc o emigrantach z Afryki, z góry zakłada, że przychodzą z wypalonych ziem nękanych suszami, że pozbawieni środków do życia szukają ratunku w zamożnej Europie. I wielu pewnie pochodzi z biednych rejonów, czasem wystarczy suchy rok, żeby całe wioski ruszyły w poszukiwaniu lepszego życia. Pamiętajmy jednak, że większość bogactwa Afryki nie jest zależna od deszczu i naturalnych plag. Głównym źródłem wzrostu gospodarczego Afryki są surowce mineralne. Często eksploatowane przez europejskie czy chińskie koncerny – te zatrudniają setki tysięcy ludzi, w kraju zostawiają opłaty koncesyjne, podatki. Inna sprawa, że ich znaczna część trafia do kieszeni skorumpowanych polityków. Poważniejszym problemem jest śladowa ilość rodzimego przemysłu, możliwości przetwarzania zasobów mineralnych, budowania przemysłu mniej wrażliwego na wahania cen surowców. Spadek cen ropy czy metali w latach 2010–2015 wywołał natychmiast masowe bezrobocie i zapaść gospodarczą. W tym okresie państwa Afryki Subsaharyjskiej rozwijały się w tempie zaledwie 1,4 proc., najwolniej od dwóch dziesięcioleci. Według Banku Światowego 57 proc. Afrykanów znalazło się na krawędzi nędzy, mając średnio na dzienne utrzymanie jednej osoby 1,90 dol. Dzisiaj, po trzech latach wzrostu cen surowców, odsetek nędzy wynosi „zaledwie" 41 proc.

Wbrew powszechnemu przekonaniu dziś więcej afrykańskich dzieci chodzi do szkoły niż kiedykolwiek w historii. Przeglądając suche dane Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW), zobaczymy, że większość państw afrykańskich w latach 2016 i 2017 rosła w tempie 4–5 proc. rocznie. Większość państw miała lepszy wynik niż wzrost gospodarczy najszybciej rozwijających się gospodarek Europy. Państwa Afryki Subsaharyjskiej, skąd najwięcej osób stara się przedostać do Europy, w tym roku mogą liczyć na wzrost gospodarczy powyżej 3,4 proc. Jednak przy tak dynamicznym wzroście populacji dochód w przeliczeniu na głowę mieszkańca zatrzymuje się na poziomie 1 proc.

Rosnąca koniunktura i zaskakująco dobre zbiory w ostatnim roku powodują, że jakość życia poprawia się w stosunku do choćby 2014 r., kiedy to ponad milion ludzi najechało Europę. Rządy afrykańskie sprzedały w tym roku obligacje na sumę 12 mld dol., co jest rekordem wszech czasów, a z ostatnich danych Banku Światowego wynika, że z wyjątkiem rejonów objętych działaniami zbrojnymi w Kongu, częściowo w Nigerii, Sudanie, nie powinniśmy mieć przypadków głodu. To coś, czego unijni politycy zdają się nie zauważać i nie wyciągać z tego głębszych wniosków, kiedy mówią o 95-procentowym spadku imigrantów nielegalnie przekraczających granice Unii. Na ostatnim szczycie w Brukseli przywódcy Niemiec i Francji poklepywali się po ramieniu, gratulując sobie wyników w powstrzymywaniu fali uchodźców. Wyników, z którymi niewiele wspólnego miały wątpliwe wysiłki europejskich rządów.

DLACZEGO PRZYJEŻDŻAJĄ?

Niemniej pozostaje pytanie: Skoro sytuacja gospodarcza w Afryce się poprawia, to dlaczego wzrost wciąż jest na poziomie 4 proc., a nie 7 proc., i skoro jest praca, to dlaczego wciąż do wybrzeży Morza Śródziemnego napływają uchodźcy?

Eksperci do spraw imigracji powiedzą nam, że raz przetarte szlaki przez wiele lat będą służyły innym członkom rodziny do szukania szczęścia w Europie. Po pierwszej fali, gdy głównie migrowali mężczyźni, teraz ich śladem idą całe familie. Jednak to tylko część prawdy. Koszmarne doświadczenia bliskich w Libii, Maroku i na morzu mimo wszystko powinny skutecznie odstraszyć naśladowców.

Doświadczenia innych państw pokazują, że poprawa sytuacji gospodarczej dość szybko może ograniczyć migrację. Problem w tym, że ożywienie gospodarcze w Afryce jest dość powierzchowne, a pomoc Zachodu, o której tak chętnie wszyscy mówią w Europie, czy chińskie inwestycje co najwyżej utrwalają obecne patologie.

Unijne, a zwłaszcza niemieckie pieniądze, poza zakupem podstawowej żywności, idą dziś na wzmacnianie infrastruktury policyjnej w Afryce. W Libii niemieccy policjanci pomagają w opracowaniu i finansowaniu straży przybrzeżnej. W Nigrze budują ogrodzenia na pustyni. W Sudanie wyposażają straż graniczną w broń palną i drony. W Tunisie otwarto pierwsze centrum migracji, a następnie drugie w Casablance we wrześniu. Za chwilę powstaną tu przejściowe obozy. Nowe biuro ds. imigracji powstało już w Akrze, wkrótce powstanie w Dakarze.

To nie jest pomoc, która podniesie poziom życia narodów Afryki. Co najwyżej utrudni im migrację na północ. Prezydent Ghany Nana Akufo-Addo ostatnio podniesionym głosem na forum ONZ, zwracał uwagę, że jego kraj nie może być dłużej zależny od „hojności" europejskich podatników. „Cała ta pomoc nic nam nie dała i ta, którą nam oferujecie, też nic

eprasa.pl 358b74afb8

nie da" – stwierdził Akufo-Addo. Sam nawołuje do zakończenia „drugiego kolonializmu". Do inwestycji w szkoły, uczelnie. Budowę szklarni i nowoczesnych gospodarstw rolnych, a nie dostarczania żywności. Do zmiany struktury celnej Europy, która promuje eksploatację środowiska naturalnego, a karze za eksport produktów przetworzonych.

SPRZĘŻENIE ZWROTNE

W doskonałej książce analizującej ekonomiczne podstawy migracji do Europy „Migration and the Future of Europe" Asfa-Wossen Asserate opisuje zbiory pomidorów w regionie Apulii w południowych Włoszech, gdzie większość prac wykonują imigranci z Ghany. Rolnicy z ojca na syna. Jak na ironię losu – twierdzi Asfa-Wossen Asserate – ghańskim imigrantom włoscy plantatorzy płacą pensje z dotacji unijnych. Potem te same pomidory, po dumpingowych cenach sprzedawane są w sklepach w Akrze, Kumasi czy Tamale, a lokalni rolnicy muszą emigrować do Europy za pracą. W Ghanie, pisze Asserate, oprócz przecieru pomidorowego „made in Italy" w sklepach znajdziemy płatki śniadaniowe z Niemiec, konserwy mięsne z Wielkiej Brytanii i mleko w proszku z Danii. Ghańscy rolnicy nie mogą konkurować z europejskimi rolnikami, którzy w 2014 r. otrzymali 40 mld euro subwencji. Pół biedy, jeżeli stać ich na zakup żywności, gorzej – kiedy ceny surowców wydobywanych tu przez zagraniczne koncerny idą w dół, firmy zwalniają pracowników i tak jak ostatnio gospodarka wpada natychmiast w recesję, a ludzie pakują się i jadą do Europy.

Sytuacji nie poprawiają dość szczególna struktura własności ziemskiej i fatalne wykorzystanie areałów rolnych. Doskonale to widać na przykładzie 2017 r. i nieźle zapowiadającego się 2018 r. Okazuje się, że rekordowe zbiory w niewielkim stopniu wpływają na ceny i dostępność żywności. Afryka Subsaharyjska wciąż musi bazować na dostawach humanitarnych choćby dlatego, że niespełna jedna trzecia pól została w tym roku zasiana.

W 2011 r. Bank Światowy oszacował, że cała Afryka posiada 200 mln ha niewykorzystanych gruntów rolnych. To jest niemal połowa wszystkich ziem uprawnych na świecie. Teoretycznie to Afryka, a nie amerykańskie prerie, argentyńska Patagonia, Rosja czy Kanada, powinna być spichlerzem świata. Część ziem jest niezdatna do upraw, bo znajdują się na terenach objętych działaniami zbrojnymi – w Sudanie, Nigerii, Kongu. Jednak też spora część ziemi uprawnej w Afryce znajduje się w rękach wielkiego biznesu, który wykorzystuje ją głównie do produkcji biopaliw, kawy, drewna i innych roślin nieżywnościowych, a doskonale nadających się na eksport. Koncerny rolne nie są zainteresowane uprawami i produkcją żywności. Żywność musiałyby sprzedawać lokalnie, konkurując z dotowaną żywnością z Europy, a surowce rolne eksportują i pieniądze zostawiają sobie na europejskich kontach. Więcej – własna produkcja zbóż, kukurydzy czy hodowla bydła mogłyby zagrozić humanitarnym dostawom żywności z Europy i Ameryki, na czym z pewnością nie zależy ani większości lokalnych polityków budujących swoją pozycję na rozdawnictwie, ani państwom w ten sposób pozbywającym się nadwyżek rolnych i subsydiującym własnych rolników.

Prawdziwym nieszczęściem dla Europy i Afryki jest to, że za deklaracjami pomocy kryje się wyłącznie cyniczna ochrona własnych interesów

Podobnie rzecz się ma z przemysłem wydobywczym. Największe bogactwa pozostają w rękach oficjeli albo opłacających ich miliarderów. Doskonałym przykładem są kopalnie kobaltu w Kongu. Ceny kobaltu wykorzystywanego do produkcji baterii do samochodów elektrycznych wzrosły w ciągu ostatnich czterech lat o 500 proc. Na ich wydobyciu zrodziły się nowe afrykańskie fortuny. Zapotrzebowanie na kobalt jest tak duże, że kopalnie masowo zatrudniają dziś nawet dzieci. Więcej niż kiedykolwiek osób ma pracę, ale to nie znaczy, że ich sytuacja materialna znacząco się poprawiła. Mimo nieustannych monitów ONZ, amerykańskich i europejskich mediów wielkie europejskie i amerykańskie koncerny, takie jak BMW, Tesla czy Chevrolet, wciąż sprowadzają kobalt i ani myślą inwestować w budowę lokalnych zakładów produkcyjnych.

CHIŃSKI RUCH

Stosunkowo nowym, ale niezwykle ważnym graczem w Afryce są Chiny. Chińskie firmy stały się częścią afrykańskiego pejzażu społeczno-ekonomicznego. Wszędzie, gdzie są surowce naturalne, tam są chińskie firmy. Według UNCTAD, agencji ONZ, chińskie inwestycje na afrykańskim kontynencie w latach 2010–2015 niemal się potroiły. Dzisiaj szacowane są na 35 mld dol.

Największa firma w Afryce, China Harbour Engineering Company (CHECK), w 2015 r. zatrudniała 215 tys. rodowitych Chińczyków. Znacznie więcej jest tych, którzy sami wyruszyli na podbój Afryki, aby założyć własne firmy. Jako właściciele sklepów, restauratorzy i handlowcy stopniowo przejmują drobny biznes w dużych miastach. Howard French w książce „Drugi kontynent Chin" pisze o chińskiej inwazji jako o „jednym z najważniejszych i najbardziej nieprzewidywalnych elementów przemian społecznych w Afryce". French ocenia, że w ciągu 10 lat do Afryki przybyło ponad milion Chińczyków. Namibia – kraj o populacji 2,5 mln osób – przyjęła na stałe ok. 40 tys. Chińczyków. Są nieodłączną częścią krajobrazu, ale nie oznacza to, że są ratunkiem dla Afryki. Na co dzień prowadzą rabunkową gospodarkę, powielają grzechy dawnych europejskich kolonizatorów, izolując się od społeczeństwa i nie uczestnicząc w programach naprawczych szkolnictwa, uczelni czy administracji. Konflikty rasowe są tu codziennością. Lokalna ludność z coraz większą odrazą mówi o chińskich pracodawcach, z kolei Chińczycy nie ukrywają swojej pogardy dla czarnej ludności, ich stosunku do pracy i umiejętności zawodowych. Przy najmniejszym niepowodzeniu porzucają rozpoczęte inwestycje, zamykają kopalnie, zwalniają ludzi i przenoszą się do innego kraju, obiecując inwestycje, które w praktyce sprowadzają się do eksploatacji surowców naturalnych.

Hipokryzja europejskich przywódców nie polega na tym, że deklarując otwartość na imigrantów, stawiają mury i tworzą system wypychania ich z powrotem z Europy. Prawdziwym nieszczęściem zarówno dla Afryki, jak i dla Europy jest to, że pod deklaracjami niesienia pomocy kryje się wyłącznie cyniczna ochrona własnej produkcji rolnej i przemysłowej. Jakby rządy w Niemczech czy we Francji sprawowały europejskie koncerny troszczące się o wpływy, a nie zwykli ludzie przerażeni degradacją własnych miast i miasteczek zajmowanych przez zdesperowanych imigrantów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 358b74afb8

JEDNA PIOSENKA. TYSIĄCE NAWRÓCEŃ. MILIONY WZRUSZEŃ

DOTKNIJ NIEBA

J. MICHAEL FINLEY MADELINE CARROLL TRACE ADKINS PRISCILLA C. SHIRER Z UDZIAŁEM CLORIS LEACHMAN I DENNIS QUAID

LIONSGATE PRESENTS IN ASSOCIATION WITH ERWIN BROTHERS ENTERTAINMENT SOUTH WEST FILM GROUP MISSION PICTURES INTERNATIONAL LD ENTERTAINMENT AND CITY ON A HILL A KEVIN DOWNES PRODUCTION AN ERWIN BROTHERS FILM "I CAN ONLY IMAGINE" J. MICHAEL FINLEY MADELINE CARROLL TRACE ADKINS PRISCILLA C. SHIRER WITH CLORIS LEACHMAN AND DENNIS QUAID CASTING BY BEVERLY HOLLOWAY ORIGINAL SCORE BY BRENT McCORKLE MUSIC PRODUCED BY PAUL MILLS COSTUME DESIGNER ANNA REDMON PRODUCTION DESIGNER JOSEPH T. GARRITY EDITED BY BRENT McCORKLE & ANDREW ERWIN DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY KRISTOPHER S. KIMLIN EXECUTIVE PRODUCERS TRAVIS MANN TONY YOUNG SCOTT BRICKELL SIMON SWART BASED ON THE STORY BY BART MILLARD STORY BY JON ERWIN & BRENT McCORKLE AND ALEX CRAMER SCREENPLAY BY JON ERWIN & BRENT McCORKLE PG LIONSGATE City PRODUCED BY KEVIN DOWNES CINDY BOND DARYL LEFEVER MICKEY LIDDELL PETE SHILAIMON DIRECTED BY THE ERWIN BROTHERS

© Imagine Rights LLC. All rights reserved.

/ICanOnlyImagineMovie /OnlyImagineFilm #ICanOnlyImagine ICanOnlyImagine.com KINO ŚWIAT

W KINACH OD 5 PAŹDZIERNIKA

PKP INTERCITY DO RZECZY eKai ams CCM radio STYLOWI.PL WP

eprasa.pl 358b74afb8

polemika DO RZECZY

To się opłaci

Wojciech Nagel

Pracownicze Plany Kapitałowe to nie OFE. To jakościowa, cywilizacyjna zmiana. Nie ma racji Stefan Sękowski, że nie wpłynie ona na wysokość naszych emerytur

FOT. FOTOLIA

W artykule „Powtórka z OFE" („Do Rzeczy" nr 38/2018) Stefan Sękowski stawia tezę, że „PPK w niewielkim stopniu podniosą nasze emerytury. Będą służyć wyciąganiu od pracowników pieniędzy, które przeznaczy się na dofinansowanie głównie największych – w tym państwowych – polskich firm". Przekonaniu temu towarzyszą tezy pomocnicze, które mają udowodnić, iż „PPK pokazują, że niestety kolejni rządzący wciąż obracają się w starych schematach myślowych".

JAK JEST NAPRAWDĘ?

Po ponad 18 latach od uruchomienia Pracowniczych Programów Emerytalnych (PPE) można stwierdzić, że się one nie rozwinęły. Blisko 400 tys. uczestników w ponad tysiącu czynnych programach to w pewnym sensie elita pracownicza, mogąca liczyć na dodatkowe pieniądze na emeryturę. Często znaczące, licząc tzw. procent składany i wieloletnie uczestnictwo – wszędzie, także w systemie FUS, bardzo ważne, sięgające ponad 100 tys. zł i więcej. Warto podkreślić, że charakterystyczne dla PPE jest to, iż zakładały je albo firmy duże – głównie energetyczne, finansowe, ubezpieczeniowe – albo małe, zatrudniające do 50 pracowników, specjalistyczne, o wysokim poziomie know-how. Po blisko 20 latach w aktywach PPE jest ok. 13,3 mld zł, przy wypłatach z FUS na emerytury i renty ponad 16 mld zł… miesięcznie. Porządkując, PPE oraz indywidualne formy zabezpieczenia emerytalnego – IKE i IKZE – można formalnie zaliczyć do systemu emerytalnego.

Pracowniczych Planów Kapitałowych (PPK) nie można do tego systemu zaliczyć, o czym autor artykułu nie wie lub ten fakt świadomie pomija. Jest to o tyle ważne, że PPK, nie będąc częścią systemu emerytalnego, nie odpowiadają za wysokość emerytur, za poziom waloryzacji, za wiek emerytalny. Mają natomiast skłaniać do budowy obywatelskiej skłonności do oszczędzania na cel emerytalny, ale także na cel mieszkaniowy lub zdrowotny. Należy podkreślić, że w żadnej z dotychczasowych form oszczędzania na cele emerytalne nie było tak rozwiniętej formuły dobrowolności i możliwości wypłaty środków w każdym momencie funkcjonowania jak w PPK. Jest to zupełnie nowa jakość w połączeniu z prywatnym charakterem gromadzonych aktywów przez uczestnika.

Stefan Sękowski myli się całkowicie, jeśli chodzi o genezę utworzenia PPK.

eprasa.pl 358b74afb8

Premier Morawiecki nie brał przykładu z triku zastosowanego przy zapisie do OFE przez rząd Tuska, lecz skorzystał m.in. z doświadczeń rządu Davida Camerona, który w 2012 r. w Wielkiej Brytanii przy tworzeniu nowego typu planów emerytalnych wprowadził tzw. opcję domyślną. Dzięki temu, przy rozwiniętej kulturze oszczędzania, przy bardziej liberalnej gospodarce, Brytyjczycy mają wznoszący się, ponad 70-procentowy wskaźnik uczestnictwa w planach emerytalnych.

W Polsce osiągnięcie poziomu 50 proc. partycypacji będzie można uznać za poważny sukces. Należy rozpocząć skuteczną edukację na rzecz oszczędzania i zapobiegliwości. Duże znaczenie może mieć w tej misji Fundusz Edukacji Ekonomicznej, którego uruchomienie powinno nastąpić wraz z uchwaleniem ustawy o PPK.

OSZCZĘDZANIE TO INWESTYCJA

Oszczędzanie w ramach PPK nie będzie „przyjemnością" dla pracodawcy, jak przewrotnie zauważył autor, ale może stać się istotnym elementem polityki kadrowej, zwłaszcza po zmianach dotyczących możliwości różnicowania składki dodatkowej. Reprezentacja pracownicza uzyskała silny wpływ, podobnie jak przy PPE, na wybór firmy prowadzącej PPK. Własność środków uczestnika jest potwierdzona ustawowo, czego nigdy nie było w przypadku OFE i w tym sensie porównywanie PPK do OFE przez autora jest nieuprawnione. Każde odłożenie konsumpcji w czasie to pewne wyrzeczenie, ale skoro – jak uważa Stefan Sękowski – czeka nas „emerytalna katastrofa", to może jednak warto? Prowadząc rozważania na temat kosztów po stronie pracowników i pracodawców, autor nie wspomina, że projekt ustawy poparli reprezentatywni partnerzy społeczni, z jednym wyjątkiem (OPZZ).

W oczywisty sposób inwestowanie w stabilne, dobre spółki notowane na GPW jest korzystne zarówno dla potencjalnych uczestników PPK, jak i polskiej gospodarki. Ostatnie lata wskazują, że najbardziej stabilnym jej elementem są firmy krajowe, zarówno prywatne, jak i państwowe. Czy zatem istotnie „nie budzi zaufania" to, że dobrze skapitalizowany, przygotowany Polski Fundusz Rozwoju, będący liderem wielu poważnych przedsięwzięć gospodarczych, odpowiada za udany start PPK, w tym utworzenie kluczowego portalu informacyjnego? Należy podkreślić, o czym autor nie wspomina, że w stosunku do pierwotnego projektu ustawy, także na skutek uwag partnerów społecznych i pewnego samoograniczenia, rola PFR uległa istotnemu zawężeniu. Jej kluczowe elementy pozostały i to jest dobre dla całości koncepcji, co znalazło odzwierciedlenie w poparciu końcowym dla projektu ustawy ze strony zdecydowanej większości interesariuszy.

Nie sposób nie zauważyć, że w Wielkiej Brytanii w reformie dodatkowego oszczędzania emerytalnego kluczową rolę odegrała instytucja NEST, na której sukcesie zbudowano koncepcję zaangażowania Polskiego Funduszu Rozwoju w projekt PPK.

Do projektu ustawy o PPK po konsultacjach społecznych zgłoszono ponad tysiąc uwag i poprawek. Dużą ich część zgłosili partnerzy społeczni, ale też instytucje rynku kapitałowego, ministerstwa oraz NBP.

Autor artykułu skoncentrował się na tej ostatniej opinii, zawierającej elementy krytyczne wobec projektu ustawy o PPK, w szczególności związane z polityką inwestycyjną funduszy „należących" do państwa. Trudno nie odnieść wrażenia, że Stefan Sękowski w samej Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju widzi pewne zagrożenia dla środków gromadzonych w PPK z uwagi na „przekierowanie" ich na rzecz przedsięwzięć, które rząd uzna za najpoważniejsze dla państwa. Czy zatem w krajach Unii Europejskiej tego typu inwestycje też są uważane za ryzykowne?

Po kryzysie finansowym, który dotarł do Europy w 2008 r., zmieniono zasady polityki inwestycyjnej, także konserwatywnie zarządzanych funduszy rezerwy demograficznej. Asekurują one publiczne systemy emerytalne (potocznie – ZUS-owskie) w celu uzupełnienia ewentualnego przyszłego niedoboru środków pieniężnych na wypłaty.

Przez wiele lat krajem, na którym wzorowała się Polska, była Irlandia, nazywana „zieloną wyspą". Irlandzki Narodowy Fundusz Rezerwy Emerytalnej (NPRF) w ostatniej dekadzie zdecydował się na zrównoważoną strategię lokacyjną, z silnym udziałem inwestycji w sektor publiczny. Zmiany po kryzysie finansowym określiły nową strukturę portfela: 49 proc. akcji, 18 proc. instrumentów dłużnych, 10 proc. udziałów i akcji w spółkach nienotowanych na rynku regulowanym, 8 proc. z inwestycji w nieruchomości oraz 15 proc. w pozostałych kategoriach (w tym w projektach infrastrukturalnych lub rynku surowców).

Następnie (w 2011) umożliwiono inwestycje NPRF na rynku krajowym i wsparcie strategicznych sektorów gospodarki. Ostatnie zmiany prawne mają na celu inwestowanie większej części aktywów w irlandzki sektor małych i średnich przedsiębiorstw w postaci strategicznych inwestycji bezpośrednich. Rząd zmienia wzorcową strukturę portfela tak, aby również te aktywa finansowały działalność niewielkich irlandzkich przedsiębiorstw. Bezpośrednie inwestycje są skierowane m.in. do powstających firm technologicznych, farm wiatrowych i tradycyjnych przedsięwzięć infrastrukturalnych (m.in. drogowych).

Koncepcja inwestowania w ramach PPK i rola PFR jest nie tylko zgodna, lecz także – niech mi wolno stwierdzić – niezwykle ostrożna wobec rozwiązań zagranicznych.

NIE MA Z CZEGO OSZCZĘDZAĆ?

Nieprawdą jest również informacja, że powodem nieodkładania na starość jest niski poziom dochodów. Według ostatnich danych GUS wskaźnik rozporządzalnego dochodu wzrósł na tyle, że w skali, którą oferuje PPK, taka inwestycja uczestnika jest w pełni możliwa. Płace rosną w tempie 5–7 proc., w wielu branżach mamy do czynienia z rynkiem pracownika, a bezrobocie ma charakter frykcyjny (poniżej 5 proc. w nomenklaturze pomiaru UE). Trudno zrozumieć, dlaczego autor sprowadza koncepcję PPK do „dorzucenia pracownikom dodatkowych składek". Nie znajduje to oparcia w faktach i zasadach ekonomii. Pamiętajmy, iż jeśli chcemy coś odłożyć na przyszłość, ograniczamy konsumpcję. Na tym polega mechanizm akumulacji.

Aby PPK odniosły sukces, trzeba mocno współdziałać z partnerami społecznymi, przekonywać potencjalnych uczestników o ważności nowej koncepcji oszczędzania na cel emerytalny i wykorzystać nowe możliwości pracy edukacyjnej poprzez Funduszu Edukacji Ekonomicznej. Warto oszczędzać w PPK, to się opłaci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem ekonomii (w specjalności ubezpieczenie społeczne), współtwórcą kilkudziesięciu PPE. Od 2013 r. jest związany z GPW w Warszawie. Był m.in.: wiceprezesem Pracowniczego TE Banku Handlowego, doradcą przewodniczącego KNF i prezesem IGTE.

eprasa.pl 358b74afb8

Nowe otwarcie

Tauron powoli, ale konsekwentnie wychodzi z niełatwej sytuacji biznesowej, w której znalazł się kilka lat temu. Zreorganizował strukturę, poprawił wyniki finansowe i wyprowadził na prostą ważne z punktu widzenia państwa inwestycje

Dla Taurona, jednego z czterech herosów polskiej energetyki i jednej z dziesięciu największych firm w kraju, ostatnie lata nie były łatwe. Obecny zarząd pod kierownictwem Filipa Grzegorczyka przejął firmę nadmiernie zadłużoną i niegotową do ukończenia rozpoczętych projektów inwestycyjnych. Dlatego w pierwszej kolejności musiał ją zrestrukturyzować i odchudzić. Zrobił to skutecznie, bo spółka zaoszczędziła już 1,3 mld zł. Grupa pozyskała też zewnętrzne finansowanie na łączną kwotę ok. 3,4 mld zł. Jednocześnie Grzegorczyk – jako pierwszy spośród szefów spółek Skarbu Państwa – wprowadził nowe zasady, przekładające się na oszczędności na wynagrodzeniach zarządów spółek. W rezultacie on sam zarabia o 1,2 mln zł rocznie mniej od swojego poprzednika w Tauronie, a zarząd kierowanej przez niego firmy otrzymuje najniższe wynagrodzenie spośród czterech wielkich spółek energetycznych. Grzegorczyk podpisał też porozumienie płacowe, które w perspektywie trzech lat da firmie oszczędności rzędu 460 mln zł. Efekty tej dyscypliny kosztowej już widać w coraz lepszych wynikach finansowych: to pięcioprocentowy wzrost przychodów ze sprzedaży w pierwszej połowie 2018 r. (w porównaniu z pierwszym półroczem 2017), które przekroczyły 9 mld zł, oraz dwuprocentowy wzrost EBITDA do poziomu 2,2 mld zł.

NADZIEJA W RYNKU MOCY

Wszystkie wprowadzane przez obecny zarząd zmiany były konieczne, aby koncern mógł w sposób jak najmniej bolesny dostosować się do dynamicznie zmieniającej się rzeczywistości na rynku energii elektrycznej w Polsce.

– Tauron od samego początku był w najtrudniejszej sytuacji, posiadając sporo aktywów węglowych i sporo niezmodernizowanego majątku wytwórczego. Nie mieliśmy nigdy „handicapu" w postaci elektrowni pracujących na węglu kamiennym i nie możemy się pochwalić osiągnięciami jak Polska Grupa Energetyczna – mówił na wrześniowym IV Kongresie Energetycznym we Wrocławiu Filip Grzegorczyk, prezes Taurona.

Złożone aktywa węglowe spowodowały, że Tauron potrzebował i nadal potrzebuje więcej czasu, aby uporządkować swój obszar wydobycia, który wciąż jest problematyczny i generuje największe koszty dla grupy. Tym bardziej że ten sektor ma to do siebie, iż wymaga długoletnich nakładów inwestycyjnych, aby był rentowny.

– Tauron przez lata zarabiał na elektrowniach węglowych, które są coraz starsze, wymagają poważnych inwestycji środowiskowych i zwyczajnie nie są w stanie na siebie zapracować na rynku energii – zauważa Joanna Maćkowiak-Pandera, prezes Forum Energii. Dodaje przy tym, że Tauron, podobnie jak większość firm energetycznych w Europie, musi przygotować się na nowe otwarcie:

– Konieczne jest szukanie nowych modeli biznesowych, bo na wytwarzaniu energii – szczególnie z węgla – nie da się już zarobić. W Polsce obiecujące kierunki rozwoju są związane z elektrycznym transportem, ze źródłami odnawialnymi, z usługami energetycznymi dla odbiorców oraz niskoemisyjnym ciepłownictwem, czyli rozwojem sieci ciepłowniczych – klaruje Maćkowiak-Pandera.

Jej zdanie zdaje się podzielać Wojciech Jakóbik, redaktor naczelny serwisu Biznes Alert:

– Tauron w porównaniu z innymi państwowymi koncernami energetycznymi ma największe dziedzictwo węglowe i posiada najstarsze elektrownie w systemie, przez to jest najbardziej wrażliwy na coraz bardziej ambitną politykę klimatyczną. To przed nim stoi największe wyzwanie transformacji, a żeby przetrwać w nowych warunkach, musi rozwijać nowe technologie – magazyny energii, inwestycje w OZE i obsługę klienta – podkreśla Jakóbik.

eprasa.pl 358b74afb8

Taurona

FOT. RADOSŁAW KAŹMIERCZAK/TAURON

Czy Tauronowi w najbliższym czasie uda się przejść transformację, która zapewni mu bardziej komfortową sytuację niż ta, w której jest dzisiaj? Czas pokaże, ale już teraz zarząd robi wszystko, aby tak się stało. Między innymi z tego powodu prezes Grzegorczyk walczy o rynek mocy, który jest szansą dla całego sektora energetycznego na pozyskanie środków niezbędnych do sfinansowania transformacji w kierunku zielonej energii.

– Przede wszystkim to szansa na zapewnienie bezpieczeństwa zasilania w kraju. Chcemy rozwijać instalacje gazowe, elektrownie wiatrowe i wodne, fotowoltaikę, uczestniczyć w klastrach energii. Środki pozyskane z rynku mocy pomogą nam osiągnąć ambitne cele klimatyczne w realnym czasie – tłumaczy prezes Taurona.

WIELKIE INWESTYCJE

To, co pozytywnie wyróżnia Taurona na tle pozostałych koncernów w tej branży, to wyraźne sukcesy w rozwijaniu oferty multienergetycznej. W 2017 r. liczba wszystkich jego produktów, z których skorzystali klienci rynku masowego, przekroczyła 5 mln, z usług serwisowych oferowanych przez grupę skorzystało natomiast ponad milion klientów.

Będąc jedną z największych polskich firm, Tauron przeznacza też znaczące środki na inwestycje – w pierwszym półroczu było to 1,48 mld zł, a zgodnie z nową strategią do 2020 r. na ten cel ma pójść 18 mld zł. Środki na inwestycje idą z różnych źródeł. We współpracy z Europejskim Bankiem Inwestycyjnym i przy wsparciu resortów rozwoju i energii Tauron podpisał pierwszą w Europie emisję obligacji hybrydowych w ramach planu Junckera. Wartość obligacji to 190 mln euro. To środki na inwestycje w segment dystrybucji. W czerwcu 2017 r. spółka wyemitowała euroobligacje o wartości 500 mln euro z przeznaczeniem na zrefinansowanie kosztów budowy i nabycia farm wiatrowych przez jedną ze spółek grupy i realizację inwestycji w segmencie dystrybucji. Kolejnym krokiem jest współpraca z Bankiem Gospodarstwa Krajowego, z którym spółka we wrześniu 2017 r. podpisała umowę na finansowanie o wartości 400 mln zł. Środki te także mają iść na inwestycje.

CZAS NA JAWORZNO

Co najważniejsze, Tauron kontynuuje dwie kluczowe inwestycje, czyli budowę bloku 910 MW w Elektrowni Jaworzno III i bloku w Elektrociepłowni Stalowa Wola. Nowy blok w Jaworznie ma być najnowocześniejszym blokiem węglowym w Europie. Zapewni on dostawy dla ponad 2,5 mln klientów na Śląsku. Upraszczając, dziś ten cel realizowany jest przez pięć mniejszych elektrowni. Nowy blok w Jaworznie będzie też bardziej przyjazny dla otoczenia, bo ograniczy emisję dwutlenku węgla o prawie 30 proc., a pozostałych gazów – o ponad 50 proc. W finansowanie inwestycji ma się włączyć Polski Fundusz Rozwoju (PFR), który przekaże na ten cel ok. 880 mln zł. Blok ma zostać przekazany do eksploatacji pod koniec 2019 r.

Część uzyskanych na inwestycje pieniędzy Tauron zamierza przeznaczyć na działania proekologiczne, na które w latach 2016–2017 wydał już ponad 650 mln zł. Większość projektów przyczyniła się do minimalizacji wpływu na środowisko poprzez inwestycje w wysokosprawne i niskoemisyjne aktywa wytwórcze, minimalizację strat sieciowych, promowanie ciepła systemowego, wspieranie elektromobilności i zachęcanie klientów do przechodzenia na bardziej przyjazne środowisku źródła ciepła.

KIERUNEK: INNOWACJE

W firmie dobrze się też dzieje w strefie innowacji, na które Tauron z sukcesem pozyskuje duże pieniądze. Kilka dni temu w elektrowni w Łaziskach uruchomiono pilotażową instalację do wychwytywania dwutlenku węgla, z którego następnie ma być produkowany syntetyczny gaz ziemny. Pozyskany w ten sposób gaz może być wtłaczany do istniejącej sieci gazowniczej i wykorzystany w godzinach szczytu do produkcji energii, np. w turbinie gazowej, albo po sprężeniu, już jako CNG, wykorzystywany w transporcie samochodowym.

Grupa pozyskała też 28 mln zł dofinansowania na osiem projektów w konkursie ogłoszonym przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju.

Pisząc o inwestowaniu w innowacje, nie sposób pominąć powołania w 2016 r. spółki TAURON Magenta, zajmującej się rozwijaniem produktów przełomowych we współpracy ze start-upami, które również leżą w obszarze zainteresowań tego energetycznego giganta. Chodzi m.in. o projekty dotyczące inteligentnych technologii dla domu oraz rozwiązań dla transportu zasilanego energią elektryczną.

Koncern kontynuuje też prace nad projektem z zakresu obszaru elektromobilności oraz car-sharingu samochodów elektrycznych. W tym celu w maju, podczas Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach, Tauron podpisał list intencyjny z ING Bankiem Śląskim. Obie firmy chcą kreować rynek samochodów elektrycznych w Polsce i przy okazji budować niezbędną infrastrukturę. Zgodnie z tym tylko w Katowicach w październiku pojawić się mają 22 ładowarki do tego typu aut. Ich lokalizacja nie jest przypadkowa – staną na terenie całego miasta w taki sposób, aby można było swobodnie poruszać się „elektrykiem" po metropolii. Powstanie też flota aut elektrycznych do wynajęcia.

Tak duży nacisk na innowacje wyraźnie pokazuje, że Tauron to firma, która myśli przyszłościowo. Bo to właśnie innowacje zdecydują o przewadze konkurencyjnej przedsiębiorstw energetycznych w przyszłości, a dla Taurona to zdecydowanie dobra wiadomość.

Marta Szuma

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 358b74afb8

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Bezpieczeństwo ma swoją cenę

To wie każdy: ubezpieczenie – zwłaszcza dobre – nie jest tanie. Szczególnie gdy chodzi o ubezpieczenie czegoś tak dużego i złożonego jak państwo – zwłaszcza leżące w tak newralgicznej, a przez to niezbyt bezpiecznej części świata jak centrum Europy, i w dodatku między Rosją a Niemcami. Z tego powodu o cenie ewentualnych stałych baz USA (i innych instalacji NATO-wskich) w Polsce może i trzeba rozmawiać, ważąc, czy 2 mld dol. to dla nas dużo czy mało, lecz warto przy tym nie zapominać, o ubezpieczeniu czego się dyskutuje. A chodzi przecież o ubezpieczenie – o być albo nie być! – Polski.

Dobre ubezpieczenie Polski nie może więc kosztować mało (choć, rzecz jasna, powinno kosztować możliwie jak najmniej), co nie wszyscy chcą przyjąć do wiadomości. Wszak już Piłsudski narzekał, że „Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi. A niepodległość jest dobrem nie tylko cennym, ale bardzo kosztownym".

W dodatku, kto chce naprawdę ochronić swą niepodległość i wolność, musi się o to troszczyć, czyli – nie inaczej – wydawać na to pieniądze, i to przeważnie duże, czasami bardzo duże, gdy o prawdziwym zagrożeniu nie ma jeszcze nawet mowy. Bo takich – dobrych – ubezpieczeń nie da się „kupić" z dnia na dzień ani nawet z miesiąca na miesiąc. To wymaga często wieloletnich zabiegów i inwestycji.

Dobre ubezpieczenie od wojny (utraty niepodległości, wolności itd.), do której oby nigdy nie doszło, kosztuje dużo, lecz zazwyczaj się opłaca – nie tylko dlatego, że już samo jego posiadanie zmniejsza ryzyko wojny, bo odstrasza potencjalnych intruzów przed agresją. I nie tylko dlatego, że lepiej – nawet jeśli dużo i już teraz – płacić za niepodległość i wolność pieniędzmi, by potem nie płacić za nie krwią. Dobre ubezpieczenie od wojny zazwyczaj się opłaca też dlatego, że pozwala odnosić korzyści również w czasie pokoju – nie trzeba przypominać, o ileż atrakcyjniejszym rynkiem dla inwestorów jest kraj, który takie ubezpieczenie posiada.

Lecz nawet najlepsze ubezpieczenie w żadnym razie nie zastąpi równie koniecznych, a przy tym znacznie kosztowniejszych inwestycji we własną obronę. Przeciwnie – dobre ubezpieczenie może być naprawdę skuteczne jedynie w przypadku posiadania własnej silnej armii, której też nie da się „kupić za dwa grosze". Nadto i w tym przypadku najlepiej inwestować w jej wzmocnienie – w żołnierzy i uzbrojenie – wówczas, gdy jeszcze o jakimkolwiek poważnym zagrożeniu nie ma mowy. Wszystko to jednak pod warunkiem, że się te pieniądze – na ubezpieczenie i zbrojenia – ma. A z zapowiedzi, że w MON trwają prace nad powołaniem Funduszu Obrony Narodowej (wzorowanego na tym sprzed II wojny światowej) – który miałby gromadzić datki od obywateli i instytucji – wynika, że jest z tym gorzej niż źle. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Ostatnie osiągnięcie ludzkości

Stworzenie sztucznej inteligencji będzie największym osiągnięciem w dziejach ludzkości. Niestety, może to być również ostatnie osiągnięcie. Tak przynajmniej uważał Stephen Hawking. I wraz z ośmioma tysiącami innych naukowców, intelektualistów, przedsiębiorców i ekspertów od sztucznej inteligencji podpisał list wzywający do umiaru i takiego ukierunkowania badań nad sztuczną inteligencją, żeby nie zaszkodzić ludzkości.

Tworzone przez człowieka programy stają się coraz lepsze i uzyskują nadludzkie możliwości

Przed czym przestrzegają intelektualiści? Przed stworzeniem programu komputerowego (lub systemu współpracujących ze sobą programów), który będzie kontrolował różne urządzenia (od tosterów przez samochody do elektrowni atomowych) i samodzielnie podejmował decyzje, być może realizując własne cele, niekoniecznie zgodne z interesem człowieka. Zastanówmy się, dlaczego tak się dzieje i dlaczego tego procesu prawdopodobnie nie da się zatrzymać?

Po pierwsze, tworzone przez człowieka programy stają się coraz lepsze i uzyskują nadludzkie możliwości w wielu dziedzinach, które wymagają przetwarzania bardzo wielu danych: liczb, tekstu, dźwięku i obrazu.

Po drugie, błyskawicznie rozwija się Internet rzeczy, rosną moce obliczeniowe i dzięki nowym technologiom zwiększa się przepustowość sieci przesyłających dane. Na przykład platforma Eagle opracowana przez firmę Second Spectrum, używana przez wszystkie zespoły NBA, pozwala w czasie rzeczywistym podejmować optymalne decyzje, kogo wprowadzić na boisko, w jakim ustawieniu zagrać itp. Intuicja człowieka została zastąpiona analizą olbrzymiej ilości danych. Rolls-Royce dzięki uczeniu maszynowemu i wykorzystaniu Internetu rzeczy jest w stanie przewidywać możliwe usterki, co radykalnie poprawia bezpieczeństwo produkowanych silników lotniczych.

Zatem ludzie kontrolujący biliony dolarów w polityce, biznesie, mediach i wojsku będą coraz więcej środków przeznaczali na rozwój tych technologii, żeby osiągnąć przewagę polityczną, ekonomiczną i militarną nad swoimi konkurentami. Na razie ludzie podejmują decyzje ze wsparciem sztucznej inteligencji, ale już wkrótce powstaną systemy autonomiczne, takie jak autonomiczny samochód, żołnierz-robot czy system skoringu społecznego. I przed tym właśnie przestrzegał Stephen Hawking. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 358b74afb8

TEST „DO RZECZY": SŁUCHAWKI PANASONIC RP-HD605N

Na głośne dziecko w samolocie trafić nietrudno. Nieludzka pora podróży, bezsensowne przechodzenie kolejnych kontroli bezpieczeństwa, wreszcie koszmarnie zatłoczona klasa ekonomiczna. W takich warunkach samemu chce się rozedrzeć. A jeśli dodać do tego strach przed lotem i piekielny ból w zatykających się uszach, to bluzgającego z piskiem na cały świat malucha bardzo łatwo zrozumieć. Niemniej jednak osiem lub nawet pięć godzin z takim drącym się w niebogłosy małym dżentelmenem lub taką małą damą potrafi wyprowadzić z równowagi nawet buddyjskiego mnicha.

W takich przypadkach przydać się może najnowszy model bezprzewodowych słuchawek nausznych Panasonica. Oferują one trzy tryby aktywnej redukcji szumów: niską, średnią oraz wysoką. System na tyle dobrze radzi sobie z niwelowaniem hałasu z zewnątrz, że potrafi przemienić monotonny ryk dziecka w ledwo słyszalny szmer. Jak to działa? Znajdujący się na zewnątrz obudowy mikrofon wychwytuje hałas, natomiast element emitujący przeciwdźwięki umieszczono na głośniku, blisko błony bębenkowej. Po wybraniu najsilniejszej opcji wyraźnie słychać działanie systemu, co dla niektórych może być irytujące. Przy tak silnych przeciwdźwiękach po dłuższym czasie miałem też delikatne zawroty głowy. Przy niższych poziomach ten problem nie był u mnie tak mocno odczuwalny.

Redukcja szumów otoczenia pozwala nie tylko odciąć się od hałasu, lecz także cieszyć się czystym, wysokiej jakości dźwiękiem. W tym modelu dobrze słychać zarówno basy, jak i soprany. Jak można się było spodziewać, testowane słuchawki najlepiej brzmią, gdy do źródła dźwięku podłączymy je na dołączonym w zestawie kablu. Na szczęście w wersji bezprzewodowej też jest nieźle – testowany model obsługuje najważniejsze formaty wysokiej rozdzielczości, takie jak LDAC i aptX HD.

Plastikowa konstrukcja nie jest piękna ani brzydka. W zasadzie niczym się nie wyróżnia. Na plus zaliczyć można miękkie poduszki 3D, dzięki czemu słuchawki są komfortowe w użytkowaniu nawet po kilku godzinach na głowie. Ten model nie nadaje się jednak za bardzo na siłownię – w nausznych słuchawkach szybko robi się bowiem za gorąco.

Na jednym ładowaniu słuchawki potrafią działać do 20 godzin. I mogą służyć również jako zestaw do prowadzenia rozmów.

Cena: 1,3 tys. zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

ŚWIATEŁKO W CIEMNOŚCI

Lubicie eksplorować podziemne tunele, jaskinie, spacerować po ciemnych zaułkach parków, lasów, ciesząc się mistycznym nastrojem chwili? To jest coś dla was. Specjalna opaska z lampą dostosowaną do warunków otoczenia: BioLite. Największa zaleta? Jest wygodna, nieuciskająca i pozwalająca zachować obie ręce wolne, co np. dla grotołazów jest dość istotne.

Zakładana na głowę fit-opaska z wmontowanymi w nią niewielkimi diodami daje światło o sile 330 lumenów i ma cztery tryby wyboru poziomu oświetlenia, z jakiego użytkownik chciałby skorzystać: pełna kontrola jasności, oświetlenie minimalne, światło stroboskopowe i poziom tzw. czerwonego widzenia nocą.

Producent twierdzi, że opaska waży niewiele, jest „antygrawitacyjna", co oznacza tyle, że nie przesuwa się na czole w trakcie jej noszenia, wreszcie, że została wykonana z materiałów, które wchłaniają pot podczas aktywności fizycznej.

BioLite HeadLamp można zamawiać na Kickstarterze w cenie ok. 160 zł za sztukę, dostawa w drugiej połowie grudnia.

A MOŻE NA ROWER?

Pogoda cokolwiek się zepsuła, jak to jesienią, ale za to przybywa dróg rowerowych, często kosztem bezpiecznych arterii samochodowych i dróg dla pieszych. Przybywa też coraz więcej ciekawych projektów rowerów elektrycznych i Sterka M1 jest właśnie jednym z nich. Najkrócej mówiąc, Sterka M1 to wysokiej klasy, wydajny i modułowy rower elektryczny, który można złożyć samemu w domu, dostosować do swoich potrzeb i w razie ich zmiany rower rozbudować. Producent zapewnia, że pełen montaż roweru nie powinien zająć nikomu więcej czasu niż trzy godziny.

Czym Sterka M1 różni się od obecnych na rynku elektrycznych bicykli? Między innymi silnikiem 350 W Mid Drive Pedelec Motor uzupełnionym 5-biegową wewnętrzną przekładnią. Przy tym silnik posiada dwa systemy: wspomagania pedałowania momentu obrotowego – czujniki mierzą rzeczywistą siłę pedałowania i używają silnika, aby utrzymać ten sam wysiłek podczas pokonywania wzniesień w celu utrzymania prędkości, oraz podstawowy system wspomagania pedałowania na terenach płaskich, w którym czujniki mierzą, czy rowerzysta pedałuje, czy zwolnił tempo pracy nóg, i pozwalają na utrzymanie tempa poprzez ręczne przełączenie przycisku wspomagania prędkości.

Zaletą pojazdu jest też lekka rama skonstruowana z arkuszy z włókna węglowego i stopu. Całkowita waga roweru z akumulatorem to ok. 27 kg. Sterka M1 kosztuje ok. 6,5 tys. zł i można ją zamawiać na Kickstarterze, przy czym na dostawę trzeba także poczekać do grudnia. ©℗ ***Wojciech Wybranowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 358b74afb8

Zabójczy tandem

Katarzyna Pinkosz

Z żadnego innego powodu nie umiera w Polsce przedwcześnie tak wiele osób jak z powodu chorób serca, których przyczynami są zbyt wysokie ciśnienie tętnicze i zbyt wysoki poziom cholesterolu. Są skuteczne sposoby leczenia. Dlaczego więc ich nie stosujemy?

FOT. FOTOLIA

Nadciśnienie tętnicze ma w Polsce 10–11 mln osób, hipercholesterolemię – nawet 18 mln. U osób, które mają „zabójczy duet", czyli zbyt wysokie ciśnienie krwi i zbyt wysoki poziom cholesterolu, ryzyko zawału serca i udaru mózgu wzrasta kilkakrotnie.

Dzisiaj są już skuteczne sposoby obniżania zarówno nadciśnienia, jak i zbyt wysokiego poziomu cholesterolu, dzięki czemu co roku nie musiałoby w Polsce umierać 157 tys. osób z powodu chorób serca. Skoro takie metody są, to dlaczego udaje się je stosować zaledwie kilkunastu procentom osób?

120/80 ZAMIAST 200/160

Tylko w ok. 5–10 przypadkach nadciśnienie jest skutkiem innej choroby, np. nerek. U 90–95 proc. osób nie udaje się stwierdzić jednej przyczyny nadciśnienia. Jest nią pewna predyspozycja genetyczna oraz nakładające się czynniki ryzyka, takie jak wiek, palenie papierosów, nadwaga i otyłość, nadmiar soli w diecie, siedzący tryb życia, stres, picie alkoholu. Liczba osób w Polsce cierpiących na nadciśnienie stale rośnie. – Do 2025 r. ta liczba może wzrosnąć nawet o 50 proc. – alarmuje prof. Zbigniew Gaciong z Kliniki Chorób Wewnętrznych, Nadciśnienia Tętniczego i Angiologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Niepokojące jest to, że problem zaczyna dotykać osób w coraz młodszym wieku. – Z badań, które przeprowadzaliśmy wśród uczniów kończących liceum, wynikało, że 9 proc. z nich ma już nadciśnienie tętnicze. Prawie co dziesiąty 18-latek ma nadciśnienie. Ta grupa niestety rośnie, to pochodna otyłości w młodym wieku – dodaje prof. Zbigniew Gaciong.

Prawidłowe ciśnienie powinno być niższe niż 140/90 mmHg (ideał to 120/80). Jeśli jest wyższe, to trzeba je obniżać. Podstawą jest zawsze zmiana stylu życia. Zasady są proste: większa aktywność fizyczna, rzucenie palenia, unikanie stresu, zdrowa dieta z przewagą warzyw i owoców, unikanie alkoholu oraz schudnięcie. Jeden kilogram wagi mniej oznacza spadek ciśnienia o 1 mm, czyli dzięki schudnięciu o 10 kg można bez leków obniżyć ciśnienie o 10 mmHg.

– Ważne jest też ograniczenie ilości soli. Doświadczenia z dietą DASH pokazały, że dieta zawierająca niewielką ilość soli obniża ciśnienie. Trzeba jednak pamiętać, że sól, którą dosypujemy do potraw, to tylko kilkanaście procent

eprasa.pl 358b74afb8

dziennego spożycia. Dlatego należy też ograniczyć spożywanie takich produktów, jak wędliny, żółte sery, fast foody, które zawierają bardzo dużo soli – przekonuje prof. Gaciong.

BLASZKA W NACZYNIU

Jeszcze więcej osób w Polsce ma zbyt wysoki poziom cholesterolu. – Cholesterol jest elementem budulcowym organizmu, wchodzi w skład ściany komórkowej, jest prekursorem niektórych hormonów sterydowych, hormonów płciowych. Nie możemy się bez niego obyć, jednak gdy jest go za dużo, wędruje do tych miejsc, gdzie nie powinno go być, czyli do naszych naczyń krwionośnych. Powoduje to rozwój miażdżycy i jej powikłań. Niestety, 18 mln Polaków ma nieprawidłowe stężenie cholesterolu, a dwie trzecie nawet o tym nie wiedzą – mówi prof. Artur Mamcarz z III Kliniki Chorób Wewnętrznych i Kardiologii II Wydziału Lekarskiego WUM.

Jedna na 200–300 osób w Polsce może być dotknięta hipercholesterolemią rodzinną, która powinna być jak najszybciej zdiagnozowana i leczona. W tym przypadku wysoki poziom cholesterolu nie zależy od stylu życia: mogą go mieć także osoby młode, szczupłe, wysportowane i zdrowo się odżywiające. Jednak w 99 proc. przypadków zbyt wysoki poziom cholesterolu to kwestia stylu życia: spożywania nadmiernej ilości tłuszczów pochodzenia zwierzęcego, palenia papierosów, otyłości, braku aktywności fizycznej.

– Jeśli od czasu do czasu ktoś ma ochotę zjeść kotlet schabowy, to nic złego się nie stanie, gdy to jest naprawdę sporadyczne. Problemem jest jednak codzienne, zwyczajowe spożywanie zbyt dużej ilości tłuszczów pochodzenia zwierzęcego, mięsa, żywności wysoko przetworzonej, zbyt duża ilość kalorii w diecie – tłumaczy prof. Artur Mamcarz.

Nadmiar cholesterolu wnika do ściany naczyń, powoduje powstanie blaszki miażdżycowej i zwężenie naczynia krwionośnego. Jeśli do tego dołoży się zbyt wysokie ciśnienie, to łatwo może dojść do pęknięcia blaszki miażdżycowej i wlania się galaretowatej substancji do wnętrza naczynia i jego zatkania. W zależności od tego, gdzie to się stanie, konsekwencjami mogą być zawał serca, udar mózgu, ostra niewydolność nerek. – Jeśli chory będzie miał szczęście i dostanie zawału, to może zostanie dowieziony na czas do ośrodka kardiologii interwencyjnej, lekarze poszerzą mu naczynie, założą stent, a pacjent będzie miał poczucie, że znów jest zdrowy. Jednak w tak samo złym stanie są jego inne naczynia krwionośne, w każdej chwili może dojść do powtórki, jeśli chory nie będzie się leczyć – dodaje prof. Mamcarz.

Konieczna jest zmiana stylu życia: większa ilość warzyw i owoców, ryb, ograniczenie tłuszczów zwierzęcych, większa aktywność fizyczna, schudnięcie. Jeśli to nie pomaga, to trzeba też przyjmować leki.

DLACZEGO SIĘ NIE LECZYMY?

40 proc. osób nie wie, że ma nadciśnienie, gdyż nie mierzy sobie ciśnienia. Jednak duża grupa osób, chociaż wie o zbyt wysokim ciśnieniu, i tak nie podejmuje leczenia albo robi to niesystematycznie. – Pacjenci w gabinecie lekarza słyszą zalecenia: „Schudnij, zacznij być aktywny fizycznie". Jest to jednak trudne, dlatego wolą dostać leki. Niestety, gdy je dostają, to też nie stosują ich systematycznie. Są mało wytrwali: po pół roku tylko jedna trzecia osób kontynuuje terapię. To zatrważające dane – mówi dr hab. n. med. Jacek Lewandowski z Kliniki Chorób Wewnętrznych, Nadciśnienia Tętniczego i Angiologii WUM.

Jeszcze gorzej statystyki wyglądają w przypadku hipercholesterolemii: dwie trzecie osób nie wiedzą, że mają zbyt wysoki poziom cholesterolu. Nawet jednak ci, którzy o tym wiedzą, nie zawsze podejmują terapię. Prawidłowo leczy hipercholesterolemię zaledwie ok. 8–10 proc. osób.

Tymczasem każdy z tych czynników powoduje wzrost ryzyka miażdżycy, zawału, niewydolności serca, udaru mózgu. U osób, które mają nadciśnienie i hipercholesterolemię (a często do tego duetu dołącza jeszcze cukrzyca), ryzyko rośnie kilkukrotnie. – Swoim pacjentom często mówię obrazowo, że wysokie ciśnienie „wprasowuje" cholesterol w ścianę naczyń. Gdy kogoś boli ząb, szybko idzie do stomatologa, jednak nadciśnienie i wysoki poziom cholesterolu nie bolą, dlatego pacjenci nie chcą się leczyć. Poza tym leczenie jest przewlekłe, trwa latami – dodaje dr hab. Jacek Lewandowski.

Innym powodem robienia sobie przerw w leczeniu lub rezygnowania z niego jest przekonanie, że leki mają skutki uboczne, więc „po co się truć". Wciąż wielu pacjentów daje wiarę publikacjom, że „cholesterol to naukowe kłamstwo wymyślone po to, by zwiększyć zyski firm farmaceutycznych", „taka sama liczba osób umiera na zawał z powodu niskiego poziomu cholesterolu jak wysokiego", a „produkcja cholesterolu przez organizm wzrasta, gdy spożywa się mało tłuszczu, a gdy dużo – maleje". – Osoby, które piszą takie bzdury, nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za to, co mówią. Mają wiele osób na sumieniu, pod ich wpływem ludzie odstawiają leki obniżające ciśnienie i redukujące poziom cholesterolu – mówi prof. Mamcarz.

W 99 proc. przypadków zbyt wysoki poziom cholesterolu to kwestia stylu życia: spożywania nadmiernej ilości tłuszczów pochodzenia zwierzęcego, palenia papierosów, otyłości, braku aktywności fizycznej

Komu wierzyć: autorom publikacji, które nie mają pokrycia w faktach, czy opiniom lekarzy, którzy na co dzień widzą efekty rezygnowania z leczenia? Dane statystyczne potwierdzają, że z powodu zbyt wysokiego poziomu cholesterolu i nadciśnienia chorobą serca jest w Polsce zagrożonych 6,5 mln osób. Lepiej nie być jedną z nich, wykonać badania, zmienić coś w swojej diecie, zacząć się ruszać. Nie dać się zabójczemu tandemowi. A jeśli okaże się to konieczne – systematycznie się leczyć. Warto dłużej i lepiej żyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Prawidłowe wyniki:

Ciśnienie tętnicze:	<140/90 mmHg
Cholesterol całkowity:	<190 mg/dl
LDL („zły" cholesterol):	<115 mg/dl
dla pacjentów wysokiego ryzyka:	<100 mg/dl
dla pacjentów bardzo wysokiego ryzyka:	<70 mg/dl
HDL („dobry" cholesterol):	
u mężczyzn:	>40 mg/dl
u kobiet:	>45 mg/dl

eprasa.pl 358b74afb8

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Zdobywca Archioki

Piotr Konaszewicz zwany Sahajdacznym to kozacki bohater Ukrainy, który w przeciwieństwie do Bandery, Szuchewycza i innych złowrogich Krzywonosów zapisał się bohatersko w historii Rzeczypospolitej. Bił, kogo trzeba i kiedy trzeba, bo naszych wrogów – Turków i Moskali, nie brał udziału w buntach, został przyjacielem królewicza Władysława, bronił obozu pod Chocimiem w 1621 r., co zresztą przypłacił życiem.

Jego żywot w ogóle był niezwykły, zważywszy na to, że urodzony ok. 1580 r. w rodzinie mieszczan z Sambora uczył się w szkole prawosławnej w Ostrogu. Nie wiadomo jednak, co skłoniło go do niespodziewanego porzucenia kariery dworskiej i wstąpienia w szeregi Kozaków zaporoskich. Być może brał udział w wydarzeniach wielkiej smuty, stając po stronie Dymitra Samozwańca II pod komendą Nalewajki i Aleksandra Lisowskiego.

W 1615 r. Konaszewicz dokonał wyczynu, który przeszedł do historii kozaczyzny. Na wiosnę wyprawił się w 80 czajek na Turków, spalił Misewnę i Archiokę (prawdopodobnie Ortaköy) pod Konstantynopolem, wywołując wściekłość Turków, złupił okolice Oczakowa, próbował nawet zdobyć zamek. Wysłaną w pościg flotę Kozacy pobili u ujścia Dunaju, a w następnym roku urządzili wyprawę, w której na pewno brał udział Konaszewicz, chociaż nie ma pewności, że on właśnie dowodził. Najpierw pobił na limanie dnieprowym flotę Ali Paszy, zdobył Kaffę na Krymie, złupił Trapezunt i powtórnie okolice Konstantynopola. Dzięki sławie uzyskanej w czasie wypraw został obrany nieformalnym (nieuznawanym przez władze Rzeczypospolitej) hetmanem kozackim. A ponieważ świetnie strzelał z łuku, już wcześniej otrzymał przydomek

FOT. WIKIPEDIA

Sahajdaczny – od sahajdaka, czyli turecko-tatarskiego futerału na łuk.

Kolejne wojenne dzieła Konaszewicza związane były z wojną z Moskwą. W czerwcu 1618 r. poprowadził z Ukrainy ogromną wyprawę prawie 20 tys. Kozaków z pomocą dla królewicza Władysława Wazy walczącego o odzyskanie korony carskiej. Sahajdaczny zdobył i złupił wiele miast – Liwny, Jelec, Skopin, Zarajsk, obległ Michajłów. Po przeprawieniu się przez Okę pod Kołomną pobił pod Moskwą wysłane przeciwko niemu wojska Buturlina, a w październiku pod Tuszynem połączył się z wyprawą królewicza. Chociaż nie udało się zdobyć stolicy, to zagony kozackie przyczyniły się do zawarcia rozejmu w Dywilinie w 1619 r. Konaszewicz wycofał się do Kaługi, którą zdobył i złupił.

Później Konaszewicz opowiedział się za patriarchą jerozolimskim Teofanesem, który wyświęcił na Ukrainie nowych hierarchów prawosławnych, łamiąc tym samym unię brzeską i doprowadzając do odrodzenia prawosławia, wspieranego w dodatku przez Kozaków. Stracił też prawdopodobnie stanowisko, gdyż Zaporożcy, niezadowoleni z ugody rastawickiej ograniczającej liczbę Kozaków rejestrowych do 3 tys., obrali sobie za nowego hetmana Jakuba Borodawkę; nie wzięli też udziału w tragicznej wyprawie Stanisława Żółkiewskiego do Mołdawii w 1620 r.

Rok później kozacka rada pod wpływem Konaszewicza zgodziła się wziąć udział w wojnie z Turcją w zamian za wstrzymanie przez króla likwidacji nowej, nielegalnej hierarchii prawosławnej. Konaszewicz wraz z Kozakami wyruszył do Mołdawii, a w czasie marszu pod Chocim otrzymał postrzał w rękę, co przyczyniło się do jego przedwczesnej śmierci. 30 sierpnia 1621 r. pod Mohylewem Kozacy, niezadowoleni z dowodzenia Borodawki, obrali go ponownie hetmanem. Konaszewicz kazał wówczas ściąć lub utopić poprzednika i połączył się z wojskami Jana Karola Chodkiewicza.

Kozacy odegrali wybitną rolę w obronie Chocimia. Rozłożeni taborem na lewym skrzydle wojsk Rzeczypospolitej odparli osiem szturmów tureckich, urządzali wiele wypadów, wspomagając armię koronną. Konaszewicz ranny i chory utrzymał buntujących się mołojców na służbie, a za zasługi w obronie Chocimia królewicz Władysław przysłał mu osobistego lekarza i podarki. Dzięki niemu Rzeczpospolita podpisała pod Chocimiem pokój utrzymujący status quo na południowej granicy państwa.

Niestety, rana z kampanii chocimskiej sprawiła, że wrócił do domu ciężko chory. 20 kwietnia 1622 r. zmarł w Kijowie i pochowany został w cerkwi Bogojawleńskiej, gdzie jednak później zniszczono jego nagrobek. Pozostawił po sobie sławę i mit pierwszego rzekomo uznanego przez Rzeczpospolitą hetmana, chociaż nawet pod Chocimiem tytułował się skromnie „starszym" nad Kozakami. ©℗

eprasa.pl 358b74afb8

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kura nioska do wynajęcia

JOANNA BOJAŃCZYK

Czy jest coś przyjemniejszego niż świeże jajeczko na śniadanie? Od szczęśliwej kurki – ma się rozumieć. Jak można mieć jednak pewność, że kurka, która zniosła dla nas owo jajko, była naprawdę szczęśliwa? Czy nie zniosła go na przykład miesiąc temu? Dzisiaj trudno wierzyć zapewnieniom producentów. Pewność możemy mieć tylko wtedy, gdy zniesienie jajka dokonało się na naszych oczach. Jednak nie każdy ma przywilej (i miejsce) posiadania kurnika, choć wielu o tym marzy.

Nic to. Znajomy Amerykanin podzielił się z nami informacją, że w jego kraju działa już usługa, której i my, miejmy nadzieję, wkrótce się doczekamy. Wypożyczalnia kur. Rent a chicken, dlaczego nie? Bierzesz do domu taką kurkę, razem z niezbędnym zestawem potrzebnym do jej utrzymania, i przez sto dni masz codziennie świeże jajeczko. Potem kurkę oddajesz i po kłopocie.

Za 400 dol. należy się jedna sztuka, plus minikurniczek, plus 50 kg jedzenia. W wersji lux otrzymujemy w leasing cztery kurki za 600 dol. Mimo że eksperci obliczyli, iż tak pozyskane szczęście dla kur przekłada się na koszt jajka w wysokości 1,79 dol. – więc trochę drogo, nawet jak na ceny amerykańskie – to jednak zapotrzebowanie jest. Niektórzy nawet zapałali takim entuzjazmem do wychowywania drobiu, że kurki zatrzymywali.

Moda na posiadanie kury nie jest nowa. Muszę przyznać, że sama interesowałam się tematem, ale rodzina wybiła mi to z głowy. (Widziałaś, jak wygląda teren przy kurniku? Klepisko). Jednak np. we Francji posiadanie kur stało się ostatnio całkiem popularne, jeśli nie powiedzieć – modne. „Hodowla kur staje się modna" – donosi dziennik „Le Monde". Tygodnik „Paris Match" zaprezentował designerskie modele kurników.

FOT. FOTOLIA

Jeśli przestrzega się pewnych zasad, to kury mogą stać się naszymi sprzymierzeńcami w ogrodzie – zapewnia jedna z hodowczyń pod Paryżem. Poza tym, że dostarczają świeżych jaj praktycznie przez cały rok, zjadają małe robaki, ślimaki i inne drobne owady. Odchwaszczają ogródek i uwalniają trawnik od mchu. W sadzie opadłe owoce są szybko zjadane, dzięki czemu nie ma os. Kury zjedzą także resztki ze stołu i odpady z warzywnika, takie jak nać marchwi.

Pytanie, czy żeby zapewnić naszym drobiowym przyjaciółkom pełnię szczęścia, musimy posiadać także koguta. Otóż odpowiedź brzmi: nie. Jeśli chcemy mieć tylko kury nioski, to kogut jest niepotrzebny. Co innego, jeśli chcemy rozwijać hodowlę. Gdy chcemy mieć kurczaki, trzeba się liczyć z tym, że radosne kukuryku zerwie nas z łóżka bladym świtem. ©℗

ŁUKASZ RZEPECKI I DANIE DLA ZABIEGANYCH

W polityce czas biegnie bardzo szybko, zawsze go brakuje, również na długie przygotowywanie posiłków. Cukiniowe placki przyrządza się bardzo szybko. Jest to zdrowe i smaczne danie. Polecam!

Składniki:

- 1 duża cukinia
- 10 dag pieczarek
- 1 cebula
- 1 serek śniadaniowy Bieluch,
- 1 czerwona papryka
- 10 dag żółtego sera
- 5 łyżek mąki
- 2 jajka
- 1 duża łyżka przyprawy Vegeta Azjatycka

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Przygotowanie:

Obraną cukinię zetrzeć na tarce na grubych oczkach, lekko odcisnąć nadmiar wody. Ser żółty zetrzeć na grubych oczkach, cebulę i paprykę pokroić w kostkę, dodać do startej cukinii. Pieczarki lekko podsmażyć ok. 10 min, dodać do reszty. Wbić jajka, wsypać mąkę i przyprawę oraz serek i wszystko dokładnie wymieszać. Smażyć na dobrze rozgrzanym tłuszczu do zarumienienia z obu stron. Można podać z sosem czosnkowo-jogurtowym albo winegret. ©℗ *oprac. raw*

Łukasz Rzepecki jest posłem Kukiz'15.

NASZ TEST: SEAT LEON CUPRA ST

Przyspieszenie od 0 do 100 km/godz. w zaledwie sześć sekund, świetny układ kierowniczy i dobrze zestrojone zawieszenie. Te trzy elementy sprawiają, że potężna odmiana Leona – mająca w sobie ponad połowę części zaczerpniętych z wyścigowego modelu Leon Cup Racer – daje kierowcy bardzo dużo frajdy z jazdy. Jest też na tyle praktyczna, że równie dobrze co na torze sprawdzi się przed supermarketem. Szkoda jedynie, że hiszpański hot hatch jest sporo droższy, niż można by się spodziewać.

W KABINIE

Dynamiczny charakter auta podkreślają ścięta u dołu, sportowa, wielofunkcyjna kierownica,

aluminiowe nakładki na pedały, czarna podsufitka czy wygodne kubełkowe fotele, które bardzo dobrze stabilizują pozycję kierowcy i pasażera podczas szybkiego pokonywania krętych odcinków drogi. Świetnie sprawdza się też alcantara, którą zostały pokryte boczki drzwi. Szkoda jednak, że na desce rozdzielczej dominują czarne plastiki. Szkoda również, że za 150 tys. zł fotel kierowcy nie jest elektrycznie regulowany.

Ośmiocalowy wyświetlacz dotykowy jest intuicyjny w obsłudze, zegary czytelne, a posiadaczy nowoczesnych smartfonów ucieszy umieszczona pod wyświetlaczem bezprzewodowa ładowarka indukcyjna.

Pięciodrzwiowa wersja kombi jest całkiem obszerna i może stanowić idealne połączenie sportowych oczekiwań męża i praktycznych marzeń żony.

Pojemność bagażnika wynosi 587 l.

JAZDA

Sercem tej odmiany Leona jest dwulitrowy silnik benzynowy o mocy 300 KM i momencie obrotowym wynoszącym 380 Nm. Dzięki temu, dla wielu niespodziewanie, seat na światłach bez trudu zostawia w tyle większość innych aut. Na ekranie można wyświetlić trzy zegary, które niczym w sportowym aucie informują na bieżąco o przeciążeniu, ciśnieniu doładowania oraz temperaturze oleju.

Prędkość maksymalna to 250 km/godz. Seat sprawnie przyspiesza również z wysokich prędkości. Na pochwałę zasługują precyzyjny układ kierowniczy oraz dobrze zestrojone zawieszenie, dzięki któremu auto nie tylko świetnie trzyma się drogi na zakrętach, lecz także jest komfortowe w codziennym użytkowaniu. Błyskawicznie działa również automatyczna skrzynia biegów. Na pochwałę zasługują również hamulce Brembo Performance.

W aucie o takim charakterze niepotrzebny jest za to system start-stop.

Średnie spalanie w cyklu mieszanym to 10 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Seat Leon w testach zderzeniowych Euro NCAP zgarnął komplet pięciu gwiazdek, uzyskując 94 proc. punktów w kategorii ochrony dorosłych pasażerów, 92 proc. za bezpieczeństwo dzieci oraz tylko 70 proc. punktów w kategorii ochrony pieszych.

Testowany egzemplarz był wyposażony m.in. w aktywny tempomat oraz system utrzymywania auta w pasie ruchu. Zabrakło jednak systemu sygnalizacji pojazdów w martwych polach lusterek wstecznych, który w przypadku auta stworzonego do szybkiego przeskakiwania z pasa na pas z pewnością byłby przydatny.

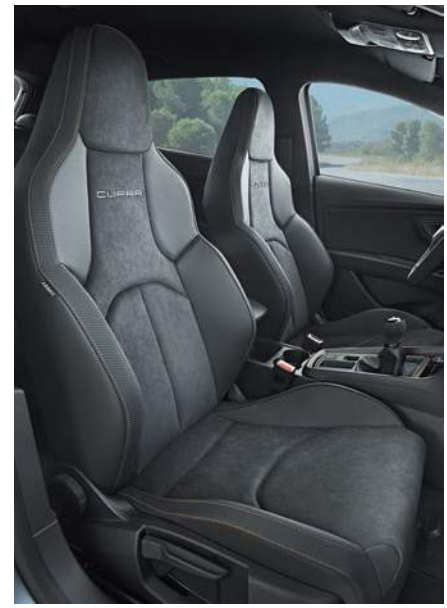

CENA

Najtańszy Leon Cupra z automatyczną, sześciobiegową skrzynią kosztuje 142,4 tys. zł. Leon Cupra ST to już wydatek co najmniej 145,9 tys. zł. Za najmocniejszą wersję, czyli Seata Leona Cupra R – z silnikiem o mocy 310 KM – trzeba zapłacić 182,1 tys. zł.

KONKURENCI

Ford Focus ST, Honda Civic Type R, Renault Mégane R.S., Skoda Octavia RS, VW Golf R ©®

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 358b74afb8

DZISIAJ
GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI
codziennie 18:30

REPUBLIKA

eprasa.pl 358b74afb8

ZŁY TYRMAND

Suwerenność przede wszystkim

MATTHEW TYRMAND

MARCIN MAKOWSKI: Ledwo Andrzej Duda wrócił z Waszyngtonu, kolejna podróż do USA. Tym razem Nowy Jork i forum ONZ, gdzie Donald Trump chwalił naszą politykę energetyczną. Polska została również wskazana jako przykład rozwijających się gospodarek. Nie za dużo tego dobrego?

MATTHEW TYRMAND: W jakim sensie? Trump powiedział dokładnie to, czego można się było spodziewać, wyróżniając państwa, które chcą wydawać pieniądze na swoje bezpieczeństwo, dywersyfikować źródła dostaw energii oraz uprawiać suwerenną politykę ekonomiczną. Polska jest po prostu jednym z przykładów wcielania w życie tych idei, w kontrze do globalizmu, którego synonimem – zdaniem Trumpa – są niewykorzystany potencjał Organizacji Narodów Zjednoczonych, przerost kompetencji Brukseli nad państwami członkowskimi Unii Europejskiej czy niekorzystne dla USA jednostronne umowy, jak choćby Partnerstwo Transpacyficzne (TPP) i deal z Iranem. Gdyby porównać wszystkie geopolityczne przemówienia Trumpa, okazałoby się, że jedno wynika z drugiego. Od czasu zaprzysiężenia prezydent konsekwentnie stosuje retorykę suwerennościową – i czy to się komuś podoba, czy nie – Polska jest elementem tej układanki.

Rosja i Władimir Putin, do którego uśmiechał się w Helsinkach, też jest?

Biały Dom widzi zagrożenia w zakusach imperialnych Rosji, ale z drugiej strony Donald Trump uznaje ją za kraj suwerenny, w związku z czym rozumie, że z Putinem trzeba rozmawiać, szukając możliwych rozwiązań kryzysu. Tak samo trzeba również negocjować np. z Angelą Merkel. Wystarczyło spojrzeć na miny dyplomatów, gdy w ONZ padły słowa o uzależnieniu Berlina od rosyjskiego gazu. Dlaczego Trumpa potępia się za negocjacje z Putinem, a Niemców już nie? Dobrze, że jest ktoś, kto potrafi wskazać hipokryzję w polityce międzynarodowej, która do tej pory była tematem tabu.

To wszystko świetnie brzmi: prezydent USA mówi o polskim sukcesie, mądrości w zakupie LNG ze Stanów. Stawia nas w kontrze do zachodniego sąsiada. Nie sądzisz, że to biznesowa zagrywka?

Jeśli Trump coś mówi, to zazwyczaj tak myśli, a w tym przypadku narracja jest klarowna: wy coś od nas kupicie, my wam coś damy. Warszawa chce dywersyfikacji energetycznej, a Waszyngton chce rynków zbytu na swój surowiec – obie strony wychodzą z transakcji na plusie. Czy Trump gra Polską przeciwko UE i Niemcom? Nie sądzę, aby to był jego cel. Celem jest zapewnienie Ameryce lepszych umów handlowych poprzez zacieśnianie współpracy z krajami, które kierują się podobnymi pryncypiami i są stabilne. Jeśli taka polityka wchodzi w chwilowy klincz z Berlinem i Brukselą – to trudno, w interesie Angeli Merkel nie jest przeniesienie stałych baz do Polski, dlatego różnica zdań jest nieunikniona. Tak działa dyplomacja suwerennych podmiotów na arenie międzynarodowej. Gdyby Trump traktował Polskę przedmiotowo, nie rozpocząłby swoich podróży międzynarodowych od wizyty w Warszawie.

Podczas wizyty w ONZ Andrzej Duda otworzył również nowojorskie biuro Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu.

To świetny ruch, bo właśnie na Manhattanie odbywa się gros światowego handlu. Jeśli jakieś państwo chce się rozwijać, to musi mieć tutaj przedstawicielstwo i trzymam kciuki za Tomasza Pisulę, aby oddział przynosił inwestycje. Na marginesie dodam, że przy okazji ceremonii otwarcia rozmawiałem z Joanną Woronecką, przedstawicielem RP przy ONZ. Na pytanie, jak ocenia pracę w tej instytucji, odpowiedziała, że to niesamowite doświadczenie i ma przyjemność obcować z crème de la crème światowej dyplomacji. To niesamowite, jak łatwo niektórzy przesiąkają globalizmem coraz mniej wydolnych instytucji. Teraz zestaw to ze słowami Trumpa i priorytetami polskiej polityki zagranicznej. Tutaj trzeba zachować ostrożność i sceptycyzm, a nie unosić się w zachwycie. Tymczasem mamy Woronecką, która przy głosowaniu nad przeniesieniem stolicy Izraela do Jerozolimy, urządza minutę ciszy za poległych Palestyńczyków, którzy prowokowali zamieszki. To sypanie piachu w tryby polskiej dyplomacji. Szkoda, że MSZ tak często tego nie dostrzega. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 358b74afb8

OKIEM JASTRZĘBIA

Sąd nad wypindrzeniem

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Jakże to było emocjonujące, proszę państwa! Anthony Joshua znokautował Aleksandra Powietkina na Wembley, Kinga Rusin wciąż walczy z Małgorzatą Rozenek na Instagramie, a wysoki sąd w Poznaniu uznał, że można być wk…m w słusznej sprawie. Szalenie było to emocjonujące.

Jednak nie bez powodu tabloidy podają przy nazwiskach swoich bohaterów wiek. Oprócz zaspokojenia czystej ludzkiej ciekawości i inspirowania domowych rozmów („Ty, Mariolka, zobacz, ona jest w twoim wieku, ale ciebie jest dużo, dużo więcej) z wieku wysnuć można różne wnioski, a nawet typy. Powietkin to rosyjski 39-latek z atomowym sierpem, a Joshua to brytyjski 28-latek z wieloma sierpami i prostymi, ba, nawet podbródkowymi. Na podstawie tych danych jasno widać, że nic nie wiadomo i że wygrać mógł albo ten, albo tamten, choć Wembley mniej kibicowało Aleksowi. Teoretyczny faworyt, czarnoskóry Joshua, dostawał lanie w pierwszych rundach i miał rozkwaszony swój Joshuowy nos. Jednak w siódmej rundzie przyłapał paroma silnymi ciosami Powietkina, który patrząc w bezkresne przestrzenie, oddał się bezkresnemu leżakowaniu.

Sądy mogą wydać w tej samej sprawie wyrok albo taki, albo zupełnie śmaki

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

A mnie się jeszcze podobało, że po walce zwycięzca przyszedł do pokonanego do szatni, podziękował mu, ukłonił się nisko i wyraził swój szacunek po angielsku. Klasa. Powietkin nic po angielsku nie zrozumiał, ale obok stał tłumacz, który wszystko na mowę Putina przełożył. Nawet się zastanawiałem, czy w Rosji będą hejtować Aleksa, że nie umie po angielsku, bo u nas to za to się bardzo chętnie hejtuje, ale nie trafiłem na żaden taki ślad, a szukałem. Dziwni ci Rosjanie. Walka piękna, polecam.

Równie emocjonujące starcie, choć nie na Wembley, rozgrywa się między Kingą Rusin (lat 47) a Małgorzatą Rozenek (lat 40). Moim zdaniem wiek nie odgrywa tu żadnej roli, ale tak podaję, gdyby ktoś chciał jakiejś swojej Mariolce komparatystyczną uwagą dopiec. Istotą sporu między paniami były szlachetne sprawy związane z prawami zwierząt i testowaniem kosmetyków na zwierzętach. Nie rozstrzygam tego sporu, bo uważam, że obie panie są szlachetne i dynamiczne, mimo że wzajemnie w czasie trwającego boju określają się np. jako „wypin-drzona lala". Za moich czasów to określenie miało wydźwięk pejoratywny. Ale dziś? Hmm... Kto wie? Może to rodzaj uznania, że kobieta dba o siebie, że swojej zewnętrzności poświęca czas, aby otoczeniu estetyczną sprawić radochę? Kto wie? Natomiast, Radosławie Majdanie, chciałbym, żebyś wiedział, iż Twój udział w tej potyczce postrzegany jest niejednoznacznie, ale raczej na „nie". Dobrze, że bronisz swoją kobietę Gośkę. Ale czy czasem nie faulujesz, Radosławie, zmieniając układ sił dwoje na jedną? Ty się, Radosławie, jako stary piłkarz nad tym faulem zastanów, proszę! Potyczka gwiazd Rusin-Rozenek uznana została powszechnie za indukującą i agregującą emocje, więc można ją monetyzować. Brawo!

Przez Polskę przetoczyła się dyskusja, czy można być (przepraszam) „wkurwionym" i artykułować to tym właśnie słowem publicznie bez kropkowania. „Jestem wk…a" – powiedziała publicznie przy dzieciach żona prezydenta miasta Poznania na pewnym wiecu przeciwko PiS. W dyskusji wzięli udział: podzielone społeczeństwo, podzielone sądy i jeden podzielony językoznawca. Zostawmy tu społeczeństwo i przejdźmy do językoznawcy o nazwisku Tadeusz Zgółka, profesor. Profesor jest członkiem Rady Języka Polskiego i wydał w tej sprawie opinię. „Te same słowa użyte w różnych sytuacjach mogą być uznane za stosowne bądź niestosowne". Lubię takie profesorskie mącenie, bo przecież sytuacja była jasna: biały dzień, publiczne miejsce, a pani Joanna Jaśkowiak (przepraszam) „wkurwiona".

I teraz będzie wreszcie ciekawie, bo będzie o tym, że sądy mogą wydać w tej samej sprawie wyrok albo taki, albo zupełnie śmaki, jak się sądowi zawyrokuje. Sąd pierwszej instancji uznał panią Jaśkowiak za winną, strofował i nakazał za wulgaryzm zapłacić 1 tys. zł grzywny, a sąd drugiej instancji wrzucił ten wyrok do kosza, uniewinniając panią Jaśkowiak. Sędzia Sławomir Jęksa uzasadnił przy tym, że słowa (przepraszam) „Jestem wkurwiona" były złem, ale „znacznie większym złem jest to, co się dzieje teraz w Polsce", dodając: „Być może te słowa były potrzebne". Ooo! Na pewno były potrzebne, bo wielu obserwatorów pomyśli sobie teraz, że wyroki w polskich sądach nie zapadają w związku z obiektywnymi sytuacjami, zdarzeniami, faktami, tylko w związku z przefiltrowaniem ich przez polityczny pryzmat sędziów. Odnoszę wrażenie, że pan sędzia nie mógł się powstrzymać, żeby sobie wydać wyrok na PiS. ©℗

eprasa.pl 358b74afb8

OKIEM BLOGERKI

Wołam kolegów

KATARYNA

MARCIN MATCZAK: ***Kiedyś mówiłeś, że twoja córka idzie na prawo do Wrocławia, prawda? Wyślę ten twój defekacyjny tekst moim kolegom z wydziału i poproszę, żeby go omówili na zajęciach w jej grupie jako przykład mowy nienawiści. Zobaczymy, jak będziesz piszczał, gdy wróci do domu. Mam kolegów i nie zawaham się ich użyć.***

To fragment twitterowej sprzeczki ulubionego profesora opozycji z internetowym hejterem, który całą swoją twórczością solidnie zapracował na pogardliwe traktowanie, ale akurat jego córka nie ma w wojnach swojego ojca najmniejszego udziału. Pomysł profesora, żeby straszyć przeciwnika użyciem swoich kolegów przeciwko studiującej u nich córce, to wyższy poziom politycznej wojny. Gdyby profesor nie miał takich skłonności do popisywania się na Twitterze, mógłby bez rozgłosu namówić swoich kolegów do uprzykrzenia życia dziewczynie i zemsta byłaby skuteczniejsza. Teraz, po publicznej zapowiedzi, córka hejtera jest raczej bezpieczna, bo jedna z posłanek PiS już zapowiedziała interwencję poselską u rektora w sprawie gróźb Matczaka i wątpię, żeby ktoś na uczelni chciał się narażać tylko po to, żeby Matczak miał satysfakcję w Internecie. Jednak problem istnieje i wcale nie jest banalny.

Córka hejtera jest raczej bezpieczna, bo jedna z posłanek PiS już zapowiedziała interwencję poselską u rektora w sprawie gróźb Matczaka

Matczak tym wpisem powiedział całkiem sporo o sobie, a także o swoich kolegach z wrocławskiej uczelni, którzy byliby skłonni wziąć udział w akcji przeciwko swojej studentce, która zawiniła złym urodzeniem. Pozostaje mieć nadzieję, że Matczak tylko się popisywał, a jego koledzy nie daliby się namówić na wykorzystanie uczelni i swojej pozycji do rozprawy z wrogiem kolegi, kosztem Bogu ducha winnej studentki.

Dwa lata temu „Polityka" opublikowała wywiad Jacka Żakowskiego z Maciejem Bartkowskim, autorem miniporadnika dla opozycji, którego jednym z punktów było właśnie granie rodziną. „Tak działa społeczna kontrola władzy. W demokracji to jest ważny mechanizm. Jak ojciec się nie wstydzi, to może córka się wstydzi i on może się z tym liczyć" – tak autor tłumaczył Żakowskiemu, dlaczego to całkiem fajne, że córka prezydenta może mieć przez swojego ojca kłopoty na uczelni. Nie sądzę, żeby ktoś z „tamtej" strony żałował córki prezydenta Dudy, gdyby przyszło jej płacić za politykę ojca, tak jak nikt nie będzie żałował córki wspomnianego hejtera, jeśli przez ojca nie będzie miała życia na uczelni. I tak jak niewielu po „PiS-owskiej" stronie żałowało córki prezydenta Komorowskiego, gdy publiczna telewizja i prorządowe media urządziły jej wielodniowy lincz. Jeśli strona antypisowska jest tak bardzo lepsza, jak zdaje się o sobie sądzić, to powinna jednoznacznie skrytykować swojego ulubionego profesora, mimo zrozumiałego wstrętu, jaki czuje do jego przeciwnika. ©℗

PODSŁUCHANE

Samą prawdę pokazać

Wojtek! Mam dla ciebie świetny temat na następny film.
Słucham cię, Maria.

Mógłby się nazywać „PiS". Sama zresztą o takiej książce myślę.
Hm, „PiS"... Z jednej strony trochę oklepane, ale z drugiej dobrze by brzmiało. Proste, chwytliwe...

No właśnie! I wiesz, samą prawdę pokazać, nie jakieś sofciarstwo jak w „Uchu prezesa": prezes alkoholik, pijący po kryjomu, no i te, wiesz, wątki obyczajowe...
Wiem.

Błaszczak fetyszysta...
Znaczy – do burdelu chodzi?

Nie, lepiej: podniecają go używane buty prezesa.
Dobre, dobre. Dalej mów.

Kasa na szwajcarskich kontach, popijawy w kancelarii premiera, Morawiecki każe się na plecach nosić Brudzińskiemu. Komendant główny policji wyciera rzygowiny z podłogi, Ziobro po pijaku każe mu zamknąć Kasprzaka i żeby go paralizatorem popieścili... Tak jak mówię, sama prawda, wszyscy to przecież wiedzą. Ja ci mogę nawet scenariusz napisać.
Świetnie, łapię to, już sobie wyobrażam, czuję klimat.

No jasne, cieszę się! To kiedy zaczynamy?
Nie tak szybko, niestety. Mam kilka bliższych projektów: „Buda", „Uniwerek", „Maszyniści" i „Górnicy". Rozważam jeszcze „Pilotów" i „Kurierów". Aha, no i „Informatycy" – to teraz priorytet. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Trump znów pochwalił Polskę. To znaczy, że Putin jest zadowolony z naszych władz".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 358b74afb8

fot. Jerzy Gumowski

Detronizacje

Fortuna kołem się toczy, a najbardziej spektakularnie doświadczają tego ci, którzy spadają z przysłowiowego wysokiego konia — ze swych gwiazdorskich szczytów sławy. Stłuczony tyłek albo łeb (zależy na co się spadnie) boli wówczas mocno, a powroty do chwały są *„missions impossible”*. Vulgo: te deifikacje i mandarynokracje często są nietrwałe — po objawach kultu lub lejcach władzy przychodzi degradacja, detronizacja, destatuaryzacja i demitologizacja. Niżej 13 przykładów:

Lance Armstrong w pojedynkę kręcił pedałami nie mniej skutecznie niż duże światowe lobby terrorystyczne LGBTQ. Jako arcykolarz był poza konkurencją, grał w innej lidze niż reszta cyklistów. Wielokrotnie wygrywał czołowe kolarskie wyścigi (w samym Tour de France 7 razy), rządząc na szosie całe lata. Zleciał z roweru w przepaść kompromitacji i hańby wskutek przyczyn urologicznych: oddał niewłaściwy mocz.

Dominique Strauss–Kahn, zważywszy, że panuje globalizacja rynkowowalutowa — będąc szefem MFW (Międzynarodowego Funduszu Walutowego) był właściwie królem globu. Poślizgnął się na damskim tyłku, na którym — jak mówią dzieje globu — łatwiej się poślizgnąć niż na skórce banana. Później się okazało, że kolorowa pokojówka hotelowa została mu podstawiona przez agentów Nicolasa Sarkozy'ego, by wyeliminować Strauss–Kahna, faworyta nadchodzących francuskich wyborów prezydenckich (prowadził w sondażach), z wyścigu. Wyeliminowali go w nicość.

François Hollande, prezydent, który z kolei obalił Sarkozy'ego, chciał władać na francuskim tronie dwie kadencje, więc goszyzował, laicyzował, islamizował i upolitpoprawniał państwo ze wszech sił, przekonany, że to klucz do sukcesu. Im bardziej jednak się starał zadowolić *„citoyens”* (obywateli) zdeprawowanych republikańską postępowością, tym niżej spadały mu słupki poparcia. Został zamieciony do postjakobińskiego rynsztoka przez Macrona, młodszego kuglarza, który jest większym cwaniakiem, bo rzekomym centrystą, czyli kryptolewakiem, a nie jawnym *„socjalistą”*.

David Cameron, poprzedni brytyjski premier. Konserwatysta lewaczejący (politpoprawność, przychylność dla LGBTQ, itp.). Miał w społeczeństwie znakomite notowania, nic mu nie groziło. Chcąc utemperować/zdyscyplinować przeciwników UE (we własnej partii i nie tylko) ogłosił referendum brexitowe, święcie przekonany, że wynik będzie antybrexitowy, bo tak wskazywały badania preferencji elektoratu. Nie był pierwszym ani ostatnim, który przejechał się na sondażach. Dziś w odstawce.

Harvey Weinstein uważał się za seksualnego cara Hollywoodu, za bożka Priapusa, głównego macanta/penetranta *„fabryki snów”*, zraszającego nasieniem chętne debiutantki, ergo: błogosławiącego swym kropidłem ich przyszłe kariery w empireum noszącym nazwę *„star system”*, i nie mylił się co do tej swojej roli megazaganiacza — póki przez pechowy zbieg złośliwych okoliczności losu, zwanych: fatum, wszystko się nie posypało, tron spróchniał, i car wylądował na śmietniku histerii zwanej: #MeToo.

Kamil Durczok, polski odpowiednik Harveya, z zachowaniem, rzecz jasna, proporcji, bo w Lechistanie wszystko jest trochę mniejsze niż w co drugim stanie amerykańskim, a już zwłaszcza w stanie Kalifornia. Jako frontman flagowego dziennika TVN–u („Fakty”) wypromował się na *„playmakera”* priwiślińskich telewizyjnych newsów, kreatora salonowej (platformerskiej) parazrzeczywistości politycznej (co przyniosło jego stacji ksywkę: *„Tusk Vision Network”*), a legł niby strach na wróble wywrócony huraganem, który spowodowało skrzydło motyla klepanego lepką ręką bossa po tyłku.

*Juliusz Słowacki (**„Anhelli”**): „Korony ich ulatują z głów...”*

Lech Wałęsa uważał się za solidarnościowego Jowisza, polskiego Prometeusza, geniusza rewolucji ludowej, demiurga wolności, a tymczasem spadł z tych wszystkich Olimpów do wizerunku konfidenta–petenta, esbeckiego szpicla, delatora wkręconego przez bezpiekę w „Solidarność”. Jego codzienne internetowe próby wydobycia się z tej cuchnącej mazi budzą już tylko politowanie (u jego topniejących zwolenników skrywane póki co). Sumując: rodacy — wbrew Biblii — woleli ukrzyżować Judasza, a nie Barabasza. Ciężka plama na historii wyzwalania się narodu.

Andrzej Lepper uważał się też za trybuna ludu, króla plebsu, pogromcę elitowego/establishmentowego *„Wersalu”*, obrońcę uciśnionych, jednego z głównych rozgrywających sceny politycznej, za Spartakusa zwycięskiego, rebelianta nieugiętego, politykiera niepokornego — a dał się rozegrać jak niegrzeczne dziecko, zmanipulować aferalnie, i skończył zawisnąwszy. *„Sami swoi”* twierdzą, że samodzielnie, a nie samoobronnie. Fani spiskowej praktyki dziejów słysząc to śmieją się szyderczo.

Waldemar Pawlak, pierwszy strażak RP, miał dubeltowe marzenie: stać się ważniejszym od Witosa (bo od Kościuszki raczej by się nie dało) naczelnikiem ludowym, tudzież szefem państwa z docelowym adresem pałacu prezydenckiego. Dlatego brylował w różnych salonowych koalicjach, będąc dla michnikowców stale pod ręką niby *„kobieta użyteczna”*, obalał z *„Bolkiem”* prawicowy rząd Olszewskiego, nawet premierował — był blisko celu. Wymiotły go poza ring wewnątrzpartyjne PSL–owskie gierki nożownicze, a zhańbiły dożywotnio ceny gazu (rekord świata), które niczym zdrajca lub idiota *„wynegocjował”* z Rosjanami.

Janusz Palikot był religijnym konserwatystą grającym (mało udolnie) kulturoznawcę plus filozofa, póki nie olśniło go, że agresywnie politpoprawne lewactwo staje się we świecie bardziej modne i bardziej powszechne, może więc być lepszą trampoliną do wielkiej politycznej kariery. Jako neofita stał się faraonem priwiślińskiego Salonu, opluwając Lecha Kaczyńskiego, lansując *„antyklerykalizm”*, zakładając kolejne partie propagujące/niańczące wszelkich dewiantów i zboków. Co wkurzyło wszelkie odłamy społeczeństwa, więc został demokratycznie (urnami) spuszczony do ścieku niepublicznego.

Ryszard Petru uważał się za typowego *„samca Alfa”* w stadzie pełnym div feminizmu, ciotek pragmatyzmu i dziewic neoliberalizmu, za wcielenie nowoczesności metroseksualnej, hiperparlamentarnej i wideomedialnej, za przyszłego ministra i prezesa rady ministrów, premiera–bohatera, mocnego surfera na falach targających Rzeczpospolitą — a wylądował z orderami (odciskami) podwiązek na ławce przeterminowanych rezerwowych. Roi, że jeszcze wróci triumfalnie na białym Rubikoniu, ale jest raczej bez szans — *„to se ne vrati”*. Chyba.

Jerzy Kosiński został przez Salon okrzyknięty literackim geniuszem, bo napisał autobiograficzną rzekomo książkę (**„Malowany ptak”**) o bestialstwach gojów wobec Żydów, które widział za okupacji. Rzecz stała się światowym bestsellerem (mimo grafomańskiego pióra), a Kosińskiego wszędzie gloryfikowano/hołdowano, póki nie wyszło na jaw (dzięki śledztwu Joanny Siedleckiej), że wszystko zmyślił. James Park–Sloan nazwał go (**„New Yorker”**) *„profesjonalnym fałszerzem i kłamcą”*, inni krytycy pluli: *„mistyfikator”*, *„konfabulator”*, *„kombinator”*, *„cyniczny mitoman”*, *„bezwstydny łgarz”*. Rezultat: otchłań zapomnienia.

Ryszard Kapuściński, również globalnie sławny (tłumaczony na wiele języków) *„cesarz reportażu”*, skończył tak samo brzydko jak niebieski ptak *„Dżerzi”*, i to nie dlatego, że okazał się konfidentem KGB i SB (kryptonimy *„Vera Cruz”* i *„Poeta”*), bo to nikogo na Zachodzie by nie raziło, lecz dlatego, że dziennikarze śledczy udowodnili, iż wszystkie jego reporterskie bestsellery są stekami kłamstw. Thomas Urban (**„Süddeutsche Zeitung”**): *„Lewica wykreowała kult Kapuścińskiego, a on po prostu zmyślał. Nie tylko fakty i realia, lecz nawet wypowiedzi konkretnych, rzekomo cytowanych figur”*. I po nimbie — szlus! ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 358b74afb8

Twoje **bezpieczeństwo** to teraz **Santander Bank Polska**

Bank Zachodni WBK
to teraz Santander Bank Polska

Santander
bank jaki chcesz

Bank Zachodni WBK S.A. zmienił nazwę na Santander Bank Polska S.A. Santander Bank Polska S.A. z siedzibą w Warszawie, przy al. Jana Pawła II 17, 00-854 Warszawa, zarejestrowana w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod nr. KRS 0000008723, utworzona na podstawie Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 11 kwietnia 1988 r. w sprawie utworzenia Banku Zachodniego we Wrocławiu (Dz. U. z 1988 r. Nr 21, poz. 142), NIP 896-000-56-73. Wysokość kapitału zakładowego 993 334 810 zł. Wysokość kapitału wpłaconego 993 334 810 zł.

1 9999 | santander.pl

Koszt połączenia zgodny z taryfą danego operatora.

eprasa.pl 358b74afb8